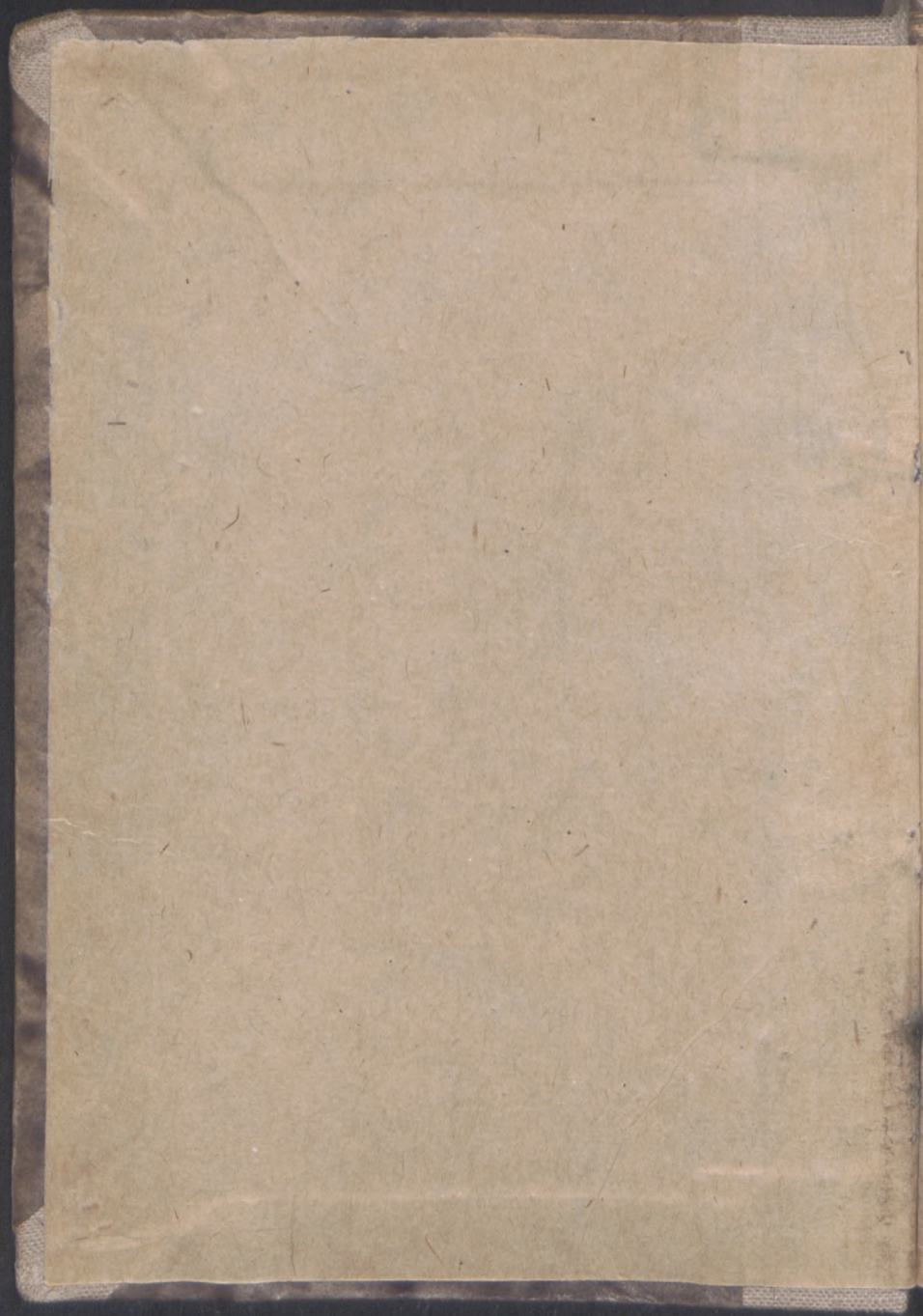
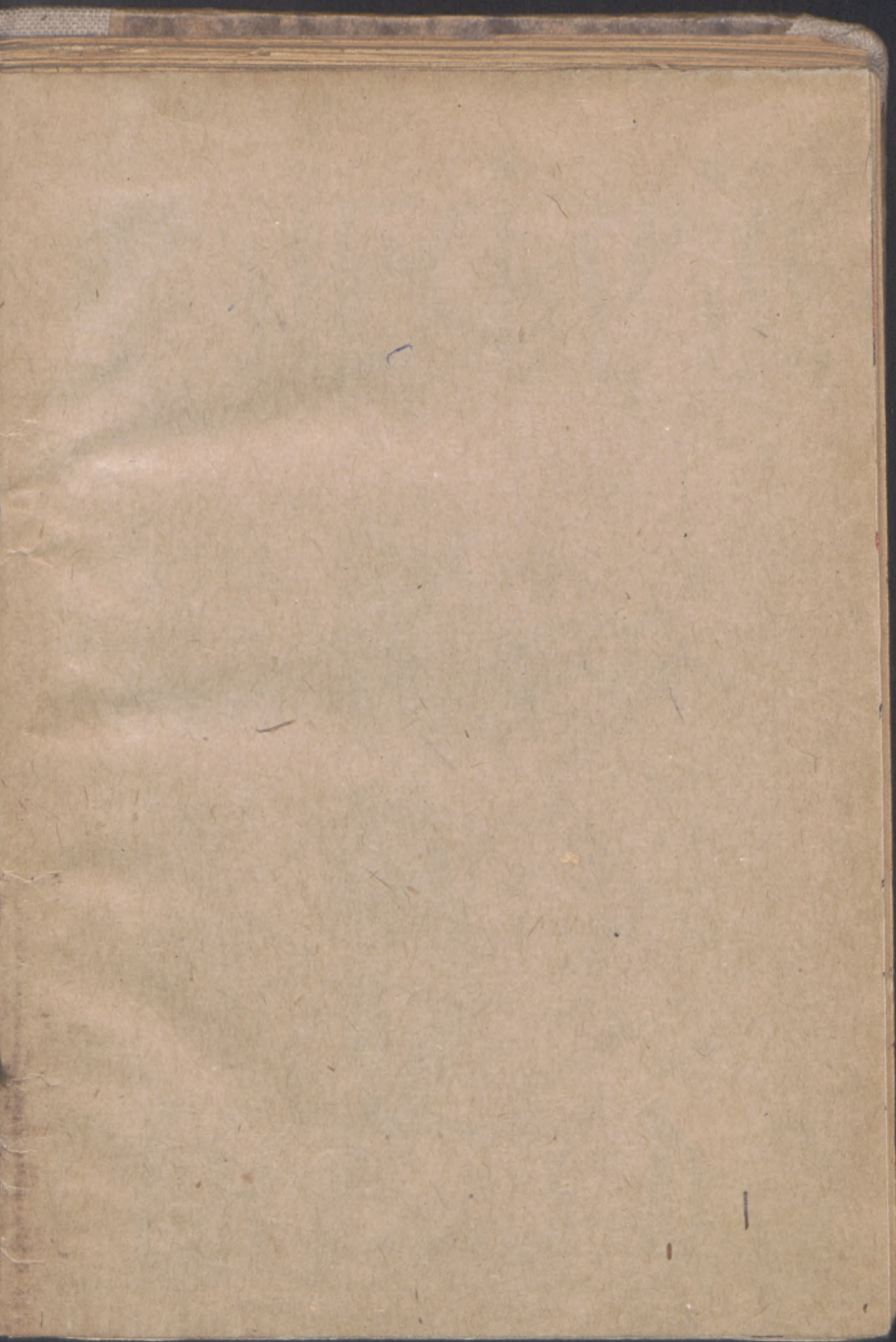
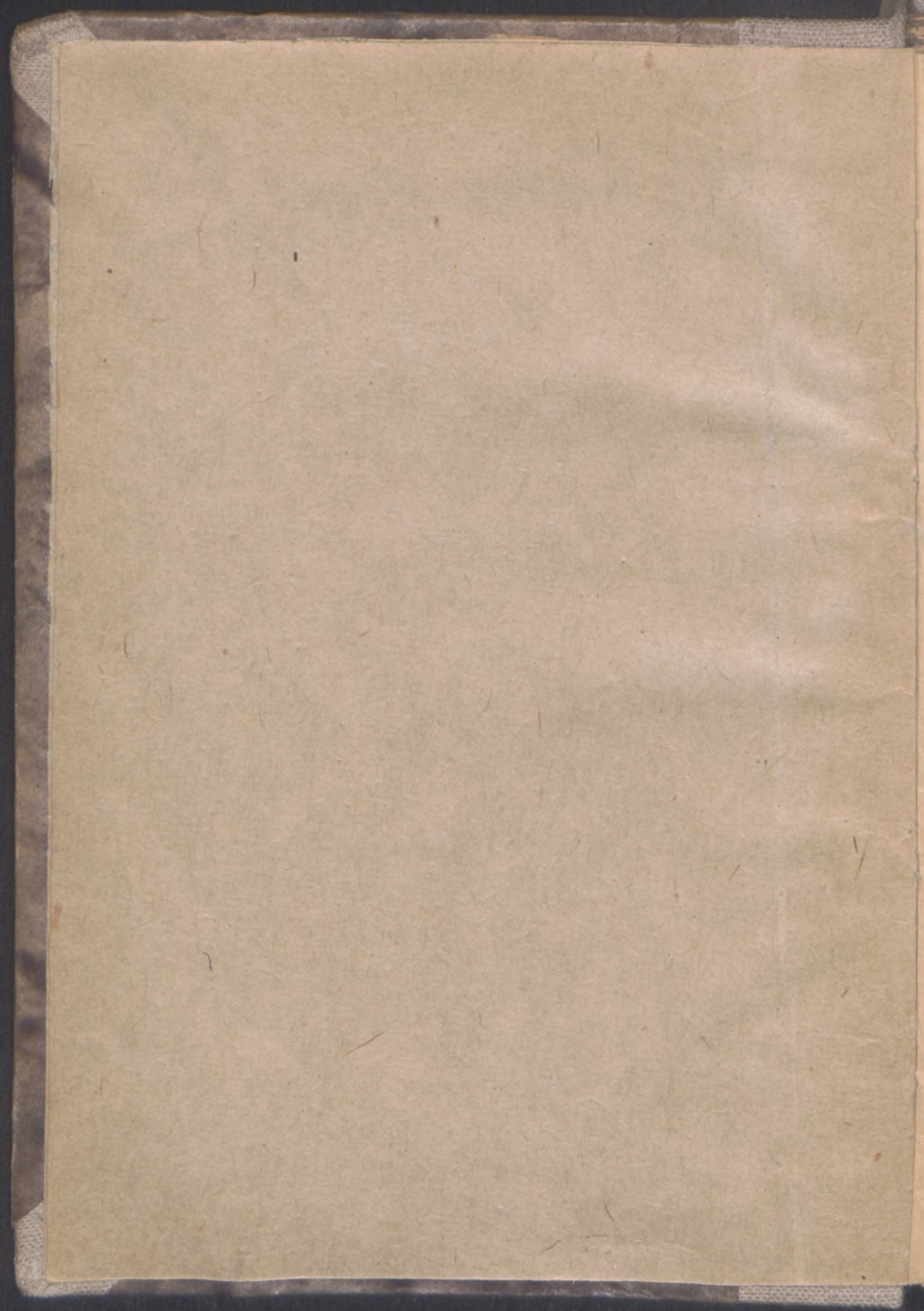


ALPHABET







I. 541.418

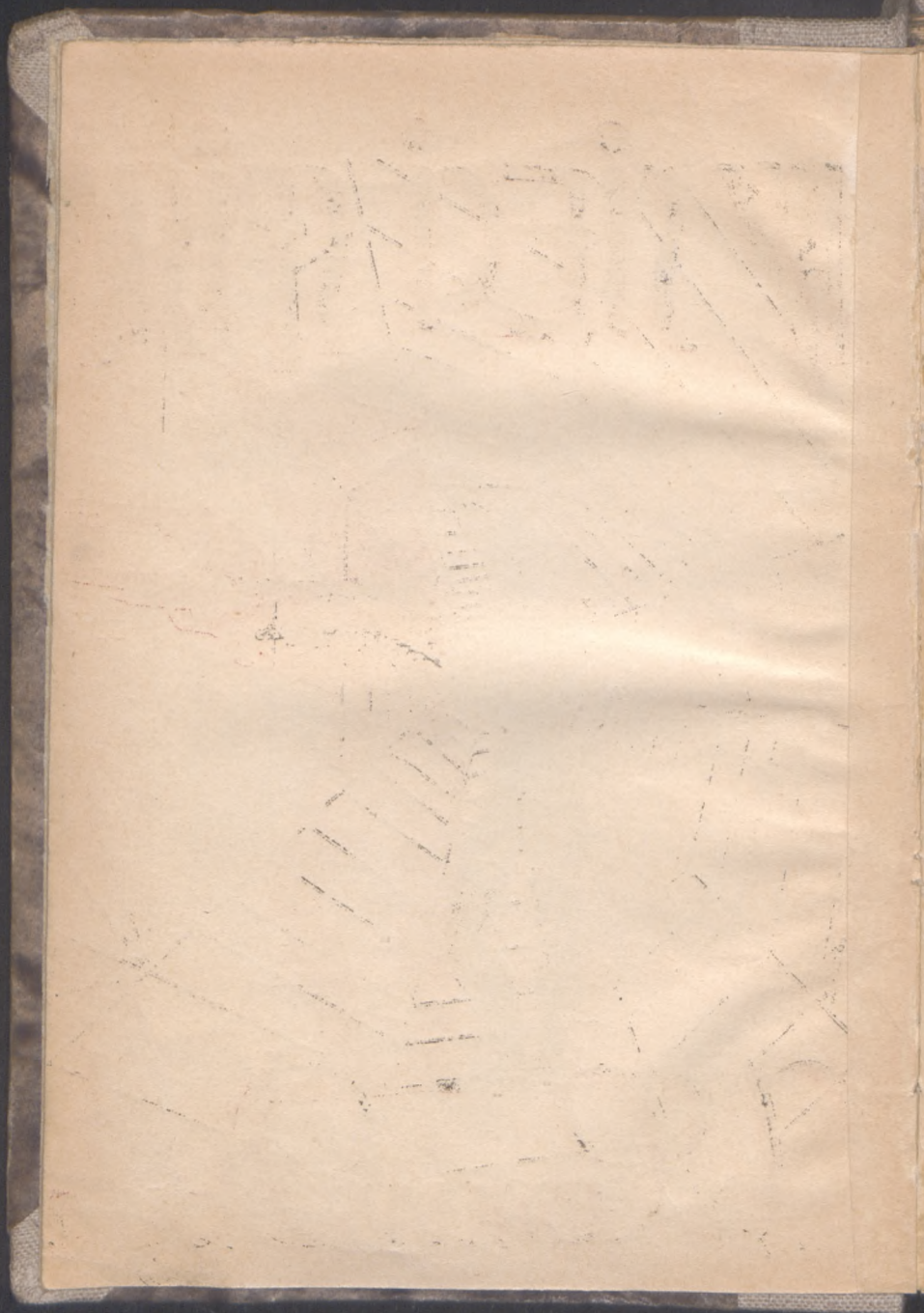
W SIECI SPISKU



C. Conan Doyle

72117

Christie 27



Doyle Arthur Conan

**CONAN DOYLE.**

# **W SIECI SPISKU**

**POWIEŚĆ**



1928.

LWÓW.

NAKLADEM KSIĘGARNI DRA MAKSYMILJANA BODEKA  
UL. BATOREGO 14/16.



I. 541.418

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008168595

1928.8.0.864

---

Drakarnia Bednarskiego Lwów, Rynek 9.



## W sieci spisku.

### I.

#### WYBRZEŻE FRANCJI.

Przeczytałem list mego wuja może ze sto razy i umiałem go prawie na pamięć. A jednak wydobyłem go teraz na okręcie znów z kieszeni, aby go jeszcze raz przeczytać z największą uwagą, jak gdybym go w tej chwili właśnie świeżo otrzymał. Litery starannie kreślone, bardzo wyraźne, czyniły wrażenie, jak gdyby pochodziły z ręki adwokata z prowincji, adres zaś na kopercie opiewał: Pan Ludwik de Laval, w domu pana Williama Hargreaves, właściciela gospody „Pod zielonym człowiekiem“, w Ashford, Kent.

Mój gospodarz otrzymywał bowiem wielkie transporty przemycanej wódki z wybrzeża nrom andzkiego, a i ten list dostał się do niego potajemnie za pośrednictwem przemytników.

List zawierał treść następującą:

Mój kochany siostrzeńcze!

Teraz, gdy ojciec Twój umarł, a Ty sam zostałeś na świecie, spodziewam się, że nie zechcesz dalej podtrzymywać dawnego rozdziwienia w rodzinie. W czasie wielkich zaburzeń, ojciec Twój stanął po stronie króla, ja zaś przystąpiłem do stronnictwa ludu. Co potem się stało, wiesz sam bardzo dobrze. Ojciec Twój musiał uciekać, ja zaś objąłem w posiadanie jego dobra w Grobois. Zasmuci Cię niewątpliwie, że położenie Twoje, w porównaniu z położeniem Twoich przodków tak bardzo się zmieniło, ale w każdym razie będzie lepiej dla

Ciebie, gdy te dobra będą się znajdowały w mojem posiadaniu, aniżeli w obcych rękach. U rodzzonego brata matki znajdziesz wszakże zawsze serdeczne przyjęcie i miłość rodzinną.

A teraz, kochany Ludwiku, chcę Ci dać dobrą radę. Byłem, jak wiesz, zawsze gorącym republikaninem ale z losem nie można walczyć, a potęgi Napoleona nikt zachwiać nie zdoła. Dlatego starałem się wyświadczyc mu pewne usługi. Powiodło mi się to szczęśliwie. Jest mi życzliwie usposobiony i gotów mi się niewątpliwie za nie odwdzięczyć. Jak Ci zapewne wiadomo, znajduje się obecnie ze swoim wojskiem w Boulogne, w oddaleniu zaledwie kilku mil od Grobois. Gdy tu przybędziesz, on z pewnością, ze względu na zastugi Twego wuja, zapomni o nienawiści Twego ojca. Wprawdzie nazwisko Twoje jest jeszcze umieszczone na liście proskrypcyjnej, ale wpływ mój na cesarza potrafi zdziałać, że ta klątwa zostanie rychło z ciebie zdjęta. Przybywaj tedy tutaj jak najprędzej z całym zaufaniem.

Twój wuj

Bernac.

Bardziej jeszcze, aniżeli sam list, dawała mi myślenia jego koperta. Czerwone pieczęcie woskowe na rogach wskazywały odcisk grubego palca, którym się widocznie wuj mój posługiwał zamiast sygnetu. Ponad jedną pieczętką widniały w pośpiechu nakreślone angielskie słowa: „Don't come“ (nie przybywaj). Nie można było poznać, czy pisała je ręka kobieca, czy męska, ale w każdym razie stały tutaj jako złowrogi dopisek do serdecznego zaproszenia.

Nie przybywaj! Czy wuj zmienił nagle swój zamiar? Trudno przypuścić, bo pocóżby w takim razie wogóle list wysłał? A może ktoś inny chciał mnie

przestrzec przed tą podróżą? List był pisany po francusku, a ów dopisek ostrzegawczy po angielsku. Być może, że umieszczono go na kopercie dopiero w Anglii. Ale pieczęcie listu były nienaruszone, a w Anglii nikt nie mógł znać jego treści.

Okręt odpłynął na morze, nademną wydymały się żagle, dokoła mnie szumiały fale, ja zaś zacząłem rozmyślać o wszystkim, co dawniej słyszałem o wuju Bernac.

Ojciec mój pochodził z jednej z najstarszych i najznakomitszych rodzin arystokratycznych Francji; ożenił się z panną Bernac, piękną i cnotliwą, która jednak nie pochodziła ze szlacheckiego rodu. Matka moja nie dawała nigdy ojcu powodu do żałowania tego mezaljansu; jeden z jej braci jednak, który był wtedy adwokatem, obudził już w czasach świetności mej rodziny wstręt mego ojca swoją uniżonością pełną obłudy. Później, gdy wybuchły zamieszki i nastąpił upadek rodów szlacheckich, stał się najbardziej zawziętym wrogiem mej rodziny. Dawny podżegacz wieśniaków stał się teraz najgorliwszym zwolennikiem Robespierre'a i otrzymał od niego dobra Grobois. Po upadku Robespierre'a potrafił zjednać sobie łaskę Barrasa. Także i następne przewroty nie zdołały go wyprzeć z tych posiadłości. A teraz dowiedziałem się z tego listu, że i nowy cesarz darzy go swoją łaską, chociaż mi się to wydawało bardzo dziwne, z uwagi na jego przeszłość. Jakież właściwie usługi mógł mu wyświadczyć mój wuj, gorący republikanin?

Wyda się to zapewne trudne do zrozumienia, że **przyjąłem** zaproszenie człowieka, którego mój ojciec mazywał zawsze zdrajcą. Ale młodsze pokolenie owej epoki nie pragnęło dalej żywić nienawiści przeciw nowym stosunkom politycznym. Dla starych uchodźców

zdawało się, że z rokiem 1792 wszystko się zatrzymało; czas przestał dla nich upływać, ich ideały i wstępy z przeszłości pozostały niezmienione. My młodzi jednak, którzy wyrosliśmy na obczyźnie, zrozumieliśmy, że nastały nowe czasy. Francja nie była już państwem sankjulatów i gilotyny; ojczyzna nasza, trjmfująca na polach bitwy, ale zagrożona ze wszystkich stron przez najazdy wrogów, wzywała swoich rozprószonych synów do powrotu; jeszcze bardziej, aniżeli list mego wuja, wzywał mnie ten zgiełk wojenny do opuszczenia Anglii.

Już długi czas trawiła mnie tęsknota za ojczyzną. Za życia ojca nigdy o tem nie wspominałem; jemu, który służył pod Kondeuszem i walczył pod Quiberon, uczucie takie wydawałoby się wprost zdradą. Ze śmiercią jego jednak odpadło wszystko, co mnie wstrzymywało od powrotu do Francji, a tęsknota moja za krajem stała się tem silniejsza, że i Eugenia, która teraz od lat trzydziestu jest moją żoną, podzielała ją najzupełniej. Rodzice jej pochodzili z młodszej linii de Choiseul i mieli przeto tak samo głęboko zakorzenione zasady i przesady, jak mój ojciec. O przekonania swych dzieci niewiele się troszczyli. Ilekroć rodziny nasze w domu zamykały się w żałobie z powodu jakiegoś zwycięstwa francuskiego, my, dzieci, skakałyśmy w ogrodzie z radości. Obok okna altany ozdobionego wawrzynem mieliśmy nocne schadzki i tem bardziej zbliżyliśmy się do siebie, im więcej czuliśmy się obcy w naszym otoczeniu. Rozwijałem przed Eugenią moje ambitne plany, a ona swoim zapalem jeszcze bardziej mnie w nich utwierdzała. Tak tedy list mego wuja był tylko jednym powodem więcej do wykonania dawno powziętego zamiaru.

Oprócz śmierci mego ojca i listu mego wuja

Odegrał tu ważną rolę jeszcze inny wypadek. W Ashford miałem niedawno temu z pewnym szlachcicem angielskim niemiłe zajście. Anglicy w ogólności zachowywali się bardzo uprzejmie wobec francuskich emigrantów. Każdy z nas ma Anglję i jej mieszkańców w miłej pamięci. Ale wszędzie na świecie znajdują się ludzie zuchwali i chępliwi i nie brakowało ich także w spokojnem i zacisznem Ashford. Był tam zwłaszcza niejaki Forley, znany jako awanturnik i zawadzaka, lubiący sztychować z każdego. Gdy spotkał kogoś z nas, wypowiadał nagłos zniewagi, nietylko przeciw rządowi francuskiemu, co by można ostatecznie wybaczyć angielskiemu patrijocie, ale przeciw samej Francji i wszystkim Francuzom. Długi czas udawaliśmy, że nie słyszymy tych jego brutalnych wycieczek, ale wkońcu było mi tego zawiele i postanowiłem dać mu należytą nauczkę.

Pewnego wieczora siedziałem z kilku przyjaciółmi w sali gospody „Pod zielonym człowiekiem“, a przy sąsiednim stole siedział Forley. Był napół pijany i robił nieustannie złośliwe uwagi o Francuzach.

— A teraz, panie de Laval — zawołał nakoniec, kładąc szeroką dłoń na mojem ramieniu, — musisz pan wypić wraz ze mną na cześć ręki Nelsona, która ma zniszczyć Francję.

— Dobrze, — odpowiedziałem, — wypiję wraz z panem, jeżeli pan mi przyrzekniesz, że wzniesiesz później wraz ze mną inny toast.

— Zgoda, — odpowiedział i wychyliliśmy nasze szklanki.

— Teraz kolej na pański toast — zawołał.

— A więc dobrze — rzekłem — piję na cześć kuli działowej, która urwie tę rękę.

Zamiast odpowiedzi, oblał mi twarz winem. Przy-

szło między nami do pojedynku i przestrzeliłem mu ramię. Wieczorem zastałem Eugenję, jak zwykle, w oknie jej pokoju; zerwała kilka liści wawrzynowych i splótłszy wianek, włożyła mi go na głowę.

Ten wypadek uczynił mój dalszy pobyt w Ashford niemożliwym i przyczynił się wielce do mego zamiaru, przyjąć zaproszenie mego wuja, naprzekór owym słowom ostrzegawczym. Gdyby mógł swoim wpływem nakłonić cesarza, by kazał wykreślić moje nazwisko z listy proskrypcyjnej, nie nie stałoby w drodze memu powrotowi do Francji.

Pograżony w głębokiej zadumie, zapomniałem zupełnie, gdzie się znajduję. Z zamyślenia obudził mnie nagle patron statku, kładąc mi ciężką dłoń na ramieniu.

— Przyjacieju — krzyknął — trzeba przejść do łodzi.

Moje uczucie arystokratyczne oburzyło się i odepchnąłem brudną rękę brutala.

— Wybrzeże jeszcze daleko — odpowiedziałem.

— Czyń pan, co się panu podoba — rzekł — ja jednak nie jadę dalej. Siadaj pan do łodzi albo przyplyń pan do brzegu.

Napróżno przedstawiałem mu, że zapłaciłem za cały przejazd aż do wybrzeża. Ofiarowałem nawet na ten cel zegarek, który od wielu lat był w posiadaniu naszej rodziny.

— A tak, bardzo suto zapłacony — drwił stary wilk morski.

Poczem zawołał do jednego z majtków:

— Jim, zwinąć zagle i niechaj łódź podpływie. Teraz, mój panie, proszę wsiadać do łodzi albo wróci pań ze mną do Dover. Nadciąga burza od południowego zachodu, za żadną cenę nie pojedę dalej.

— W takim razie wsiadam do łodzi — odpowiedziałem.

— Nie ma pan innego wyjścia — zawołał i zaśmiał się tak wyzywająco, że byłbym go chętnie obił. Ale wobec takich ludzi człowiek jest zupełnie bezbronny. Pohamowałem się tedy i skoczyłem do łodzi. Zawiniątko moje, bardzo skromne, jak na pana de Laval, rzucono za mną; dwóch majtków wskoczyło także, łódź odpchnięto i poczęliśmy płynąć w kierunku odległego wybrzeża.

Groziła nam straszna noc. Gęste ciemne obłoki kłębiły się na widnokręgu, a przez ich rozdarte brzegi przedzierały się promienie zachodzącego słońca. Błado-czerwone światło rozlewało się na firmamencie i odbijało się w ołowianem morzu. Nasza mała łódka kołysała się i tańczyła na falach morskich. Wioślarze spoglądali trwożliwie na niebo, to znów ku wybrzeżu. Wydawało się już jak gdyby chcieli zawrócić i popłynąć ku wielkiemu żaglowcowi.

— Co to za światła, które błyszczą z obu stron poprzez mgłę? — zapytałem, aby odwrócić ich myśli od gwałtownej burzy.

— Na północy Boulogne, a na południu Etaples — odpowiedział mi uprzejmie jeden z wioślarzy.

Boulogne! Etaples! Ileż wspomnień obudziły we mnie te dwie nazwy. W Boulogne spędziłem, jako mały chłopak, niejedno lato. Ileżto razy przechadzałem się z ojcem na wybrzeżu, odpowiadając z dziecinną dumą na pełne szacunku ukłony rybaków! A cóż dopiero Etaples! Tamtędy przejeżdżaliśmy w czasie naszej ucieczki do Anglii. Tłum uniesiony wściekłością zgromadził się obok portu i obrzucił nas kamieniami. Biednej matce mojej strzaskano kolano. Jeszcze dzisiaj brzmi mi w uszach przekleństwo mego ojca i mojej

własny przeraźliwy krzyk trwogi. A między temi obydwoma miastami, w rozległej ciemnej przestrzeni, która ich światła zamykały od północy i od południa, leżał w środku mój zamek, Grobois, zamek moich przodków. Wyteżyłem oczy, aby zobaczyć czarny duch jego.

— Tutaj wybrzeże dość samotne — rzekł jeden z majtków. — Tu już niejednego z pańskich towarzyszy wysadziliśmy na ląd.

— Za kogoż mnie właściwie bierzecie? — zapytałem.

— Tego nie powiem—odpowiedział — są rzeczy, o których lepiej wcale nie mówić.

— Uważacie mnie za spiskowca?

— Sami to powiedzieliście. Zresztą myśmy do tego przyzwyczajeni.

— Otóż daję wam słowo honoru, że nie jestem spiskowcem.

— To może więzień uciekający?

— I to nie.

Marynarz przestał wiosłować: obudziło się w nim widocznie jakieś nowe podejrzenie.

— A może pan jesteś szpiegiem Bonapartego?...

— Ja szpiegiem! — wykrzyknąłem z oburzeniem.

W głosie moim był taki wyraz szczerości, że poznał natychmiast, iż był w błędzie.

— Dobrze, dobrze — rzekł — Niech mnie djabli wezmą, jeżeli wiem, kim pan jesteś. Ale szpiega nie wysadziłbym na ląd za żadną cenę.

— Oho — mruknął drugi wiosłarz — nie łajcie mi Bonapartego; to nasz najlepszy przyjaciel

— Zdumiałem się, słysząc z ust Anglika takie wyrazy sympatji dla cesarza, ale wkrótce nastąpiło wyjaśnienie tych słów.



— My biedni żeglarze — mówił tenże dalej —  
zawdzięczamy jedynie Bonapartemu, że możemy nieco  
cukru i kawy przewozić przez granicę. Przedtem kupcy  
mieli obfite zarobki, teraz przyszła kolej na nas.

W istocie Bonaparte, znosząc przywilej handlu  
na kanale La Manche, wydał cały handel między An-  
glją a Francją w ręce przemysłników.

Nagle urwał i wskazał prawą ręką w ciemną dal,  
podczas gdy lewa ręka dalej gorliwie wioślowała..

— Tam jest sam Bonaparte — wykrzyknął.

Bonaparte! Wy, którzy żyjecie w spokojnych czasach,  
nie możecie zrozumieć przestrochu, jaki mną wstrząsnął  
na dźwięk tego imienia. Przed dziesięciu laty słyszano  
po raz pierwszy o tym człowieku, który miał dziwne  
jakieś włoskie nazwisko. Cóż może osiągnąć w dzie-  
sięciu latach przeciętny śmiertelnik? On jednak w kró-  
tkim przeciągu czasu wznosił się z nicości na najwyższy  
szczyt potęgi. Wojska jego zalały całe Włochy pół-  
nocne; Wenecja i Genua jęczały pod jarzmem tego nie-  
pokąźnego, wątlęgo człowieka. Zawstydział najdziel-  
niejszych żołnierzy i wyprowadzał w pole najbardziej  
przebiegłych dyplomatów. Z niesłychaną szybkością  
i energją wyprawił się na Wschód, a kiedy jeszcze oczy  
Europy spoglądały na Egipt, nową prowincję francuską,  
on już był z powrotem we Włoszech i rozgromił  
Austrię po raz drugi. Szedł naprzód z szybkością bł-  
skawicy, tak prędko, jak odgłos jego sławy. Gdzie  
tylko przybywał, odnosił zwycięstwa, zmieniał granice,  
obalał istniejący porządek rzeczy. Holandja, Sabaudja,  
Szwajcarja istniały już tylko z nazwiska na mapie  
świata. Na wszystkie strony wyciągała Francja swe  
ramiona. A teraz został nawet obwołany cesarzem.  
Republikanie, których nie zdołały ugiąć najstarsze dy-  
nastje królewskie i najdumniejsze rody szlacheckie,

czołgali się przed nim w prochu. Z zapartym oddechem śledziliśmy z oddalenia jego śmiałe wyprawy. Wszędzie towarzyszyło mu powodzenie. Wyobrażałem go sobie jako istotę nadludzką, olbrzymią, która jak gdyby ciemna chmura, unosiła się nad Francją i zagrażała całej Europie,

Bonaparte! W mej rozgorączkowanej wyobraźni oczekiwałem, że ujrzę jakąś postać potwornie wielką, jakieś nadziemskie stworzenie bajeczne, ponure, straszne i złowrogie, królujące nad wodami.

Co potem rzeczywiście zobaczyłem, to wcale nie odpowiadało moim dziecinnyim oczekiwaniom.

Na północy rozciągało się wybrzeże długie i płaskie. Zrazu nikło w szarem otoczeniu, jakoteż leżące za niem wrzosowisko, później jednak, gdy ciemność nastąpiła, zabłyśły na niem słabe światełka, a niebawem ukazał się pas ciemno-czerwony, podobny do rozżarzonego żelaza. Wyglądał, jak duży miecz ognisty, zwrócony ostrzem przeciw Anglii.

— Co to jest? — zapytałem.

— Okręt francuski. Czy Bonaparte sam jest tam na pokładzie, nie wiem. Te światła to sygnały; na drodze do Ostendy może ich pan tam jeszcze bardzo wiele zobaczyć. Mały Boney byłby dość śmiały tutaj wtargnąć, gdyby nie było naszego Nelsona.

— A jakżeż może lord Nelson znać jego zamiary? — zapytałem.

Marynarz wskazał poprzez moje ramię w ciemną dal; daleko na widnokręgu ujrzałem dwa migocące się światełka.

— To jego psy strażnicze — rzekł szorstkim głosem.

— Andromeda, nr. 44 — dodał jego towarzysz.

Ileżto razy później przypomiinałem sobie ten obraz! Czerwona krawędź wybrzeża, a przed niem owe

błyszczące się światła, przedstawiciele dwóch wielkich współzawodników, symbol ich walki o panowanie na morzu i na lądzie, walki, która trwa od wieków i będzie jeszcze trwała wieki.

Blask na wybrzeżu stał się słabszy. Posuwaliśmy się naprzód gwałtownie. Słychać już było wyraźnie, jak fale uderzały o brzeg i łamały się z głośnym hukiem. Wtem nagle wynurzyła się z ciemności długa czarna łódź, jak pstrąg wypłoszony ze swej kryjówki i pędziła wprost ku nam.

— Strażnicy celni — wykrzyknął jeden z marynarzy.

— Jesteśmy zgubieni — zawołał drugi i wsunął coś szybko do cholewy grubego buta.

Ale tuż przed nami owa duża łódź skrzyła nagle na bok i odjechała szybko jak strzała. Obaj żeglarze spoglądali za nią zdziwieni.

— Ci również nie mają czystego sumienia — zauważył jeden z nich — może to byli szpiegdy.

— W każdym razie my nie jesteśmy jedyni, którzy przewozimy tej nocy towar podejrzany — dodał drugi.

— Djabli wiedzą, kto to był; mój tytoń na wszelki wypadek ukryłem. Z francuskimi więzieniami już raz miałem sposobność zapoznać się. Złóż wiosła, Bill, jesteśmy już u celu.

Za chwilę dno łodzi stuknęło o piasek wybrzeża. Moje zawiniątko wyleciało na ląd, a ja wyskoczyłem za niem. Wioślarze odbili od brzegu i odpłynęli szybko. Płonące światło na zachodzie znikło. Obłoki brzemienne burzą pokrywały nieboskłon, a nieprzenikniona ciemność rozpościerała się nad oceanem. Gdy się obejrzałem, aby jeszcze raz zobaczyć łódź moją, cienki deszcz smagał mnie po twarzy; słychać było srozenie



się burzy, a od wycia wichrów na morzu drżało powietrze.

Tak, była to straszna noc, pełna grozy, wtedy na wiosnę roku 1805, gdy po czterdziestoletnim wygnaniu znów po raz pierwszy stanąłem na ziemi francuskiej, której ozdobą i podporą moja rodzina była przez wieki. Kraj mych ojców źle się ze mną obszedł; za nasze zasługi zapłacono nam zniewagami, wygnaniem, konfiskatą majątku. Ale teraz zapomniałem o tych wszystkich smutnych i bolesnych przejściach. Upadłem na kolana i całowałem gorąco tę ukochaną ziemię błogosławioną.

## II.

### TRZĘSAWISKO.

W latach dojrzałości chętnie człowiek spogląda wstecz na przebyta już drogę życia, na jej różne zakręty, światła i cienie. Znany mu jest początek i koniec jego wędrówki. Dziś wie dokładnie, dokąd go wiódł każdy poszczególny krok, który niegdyś stawał z lękiem i niepokojem w sercu lub też pełen dumnych nadziei; zapomniał prawie zupełnie o troskach, które go tak często dręczyły przed ważnymi postanowieniami. Ale wspomnienie owej burzliwej nocy mego powrotu do Francji nie wygasło we mnie jeszcze dzisiaj, mimo że od tego czasu upłynęło tyle lat i że przebyłem później tak zmienne koleje losu. Dziś jeszcze, gdy odetchnę słońcem i ostrem powietrzem morskiem, przenoszę się myślą na to piaszczyste wybrzeże Francji, po którym stąpałem wtedy z taką radością, gdyż to była moja ziemia ojczysta.

Wreszcie podniosłem się z kolana i usiadłem na skałę nadmorskiej, którą opłukiwały fale. Suwerena,

dziesiątą część mego całego majątku, dałem marynarzom; resztę mej skromnej gotówki schowałem starannie do wewnętrznej kieszeni surduta. Siedziałem tak tedy, zatopiony w widoku burzliwego morza i rozmyślałem, co mam czynić. Cierpiałem od zimna i głodu, wiatr siekł mnie w twarz, ale świadomość, że nie jestem już zawisły od wrogów mej ojczyzny, że nie jestem zdany na ich łaskę, przepelniała serce me radością.

Zamek Grobois był, o ile mogłem sobie przypomnieć, oddalony stąd o dobrych dziesięć mil. O tak niewłaściwej porze, nawskróś przemoczony i nieuczesany, nie mogłem jawić się u mego wuja, którego dotąd osobiście nie znałem. Czyż miałem przybyć do zamku moich ojców w zabłoconych łachmanach, zwracać na siebie podejrzliwe i szydercze spojrzenia służby? Tej myśli nie mogłem znieść, nie pozwalała na to moja duma. Musiałem konieczne szukać na tę noc jakiegoś przytułku i ubrać się nieco lepiej, zanim stanę przed moim wujem i mu się przedstawię. Ale gdzie znaleźć ten przytułek?

Nie miałem odwagi udać się do Etaples albo do Boulogne. Nazwisko Laval stało jeszcze na czele listy proskrypcyjnej; wszak ojciec mój był najzagorzalszym kierownikiem małej ale wpływowej garstki ludzi, którzy pozostali bezwarunkowo wierni sprawie dawnego rządu. Pomimo odmiennego stanowiska, musiałem podziwiać tę ofiarność i wytrwałość tych odważnych ludzi, którzy poświęcili wszystko swoim zasadom. Mamy wszyscy na świecie pewien pociąg do męczeństwa; im większych ofiar jakaś sprawa wymaga, tem bardziej nam się wydaje ponętną. Często przychodziło mi na myśl, że Burboni nie mieliby tak wielu i tak szlachetnych stronników, gdyby obrona sprawy królewskiej nie była połączona z tak ciężkimi ofiarami. Być może, że szlachta francuska

była im wierniejsza, aniżeli szlachta angielska Stuartom, z tego właśnie powodu, ponieważ miała więcej od niej do stracenia. Poświęcenie szlachty francuskiej było bez granic. Przypominam sobie, że pewnego wieczora było u mego ojca dwóch nauczycieli szermierki, trzech profesorów obcych języków, jeden ogrodnik i jeden tłumacz. Wyglądali ogromnie nędźnie, a jednak wszyscy należeli do najznakomitszych rodzin arystokracji francuskiej. Gdyby się poddali pod nową władzę, odzyskaliby natychmiast swoje dawne znaczenie i bogactwa. Ale ten słaby i co gorsza, nieudolny monarcha, który żył teraz na wygnaniu w zamku Hartwell, uchodził dalej w ich oczach za prawowitego władcę. Członkowie tych starożytnych i sławnych rodów oświadczały głośno, że podzielali przedtem świetność królewskiej rodziny, chcą przeto teraz dzielić jej niedolę. Złożony z tronu król mógł się bardziej chlubić wiernością tych ludzi, aniżeli wszystkimi skarbami i drogocennymi klejnotami, które niegdyś zdobyły jego wspaniałe komnaty. Poprzez przepaść, która dzieli mój wiek od wieku mego ojca, widzę jeszcze oczyma duszy te ubogo ubrane, wynędzniałe i smutne postacie i pochylam czoło przed nimi, jako przed najszlachetniejszymi z ludzi, których znają nasze dzieje.

Gdybym się udał do jednego z miast nadbrzeżnych, zanimbym się widział z moim wujem i uzyskał pozwolenie na powrót do kraju, byłbym się natychmiast dostał w ręce żandarmów, którzy tu nieustannie śledzili za przybyszami z Anglii. Było to co innego stanąć dobrowolnie przed cesarzem, a co innego zostać schwytanym i przemocą sprowadzonym przed jego oblicze.

Postanowiłem tedy iść dalej na los szczęścia i szukać jakiejś próżnej szopy lub stodoły, gdziebym

mógł spędzić tę noc niespostrzeżony, bez przeszkód... Potem mógłbym nazajutrz rano rozmyślać nad tem, jakby się najlepiej zbliżyć do mego wuja i przy jego pomocy przedstawić nowemu władcy Francji.

Tymczasem wiatr stał się jeszcze bardziej mroźny, a głęboka ciemność rozpościerała się nad morzem. Okręt, który mnie przywiózł z Dover, znikł bez śladu. Od strony lądu ujrzałem w niewyraźnych zarysach szereg niskich pagórków, które w bliskości były jeszcze niższe, aniżeli mi się z daleka w bladym oświetleniu wydawały.

Były to rozprószone wydmy piaszczyste, porośłe trawą i krzakami. Niosąc zawiniątko moje na plecach, z trudem postępowałem naprzód; za każdym krokiem zapadałem w miękki piasek i potykałem się o korzenie. Ale zapominałem o mej własnej niedoli, o mojem przemoczonem ubraniu i poranionych rękach, przypominając sobie cierpienia i nieszczęścia moich przodków. Myślałem także o odległej przyszłości, o moich własnych potomkach, którzy się kiedyś będą krzepić i umacniać na duchu moim przykładem. Albowiem w wielkiej rodzinie losy poszczególnych członków wstępują na drugi plan wobec losów całej rodziny.

Piaski te zdawały się nie mieć końca, a gdy już wreszcie z nich wyszedłem, zacząłem żałować, że się skończyły. Tu bowiem wdziera się morze głęboko w ląd i przemienia całą okolicę w straszliwe trzęsawisko. Grunt stawał się coraz bardziej miękki i błotnisty; póki mnie jeszcze mógł na sobie nosić, ślizgałem się co krok i omal nie padałem; wkrótce zaś zanurzyłem się w nim powyżej kostek i połowy łydek. Gdy stawiałem nogi i wydobywałem je z mułu, słychać było pluskot wody. Najchętniej byłbym wrócił ku owym wydmom piaszczystym, ale straciłem kierunek drogi,

a burza wyła z taką wciekłością, że zdawało mi się, iż słyszę ze wszystkich stron ryk fal. Nie umiałem się orjentować podług gwiazd na nieboskłonie; zresztą nawet ci, którzy byli w tem biegli, nie mogliby tu znaleźć wielu wskazówek, gdyż tylko gdzieś tam ukazywały się nieliczne gwiazdy za gęstą oponą obłoków.

Szedłem tak wyczerpany i pełen zwątpienia, zdając się na ślepy przypadek i zanurzałem się coraz głębiej w te straszliwe bagna. Byłem już na najgorsze przygotowany; pierwsza moja noc we Francji będzie dla mnie ostatnia; jedyny spadkobierca rodziny de Laval ma nędznie zginąć w tem okropnem trzęsawisku. Musiałem już odbyć kilka mil, idąc naprzemian po błocie płytkiem i głębszem i nie napotykając nigdzie suchego gruntu, gdy wtem nagle wynurzył się przedemną z ciemności jakiś dziwny krzak karłowaty, o nędznych liściach. Krew zastygła mi w żyłach. Wszak przed godziną przechodziłem obok zupełnie takiego samego krzaku, musiałem się tedy kręcić w kółko. Aby mieć pewność, przystąpiłem do niego bliżej, krzemieniem i hubką skrzesalem iskrę i rzeczywiście poznałem na brunatnem błocie zupełnie wyraźnie ślady moich poprzednich kroków. Pełen rozpacz, spojrzełem ku niebu, ale wtem błysnął mi nagle jasny promień nadziei. Między uciekającemi chmurami ukazał się księżyc, a przy jego bladem świetle ujrzałem lecące z szybkością strzały, w kształcie długiego, ostro zakończonego trójkąta, stada dzikich kaczek. Wiedziałem, że wszystkie te ptaki, w razie burzy, uciekają w kierunku ku lądowi, musiałem tedy iść za kierunkiem ich lotu, aby oddalić się od morza. Z twarzą naprzód zwróconą, stając oboma nogami jednostajnie, aby nie stracić znów kierunku, szedłem jeszcze dobre pół godziny. Wkońcu ukazało się przedemną słabe, żółte światelko, zapowia-



dające strudzonemu tułaczowi oświetlone okno, wypoczynek i posiłek. Brnąłem dalej po błocie i mule, tak szybko, jak tylko mnie niosły moje znużone nogi. Pilno mi było jak najprędzej otrząsnąć się z tej cuchnącej miazgi... Jakikolwiekbaż przytułek był mi pożądany, spodziewałem się, że za złotą monetę mieszkańcy tego samotnego domu nie odmówią mi gościnności i nie będą zważali na to, coby się im w mej osobie mogło wydawać podejrzone.

Im bardziej się zbliżałem, tem trudniej mogłem zrozumieć, że tu mógł wogóle ktoś mieszkać, albowiem trzęsawisko stawało się tu coraz głębsze, a niezliczone stawy, które wychylający się niekiedy z poza obłoków księżyc oświetlał, otaczały dom ten dokoła. Teraz mogłem widzieć wyraźnie małe okienko. Nagle znikło światelko i ukazała się jak gdyby w żółtej ramie głowa mężczyzny. Człowiek ów patrzył przed siebie w ciemności, znikał i znów się pojawiał, a wszystkie jego ruchy były podejrzone i zdradzały obawę jakiejś niespodzianki lub napadu. Na ten widok ogarnął mnie niepokój.

Pomimo mego rozpaczliwego położenia, postanowiłem tedy obejrzeć jeszcze bliżej dom ten i mężczyznę, który się w nim znajdował, zanimbym się powierzył jego opiece. Chata była nędzna i groziła zawaleniem się, i ściany były na wielu miejscach uszkodzone i przez dziury w nich widać było światło; nie znalazłbym więc tutaj wygodnego schronienia od wiatru i burzy. Może przecież lepiej i bezpieczniej byłoby, pomyślałem sobie w duchu, spędzić noc wśród bagna aniżeli w kryjówce jakiegoś przemytnika w najgorszym gatunku. Ktoś inny nie mógł tutaj mieszkać. Na szczęście moje znów zgromadziły się gęste chmury przed księżycem i głęboka ciemność ochroniła mnie przed odkryciem.

Cichutko, na palcach, podsunąłem się jeszcze bliżej do okna i zajrzałem do wnętrza chaty.

Pogodny obraz, jaki tu zobaczyłem, uspokoił mnie zupełnie. Przy dużym kominku, na którym paliło się drzewo, siedział niezwykle piękny, młody mężczyzna i czytał pilnie grubą małą książkę. Szczupła ciemna twarz i długie czarne kędzierzawe włosy nadawały mu wygląd poety lub artysty. Przy złotem świetle rysy jego wydawały się jeszcze delikatniejsze i wywarły na mnie bardzo miłe wrażenie. Z upodobaniem spoglądałem na jego lekko rozchylone usta, których dolna warga, nieco za gruba, ustawicznie się poruszała jak gdyby powtarzał słowa właśnie przeczytane. Teraz młodzieniec odłożył książkę na stół i przystąpił do okna. Widocznie ujrzał mnie mimo ciemności, zawołał coś do mnie, czego nie rozumiałem i skinął mi ręką na powitanie. Wkrótce drzwi się otwały i jego wysoka wytworna postać ukazała się na progu chaty.

— Nareszcie — zawołał, chroniąc oczy obiema rękoma przed słotnym wiatrem i piaskiem — myślałem, że dzisiaj już nie przyjdziecie wcale, czekam tu na was już od dwóch godzin.

Zbliżyłem się do niego i blask światła padł mi na twarz.

— Przepraszam pana — rzekłem.

Nie dał mi dalej mówić. Odepchnął mnie silnym uderzeniem pięści, jak wściekły tygrys, jedynym susem skoczył napowrót do chaty i szybko zatrzęsnał drzwiami.

Te gwałtowne ruchy i to nieprzyjazne zachowanie się młodzieńca były w takiej sprzeczności z jego łagodnym wyglądem i pięknnością twarzy, że osłupiałem. Ale zdumienie moje miało wkrótce stać się jeszcze większe.

Przez otwór w murze obok drzwi mogłem zajrzeć do izby i mogłem widzieć także ten kąt, gdzie się palił ogień. Tam pobiegł ów nieznajomy młodzieniec; przeszukiwał z pośpiechem keszenie swego ubrania i skrył się pod okapem komina. Widziałem tylko nogi jego w czarnych pończochach, stojące na ceglach. Potem znów pośpieszył do drzwi.

— Kto pan jesteś? — zawołał głosem wzburzonym.

— Zbłąkany podróżny.

— Zdawał się chwilę namyślać,

— Tu nie znalazłbyś pan wygodnego noclegu.

— Jestem znużony i wyczerpany; spodziewam się, że pan mi nie odmówi przytułku na tę noc; goździnami błądziłem po trzęsawisku.

— Czy spotkałeś pan kogo? — zapytał z żywością.

— Nie.

— Proszę się nieco cofnąć — rzekł. — Jest tu miejsce ustronne, a czasy obecne bardzo niespokojne. Nie można nigdy być dość ostrożnym.

Usłuchałem jego wezwania, on zaś otworzył nieco drzwi, tylko tyle, aby móc głowę wystawić. Długo spoglądał na mnie badawczo.

— Jak się pan nazywa? — zapytał.

— Ludwik Laval — odpowiedziałem. Uważałem za stosowne nie przyznawać się do mego szlachectwa.

— Dokąd pan zdąży?

— Szukam jakiegoś przytułku.

— Przybywa pan z Anglii?

— Jestem z wybrzeża.

Odpowiedzi moje widocznie nie zadowolily go. Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Nie mogę pana wpuścić do domu — rzekł.

— Ale...

— Nie, nie, to rzecz niemożliwa.

— To powiedz mi pan przynajmniej, w jaki sposób mogę się wydobyć z tego trzęsawiska.

— Pan już prawie wyszedłeś z niego; jeszcze kilkaset kroków stąd, a ujrzy pan oświetlone okna wioski. Musi pan iść w tym kierunku.

Wyszedł z domu, aby mi wskazać drogę; teraz odwrócił się. Oddaliłem się już dobry kawałek od niegościnniej chaty, gdy za mną zawołał.

— Chodź pan tu, panie Laval — głos jego był teraz zupełnie zmieniony — rzeczywiście nie mogę pana na taką straszną burzę zostawić pod gołym niebem. Krótki wypoczynek przy moim kominku i szklanka wódki wzmocnią pana do dalszej drogi.

Znużony śmiertelnie, przyjąłem jego zaproszenie, chociaż nie mogłem sobie wytłumaczyć tak nagłej zmiany.

— Dziękuję panu — mruknąłem i wszedłem za nim do domu.

### III.

#### STARA RUDERA.

Rozkoszne uczucie ogarnęło mnie, gdy stanąłem obok płonącego ogniska, chroniony przed wiatrem i zimnem. Ale ten samotny człowiek i jego dziwne zachowanie się obudziły mą ciekawość w tak wysokim stopniu, że myślałem tylko o nim, a nie o moim własnym losie. Jego niezwykły wygląd wytwórny, niecierpliwosć, z jaką o tak późnej godzinie oczekiwał tu, wśród bagna, swoich przyjaciół, a wreszcie jego tajemnicza manipulacja koło komina, to wszystko podniecało silnie moją ciekawość. Najbardziej wydawało mi

się niezrozumiałe, dlaczego mnie zrazu tak bezwzględnie ze swej chaty wyrzucił, a wkrótce potem tak serdecznie do niej zaprosił. Pragnąłem bardzo tę rzecz wyjaśnić. Na zewnątrz musiałem naturalnie ukrywać moje uczucia; musiałem udawać, że nic mnie tu nie dziwi, ani nie budzi mego podejrzenia, że jestem zanadto zajęty mojemi własnymi sprawami, aby zwrócić uwagę na coś innego.

Wewnątrz chata ta była tak samo zaniedbana i zniszczona, jak zewnątrz. Nie mogła służyć nikomu jako stałe mieszkanie. Ściany ociekały wilgocią, od której tynk poodpadał; po kątach porastała pleśń zielona; ramy drzwi i okien spróchniały i powykrzywiane, cały budynek wydawał się zgniły i stoczony przez robaki. Wnętrze jego tworzyło jedną izbę obszerną, której całe urządzenie składało się z kulawego stołu i trzech przewróconych skrzyń. Szczątki czwartej skrzyni służyły za materiał opały; siekiera leżała obok ściany a w kącie izby widać było podartą sieć rybacką. Największy urok miał jednak dla mnie w tej chwili koszyk stojący na stole, w którym znajdowały się apetytna pieczeń barania, chleb i butelka wina.

Mój towarzysz okazywał mi teraz nadzwyczajną serdeczność, jak gdyby mnie chciał wynagrodzić za poprzednie chłodne przyjęcie. Wyraził mi żywe ubolewanie z powodu tego, że byłem cały przemoczony i zmarznięty i postawił mi jedną ze skrzyń tuż obok ognia; poczem ofiarował mi kawał chleba i pieczeni. Na ustach jego pojawił się uśmiech uprzejmy, ale piękne oczy jego spoglądały badawczo i z niepokojem na mnie, jak gdyby mnie chciały pytać, kto właściwie jestem i jakie są moje zamiary.

— Co do mnie — mówił z pozorną szczerością —

zrozumiesz pan zapewne, że jako kupiec muszę się starać o potrzebne dla mnie towary; a gdy cesarz — niech go Bóg ma w swej opiece — w swej niezbadanej mądrości uważa za stosowne przytłumiać handel otwarty, musimy szukać na takich miejscach, jak oto tutaj, ludzi, którzy przywożą z sobą kawę i tytoń. W Tuilerjach z pewnością nie brak tych rzeczy i sam cesarz niezawodnie pije codziennie dziesięć filiżanek prawdziwej mokki, chociaż wie wybornie, że kawa nie rośnie we Francji. Świątem roślin jeszcze nie zawładnął. Gdyby nie było odważnych przemysłowców, nie wiedzielibyśmy, gdzie czynić nasze zakupy. A może pan sam jesteś kupcem albo marynarzem?

Zaprzeczyłem jego pytanie, nie jednak więcej nie dodając. Moja ostrożność podniecała widocznie jeszcze bardziej ciekawość jego. Ale i ja nie mogłem sobie utworzyć jasnego pojęcia o jego osobie, gdyż oczy jego zdradzały, że kłamie bezwstydnie. Przy świetle wydawał mi się jeszcze piękniejszy, aniżeli poprzednio, ale ta piękność nie odpowiadała memu upodobaniu. Rysy twarzy, zanadto delikatne, wyglądały prawie jak kobiece; jedynie usta zwiste, napół otwarte, psuły ich skończoną harmonję. Wyraz twarzy rozumny, ale pozbawiony energii, zdradzał zdolność do zapału obok chwiejności i namiętą wrażliwość obok braku woli. Im dłużej się w twarz tę wpatrywałem, tem bardziej przychodziłem do przekonania, że nigdy nie będę mógł nabrać sympatji do tego człowieka, że jednak nie mam również powodu obawiać się od niego czego złego. To mniemanie moje miało się później zmienić.

— Proszę mi wybaczyć, panie Laval — rzekł do mnie — moje chłodne zrazu przyjęcie pana. Wybrzeże jest pełne agentów policyjnych cesarza a handlarze muszą się mieć na baczności. Zrozumie pan

przeło łatwo moją podejrzliwość. Zarówno twarz pańska, jak i cała postać nie należą do tych, jakie się często spotyka wśród nocy na skraju trzęsawiska.

Mógłbym mu to samo odpowiedzieć co do jego osoby, ale dla przezorności milczałem.

— Zaręczam panu — rzekłem — że jestem tylko zbłąkanym podróżnym; zresztą wypocząłem już i pokrzepiłem się dostatecznie i nie chcę panu być dłużej ciężarem. Proszę mi jeszcze raz pokazać drogę do najbliższej wioski.

— Ale cóż znowu; zostań pan tutaj, burza sroży się coraz gorsza.

W tej samej chwili wicher zawył w kominie, jak gdyby chciał zburzyć całą tę chatę. Młodzieniec zerwał się z miejsca i pobiegł do okna.

— W samej rzeczy, panie Laval — mówił do mnie swoim obłudnie uprzejmym tonem — może mi pan wyświadczyć wielką przysługę, jeżeli zostanie pan tu jeszcze około pół godziny.

— A to w jaki sposób? — zapytałem ciekawie, ale z nieufnością.

— Chcę być otwarty z panem — (nigdy jeszcze nie brzmiały mi żadne słowa tak obłudnie) — oczekuję tu kilku przyjaciół, z którymi jestem w stosunkach handlowych i niepokoi mnie wielce, że ich tu jeszcze niema. Chciałbym tedy wyjść na trzęsawisko, może ich tam spotkam przypadkiem i przyprowadzę ich tutaj. Ale możliwe także, że oni przyjdą tu inną drogą i będą myśleli, że ja już odeszłem. Byłoby mi to bardzo nie miłe. Otóż prosiłbym pana, abyś pan został tu jeszcze chwilę i wyjaśnił to moim przyjaciołom, gdybym się z nimi rozminął na trzęsawisku.

Prośba ta wydawała mi się rozsądna i uzasadniona, ale mimo to cała ta sprawa była dość podejrzana.

Myslałem jednak sobie w duchu, że spełnienie tego życzenia nie narazi mnie na żadną szkodę, a nadto nie mogłem znaleźć lepszej sposobności, aby zaspokoić moją ciekawość co do owego komina i jego tajemnicy. Przygodzie mojej brakłoby należytego zakończenia gdybym nie wyświetlił należyście tej okoliczności.

— A więc dobrze — rzekł, chwytając swój czarny kapelusz o szerokich krysach i idąc szybkimi krokami ku drzwiom. — Pan będzie tak łaskaw tu zostać, a ja pójdę jak najprędzej, inaczej mój interes handlowy nie przyjdzie wcale do skutku.

Spiesznie zatrzasnął drzwi za sobą i usłyszałem odgłos jego kroków oddalających się wśród wycia burzy.

Zostałem tedy sam i mogłem dowoli przetrząsać wszystko w chacie. Naprzód wziąłem w rękę książkę leżącą na stole. Było to dzieło Rousseau'a „Kontrakt społeczny“. znakomita praca sławnego autora, ale dziwna lektura dla kupca, który przybywa na schadzki z przemysłowcami. Na karcie tytułowej było napisane: Łucjan Lesage, a u dołu kobiecym pismem: Łucjanowi od Sybilli. A zatem mój nowy tajemniczy przyjaciel nazywał się Lesage. Teraz chciałem się jeszcze dowiedzieć, co ukrył tam na kominie. Nadśluchiwałem z wyteżeniem ze wszystkich stron, ale tylko szum wichru i jęk burzy dochodził do moich uszu. Szybko zdecydowany przystąpiłem do komina i wdrapałem się na trzon kamienny, tak jak widziałem, że uczynił to mój poprzednik.

Był to staroświecki, bardzo szeroki komin chłopski, tak że mogłem stać po jednej stronie jego zupełnie swobodnie i nie przeszkadzał mi ani dym, ani gorąco. Jasne światło ogniska z dołu pomagało mi nawet przy moich poszukiwaniach. W tylnej stronie komina brakło jednej cegły, w tem wydrążeniu zaś leżał mały pa-



kiecik. Był to niewątpliwie ten sam, który Lesage po mojem przybyciu tak gorliwie chciał ukryć. Podniosłem go i obejrzałem przy świetle. Był owinięty żółtą materją i związany białą wstążką. Znalazłem w nim kilka listów i duży arkusz papieru, zwinięty we czworo.

Gdy ujrzałem adresy na listach, krew mi zastygła z przerażenia. Jeden z nich był adresowany do obywatela Talleyranda, inne (wszystkie w stylu właściwym republikanom) do obywatela Fouché, obywatela Sout, obywatela Macdonalda, obywatela Berthier i tak dalej. Była tam cała lista generałów i dyplomatów, znanych i sławnych, jako pełni zasług stronnicy nowego cesarstwa. Cóż właściwie mógł ten rzekomy handlarz kawy pisać do tych znakomitych osób? Spodziewałem się, że na załączonym papierze znajdę wyjaśnienie. Odłożyłem tedy owe listy na bok i rozwinąłem duży arkusz papieru. Pierwsze zdanie wystarczyło, by mi wyjaśnić niebezpieczeństwo pobytu w tym przeklętym domu. Opiewało jak następuje: Rodacy! Wypadki dnia dzisiejszego dowiodły, że tyran, nawet wpośród swego wojska, nie może ująć zemsty znieważonego ludu. Komitet trzech, który obecnie kieruje sprawami Rzeczypospolitej, skazał Bonapartego na tę samą karę, która spotkała Ludwika Kapeta. Za zamach wykonany dnia 18. brumaire...

Doszedłem do tego miejsca, gdy nagle, śmiertelnie przerażony, upuściłem papier na ziemię. Dwie olbrzymie ręce chwyciły mnie za nogi jak gdyby żelaznemi kleszczami.

Tym razem, mój drogi — krzyknął głos podobny do grzmotu — tym razem przynajmniej jesteśmy silniejsi od was.

IV.

SPISKOWCY.

Odurzony nagłą napaścią, nie mogłem sobie zdać sprawy z tego niezwykłego a zarazem zawstydzającego położenia, w jakim się znalazłem. Pochwycono mnie, podniesiono w górę jak kurę i ciśnięto potem na kamienną podłogę izby z taką siłą, że prawie straciłem przytomność.

— Nie zabijaj go jeszcze, Toussac — odezwał się jakiś głos łagodny — musimy pierwiej dowiedzieć się, kto on jest.

W tej chwili uczułem pod brodą ciśnienie straszego wielkiego palca, inne palce owinęły się dokoła mej szyi jak żelazną obręczą; głowa moja obracała się wolno, nie mogłem znieść tego okropnego bólu i wydałem jęk głuchy.

— Jeszcze świerć cała wystarczy — zawołał znów ów głos jak grzmot potężny. — Znacie mój stary, wypróbowany sposób. Zniknie bez śladu i bez hałasu.

— Nie, Toussac, jeszcze nie, mówił ów głos słodki, który słyszałem przed chwilą. — Widziałem raz twój chwyt, a to straszliwe trzeszczenie prześladowało mnie potem przez długi czas... Brrr! To rzecz okropna! że też brutalna siła może tak szybko i pewnie zgasić święty ogień życia. Duch może pokonywać materję jedynie z odległości.

Szyja moja była tak wykręcona, że nie mogłem widzieć ludzi, którzy obradowali nad moim losem. Musiałem leżeć cicho i nadstuchiwać.

— Ależ, mój drogi Karolu, ten człowiek zna wprawdzie naszą ważną tajemnicę; idzie tym razem

o nasze życie lub o życie jego. (Był to Lesage, który mówił). Nie musimy go jednak koniecznie natychmiast zabijać; wystarczy uczynić go nieszkodliwym. Pozwól mu usiąść, Toussac; wszak nie może nam się wymknąć.

Posadzono mnie na ziemię z taką samą brutalnością, z jaką mnie pierwiej przewrócono; mogłem teraz patrzeć dokoła i widzieć tych ludzi, w których ręce się dostałem. Ze słów ich dowiedziałem się, że już mieli morderstwa na sumieniu i że żywili plany mordercze na przyszłość. Wiedziałem także, że na tem pustkowiu, wśród trzęsawisk, jestem zupełnie w ich mocy. Ale wspominałem na moje nazwisko i ukiyłem trwogę w głębi mego serca.

Było ich trzech w pokoju; Lesage i dwóch nowoprzybytych. Lesage stał przy stole i trzymał w ręku grubą brunatną książkę; spoglądał na mnie spokojnie, ale oczy jego miały wyraz chytry i nieco szyderczy, jaki można widzieć u gracza w szachy, który odniósł nad swoim przeciwnikiem stanowcze zwycięstwo. Na skrzyni obok niego siedział jakiś człowiek około pięćdziesięcioletni, z twarzą żółtą, ascetyczną, z oczyma głęboko zapadłymi i wąskimi wargami. Miał ubranie koloru tabaczkowego i spodnie spięte pod kolanami na sprzączki stalowe, tak że widać było nogi jego bajecznie chude. Spoglądał na mnie, potrząsając głową, a jego zimne stalowe oczy nie zapowiadały nic dobrego.

Najbardziej jednak przerażał mnie Toussac. Był to olbrzym, bardziej krępy i barczysty, aniżeli wysoki, prawie zniekształcony wskutek nadmiernego rozwinięcia mięśni. Nogi jego były niezgrabne i pałakowate, jak u olbrzymiego byka, cała postać miała w sobie coś zwierzęcego, albowiem gęsty zarost sięgał mu aż do oczu, a kosmata ręka, która się jeszcze zawsze za-

ciskała dokoła mej szyi, była podobna do lwiej łapy. Wyrazu twarzy nie można było poznać z pod brody, ale duże czarne oczy spoglądały straszliwie i pytająco, to na mnie, to znów na jego towarzyszków. Skoro ci wydadzą wyrok śmierci, on z pewnością wypełni czynność kata.

— Skąd się wziął tu ten człowiek, jaki zawód wykonuje i w jaki sposób znalazł tę naszą kryjówkę? — zapytał chudy mężczyzna w ubraniu tabaczkowem.

— Gdy go zobaczyłem przez szybę, myślałem zrazu, że to wy jesteście — odpowiedział Lesage. — Podczas takiej burzy nie mogłem, rzecz jasna, spodziewać się nikogo innego na tem trzęsawisku. Skoro spostrzegłem mój błąd, zamknąłem natychmiast drzwi chaty i ukryłem papiery w kominie. Nie pomyślałem o tem, że przez szczelinę w murze można zaglądać do izby; gdy jednak wyszedłem na dwór, aby wskazać drogę obcemu i pozbyć się go, ujrzałem tę dziurę, przez którą błyszczało światło. Domyśliłem się natychmiast, że musiał mnie śledzić, gdy chowałem papiery i że to, co widział, musiało niezawodnie obudzić jego ciekawość. Niewątpliwie będzie o tem myślał i nie omieszka opowiadać innym, co mu traf odkrył. Dlatego zawołałem go do izby, aby zyskać na czasie i zastanowić się, co potem czynić należy.

— Do kroćset piorunów! Kilka uderzeń tą siekierą i wygodne posłanie na trzęsawisku, tam gdzie jest najbardziej miękkie, a wszystko będzie w najlepszym porządku — mruknął ów niesamowity brodac, który mnie trzymał.

— Całkiem słusznie, mój kochany Toussac, ale nie należy natychmiast chwycić się ostatecznego środka. Trochę ogłędności, trochę dyplomacji nigdy nie zaszkodzi...

— Opowiadaj, co było dalej — warknął olbrzym.

— Otóż chciałem przedewszystkiem dowiedzieć się, czy ten Laval!..

— Jak on się nazywa? — zapytał chudy mężczyzna.

— Mówi, że nazywa się Laval. Chciałem tedy dowiedzieć się, czy widział, jak ukrywałem papiery w kominie. To była najważniejsza kwestja dla nas, a wobec tego, że rzeczy wzięły taki obrót, jeszcze ważniejsza dla niego. Dlatego ułożyłem następujący plan działania. Czekałem, aż zobaczę was nadchodzących, a potem zostawiłem go samego w chacie. Przez okno śledziłem go, jak pośpieszył do komina; zaraz potem weszliśmy do izby, prosiłem się, Toussac, byś go zdjął stamtąd — i oto leży tu przed nami na ziemi.

Po tych słowach młodzieniec spojrział z dumą dokoła, jak gdyby oczekiwał od swoich towarzyszków słów pochwały.

Chudy człowiek klasnął lekko w dłonie i wpatrywał się we mnie z uwagą.

— Mój kochany Lesage — rzekł po chwili — postąpiłeś w istocie genialnie. W naszej nowej rzeczypospolitej powinienś zostać ministrem policji. Ja wprawdzie nie mam tępej głowy, ale muszę przyznać otwarcie, że gdy wszedłem do chaty i ujrzałem nogi jakiegoś człowieka na kominie, nie zrozumiałem odrazu sytuacji. Toussac zaś pochwyił natychmiast za nogi. Ten poczciwy Toussac zawsze praktyczny i wie zawsze, co ma czynić.

— Dość tych słów — mruknął kosmaty potwór, stojący obok mnie. — Gdybyśmy mniej mówili, a szybciej działali, Bonaparte nie miałby już korony cesar-

skiej na głowie, nie miałby już nawet głowy na karku. Najlepiej krótko się z tym paniczem załatwić, a potem wracamy do naszych interesów.

Zwróciłem błagalne spojrzenie na szlachetne oblicze Lesage'a. Ale duże oczy jego patrzyły na mnie zimno i bezlitośnie.

— Toussac ma słuszość — rzekł — narażamy się sami na wielkie niebezpieczeństwo, gdy mu zwrócimy wolność.

— Nie o nas tu idzie i o nasze bezpieczeństwo — mruknął Toussac. — Cóż na nas zależy? Ale narażamy naszą sprawę, a to rzecz o wiele ważniejsza.

— To wychodzi na jedno — odpowiedział Lesage. — Paragraf trzynasty naszych statutów postanawia wyraźnie i dokładnie, co ma w takim wypadku nastąpić. Kto wykracza przeciw temu paragrafowi, ten ściąga na siebie ciężką odpowiedzialność.

Zimny dreszcz wstrząsnął całym mojem ciałem, gdy ten człowiek z wytworną twarzą poety przyłączył się do zdania owego dzikiego zwierzęcia. Ale znów obudził się we mnie promyk nadziei, gdy teraz ów chudy człowiek w ubraniu tabaczkowem, który dotychczas niewiele mówił i tylko się we mnie nieustannie z wielką uwagą wpatrywał, począł widocznie objawiać niepokój z powodu tych krwiożerczych zamiarów swoich towarzyszków.

— Mój drogi Łucjanie — odezwał się słodko, kładąc rękę na ramieniu młodzieńca, — My filozofowie mamy obowiązek szanować życie ludzkie. Jest to świętość, której nie należy niszczyć lekkomyślnie. Dość często twierdziliśmy, że krwawe wybryki Marata...

— Szanuję twoje przekonania, Karolu — przerwał mu młody człowiek — sam przyznasz, że byłem zawsze twoim posłusznym i wiernym uczniem. Ale powtarzam raz

Jeszcze, że nasze własne życie jest zagrożone i że nie-  
 ma tu żadnego innego sposobu. Nikt nie brzydzi się  
 okrucieństwem bardziej odemnie, ale sam widziałeś jak zrę-  
 cznie i sprawnie Toussac przed kilku miesiącami zgładził  
 owego człowieka z Bow Street. Rzecz ta była niewąt-  
 pliwie dla widzów jeszcze straszniejsza, aniżeli dla sa-  
 mej ofiary. Przynajmniej nie słyszał on tego straszego  
 trzaśnięcia, które oznajmiło nam śmierć jego. Jeżeliśmy  
 mogli to znieść wtedy, a o ile sobie przypominam, stało  
 się to głównie na twoje naleganie, musimy i w tym  
 wypadku, o wiele groźniejszym i ważniejszym...

— Nie, nie, Toussac, powstrzymaj się! — wykrzy-  
 knął filozof, a jego zroszła cichy i łagodny głos stał  
 się skrzeczący, gdy mnie kosmata dłoń olbrzyma znów  
 pochwyliła za gardło.

— Zaklinam cię Łucjanie — mówił dalej do mło-  
 dzieńca — nie dopuść do tego z powodów praktycznych  
 i moralnych. Zastanów się, że nasze plany mogą się  
 nie udać, a wtedy utraciliśmy wszelką nadzieję łaski.  
 Pomyśl także...

Ten argument wywarł widocznie wielkie wrażenie  
 na młodzieńcu; oliwkowa twarz jego pobladła śmier-  
 telnie,

Wtedy bylibyśmy bezwarunkowo zgubieni, Karolu  
 — odpowiedział. — Nie mamy żadnego wyboru. Para-  
 grafu trzynastego musimy w każdym razie słuchać.

— Należymy do ciaśniejszego komitetu i możemy  
 postępować z pewną swobodą.

— Paragrafu tego nie możemy samowolnie zmie-  
 niać — powtórzył Lasage z przyciskiem. Jego wargi  
 w dół zwieszzone dęły, ale spojrzenie pozostało zimne  
 i twarde. Podbródek mój poczynał się zwolna, pod na-  
 ciskiem straszliwego palca, znów obracać ku plecom

polecałem duszę moją Przenajświętszej Pannie. Ale nagle zerwał się z miejsca Karol, mój opiekun i obrońca, pochwycił ramię Tcussaca z gwałtownością, która dziwnie odbijała od jego dotychczasowego filozoficznego spokoju.

— Nie wolno ci go zabijać! — krzyczał gniewnie —. Któż ty, że śmiesz opierać się mojej woli? Puszczaj go, powiadam ci, że nie pozwalam go zabijać!

Jednakże ten wybuch gniewu nie wywarł wielkiego wrażenia na obydwoh towarzyszach, twarze ich pozostały zimne i niewzruszone. Wtedy opiekun mój począł znów prosić.

— Posłuchajcie, co wam powiem. Słyszysz, Łucjanie, ja go przesłucham. Gdy się okaże, że jest szpiegiem, niechaj ginie; wtedy Toussac może z nim uczynić co zechce. Ale jeżeli to niewinny podróżny, który zbłądził i nieszczęśliwym przypadkiem dostał się do tego domu i z ciekawości głupiej przeglądał nasze ukryte papiery, w takim razie pozostawcie mi go.

Nie otwierałem dotychczas nst i nie powiedziałem ani jednego słowa na moją obronę, a chociaż było to więcej z dumy, aniżeli z odwagi, byłem jednak z siebie zadowolony. Godność własna była mi droższa od życia. Po ostatnich słowach mego obrońcy, odwróciłem spojrzenie od człowieka, który mnie trzymał za gardło i popatrzyłem na tego, który wydał na mnie wyrok śmierci. Albowiem dzika brutalność mego dręczyciela budziła we mnie mniejszą odrazę, aniżeli tchórzliwe egoistyczne zachowywanie się tego drugiego. Człowiek bojaźliwy jest niebezpieczniejszy, aniżeli wszyscy inni, a sędzia, który się boi sam o siebie, jest najbardziej nieugięty.

Życie moje zawisło teraz od odpowiedzi, jaka padnie na mowę mego obrońcy. Lesage uderzał się lekko



palcami po zębach i uśmiechał się pobłaźliwie na poważny ton swego towarzysza.

— Paragraf trzynasty! Paragraf trzynasty! — powtarzał wciąż swoim słodkim głosem, który mnie tem bardziej oburzał.

— Muszę ci coś powiedzieć, mój drogi — dodał Toussac swoim rubasznym głosem. — Jest jeszcze inny przepis prawny, który tak opiewa: Kto ukrywa zbrodniarza lub go ochrania, powinien być tak samo ukarany, jak gdyby sam tę zbrodnię popełnił.

Ale mój obrońca pozostał dalej spokojny nie zważając na tę przymówkę olbrzyma.

— Jesteś wybornym człowiekiem do czynu, mój kochany Toussac — rzekł do niego — ale gdy idzie o to, aby powziąć jakieś postanowienie, uczynisz lepiej, jeżeli to pozostawisz głowom od ciebie rozumniejszym.

Spokój, z jakim słowa te były wypowiedziane, omeścił olbrzyma. Nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

— Co się zaś tyczy ciebie, Łucjanie — mówił dalej mój opiekun — dziwi mnie niewymownie, że sprzeciwiasz się mojemu życzeniu, skoro pragniesz stać się członkiem mej rodziny. Komu zawdzięczasz to, że poznałeś prawdziwe zasady wolności i że jesteś jednym z tych, którzy nigdy nie wąpili o ostatecznem zwycięstwie Rzeczypospolitej?

— Prawda, prawda, Karołu, przyznaję to otwarcie — odrzekł młodzieniec silnie wzruszony. — Bądź przekonany, że nigdy nie będę się sprzeciwiał twoim życzeniom, ani nie będę stawiał przeszkód urzeczywistnieniu twoich zamiarów. W tym wypadku jednak dobroć twoja prowadzi cię na manowcę. Żadawaj mą

tedy w imię Boga, ile chcesz pytań, ale to nie zmieni ostatniego wyniku sprawy.

I ja byłem tego samego zdania; znałem wszakże tajemnicę tych ludzi, którym groziło tak wielkie niebezpieczeństwo. Nie mogli mnie przeto puścić z rąk żywego. A przecież życie jest tak piękne, a każde jego przedłużenie, chociażby najkrótsze, sprawia rozkosz niewymowną. Gdy uścisk morderczej ręki dokoła mej szyi zwolniał, zdawało mi się, że słyszę głos dzwonów świątecznych i że lampa w pokoju płonie jaśniejszym światłem. Odzyskałem wkrótce zupełną przytomność i spojrzałem na wychudłą twarz mego sędziego śledczego.

— Skąd pan przybywasz? — zapytał mnie.

— Z Anglii.

— Ale jesteś pan Francuzem?

— Tak jest.

— Kłedy pan przybyłeś?

— Dziś wieczór.

— Którą drogą?

— Na żaglowcu z Dover.

— Ten człowiek mówi prawdę — wtrącił Tous-  
sac. — Na jego szczęście mogę to potwierdzić. Wi-  
dzieliśmy ten okręt i wysadzono kogoś na ląd, na-  
tychmiast gdy łódź, która mnie przywiozła, odbiła od  
brzegu.

Przypomniałem sobie teraz ową łódź; była to  
pierwsza rzecz, którą spostrzegłem na wybrzeżu fran-  
cuskiem. Jak wielkie znaczenie miała teraz dla mnie!  
Mój obrońca jał mi obecnie zadawać różne pytania,  
całkiem ogólne i bez żadnego znaczenia i czynił to  
tak powoli i z takim wahaniem się, że Tous-  
sacierpliwiony począł szemrać. Te pytania krzyżowe  
wydawały mi się komedją czczą i bez sensu, a jednak

po gorliwości i dosadności, z jaką mi je zadawał, poznałem, że ma w tem jakiś ukryty cel. Może pragnął tylko zyskać na czasie? Ale poco? I wtedy z tą jasnością, jaką daje umysłowi pewność groźnego niebezpieczeństwa, odgadłem, że ten człowiek oczekuje czegoś, że czeka z naprężeniem i niecierpliwością. Wyczytałem to w jego zmarszczonej twarzy, poznałem to po nieustannem mruganiu jego niespokojnych oczu. Widocznie czekał na czyjeś przybycie i mówił ciągle, bez przerwy, aby całą rzecz przewlec. Byłem tak dalece pewny tego, jak gdyby mi swoją tajemnicę szepnął do ucha, a do mego zdrętwiałego serca wtargnęła nowa nadzieja, ożywcza, jak strumień świeżej wody na wyschłą ziemię.

W końcu jednak Toussac stracił cierpliwość i wybuchł gniewem. Z ust wyrwało mu się dzikie przekleństwo.

— Teraz mam tego dość — wołał. — Dla takiej dziecinnej zabawki nie chcę narażać życia mego na niebezpieczeństwo. Czyż nie mamy nic lepszego do roboty, jak słuchać tego paplania? Czy po to przybyłem tu z Londynu, z takimi trudnościami, aby tracić drogi czas na takie banialuki? Dość tych pytań i przystąpmy do rzeczy ważniejszych.

— Bardzo słusznie — odpowiedział mój obrońca. — Ta mała szafa w ścianie może wybornie służyć dla tego człowieka za więzienie. Wsadźmy go tam i zajmijmy się tymczasem naszymi interesami. Potem będziemy mieli jeszcze zawsze dość czasu, aby się z nim rychło załatwić.

— Aby jeszcze podsłuchiwał nasze rozmowy — mruknął Lesage.

— Nie wiem doprawdy, co ci się dzisiaj stało, chyba rozum ci się pomieszał — krzyczał Toussac,

rzucając podejrzliwe spojrzenie na mego opiekuna. — Nie byłeś nigdy tak delikatny, mój kochany, a najmniej wtedy, gdy zaszedł ów wypadek z człowiekiem z Bow Street. Ten młodzieniec zna naszą tajemnicę; gdy mu darujemy życie, zobaczymy się z nim znów przed sądem jako oskarżeni. Cóż to za sens uknuć sprzysiężenie, aby później, w ostatniej chwili, z powodu obcego człowieka, narazić na niebezpieczeństwo pomyślny wynik jego, a nas wszystkich wtrącić w nieszczęście? Skręć mu kark i wszystko będzie w porządku.

I znów wyciągnęły się te ohydne kosmate ręce ku memu podbródkowi, gdy wtem Lesage nagle zerwał się z miejsca. Poblądł straszliwie i nadśłuchiwał z wyteżoną uwagą; głowę pochylił na bok a w skazujący palec zwrócił ku drzwiom. Jego delikatna, cienka dłoń drżała jak liść miotany wiatrem.

— Zdaje mi się, że coś słyszę — szepnął.

— Ja także — rzekł stary człowiek.

— Coby to mogło być?

— Cicho, uważać!

Słuchaliśmy z natężeniem, wstrzymując oddech. Wiatr wył w kominie i potrząsał starami ramami okien.

— To nic — rzekł w końcu Lesage, śmiejąc się nerwowo. Są to zwykłe odgłosy burzy.

— Cicho — zawołał drugi towarzysz — znów coś słyszałem.

Tym razem jakieś dzikie wycie zapanowało nad burzą.

— Szczekanie psa!

— Ścigają nas!

Lesage pośpieszył co rychlej do komina i wrzucił papiery w ogień.

Toussac pochwycił siekiereę znajdującą się obok

ściany; mój obrońca zaś odepchnął kupe sieci rybackich od ściany i otworzył małe drzwi drzewiane, zamykające ciasną kryjówkę.

— Prędko, wejdź tu — szepnął do mnie.

Wsuwając się do tego ukrycia, słyszałem, jak mówił do swoich towarzyszków, że jestem tam w bezpiecznym miejscu i że będą mogli potem uczynić ze mną, co im się spodoba.

## V.

### W PUŁAPCE.

Moja klatka — inaczej trudno nazwać tę kryjówkę, do której mnie wepchnięto — była ciasna i niska, nadto jeszcze wypełniona okrągłymi plecionymi koszykami, których przeznaczenia zrazu nie mogłem sobie wytłumaczyć. Później poznałem, że to były więcierze na homary.

Światło wdzierano się tu jedynie przez szczeliny w starych popękanych drzwiach; było ich jednak tak wiele i były tak szerokie, że mogłem wygodnie widzieć wszystko, co się działo w izbie. Pomimo osłabienia i przeżytych wzruszeń, osłupiałem na widok, jaki się moim oczom przedstawił.

Mój obrońca, na którego pomarszczonej twarzy widniał zawsze ten sam wyraz spokoju, siedział znów na skrzyni. Nogi skrzyżował, ręce opuścił na kolana i kołysał się obojętnie z tyłu na przód, mięśnie jego twarzy ściągały się rytmicznie jak skrzele ryby. Obok niego stał Lesage; twarz jego trupio blada była pokryta śmiertelnym potem a usta drżały mu z trwogi. Od czasu do czasu usłował przezwyciężyć strach, ale znów opadał z sił i nogi się pod nim uginały. Toussac natomiast stał obok ognia, wspaniała postać atlety; siekiere

trzymał w rękę, głowę zarzucił wyzywająco w tył, widać było, że całe ciało jego jest gotowe do walki. A gdy ujadanie psa stawało się coraz bliższe i wyraźniejsze rzucił się ku drzwiom i otworzył je gwałtownym ruchem.

— Nie wpuszczaj psa do izby — krzyczał Lesage w największej trwodze.

— Głupcze, musimy go zabić; to nasza ostatnia nadzieja.

— Wszak jest na smyczy.

— W takim razie jesteście zgubieni. Gdyby jednak był wolny, moglibyśmy jeszcze ująć stąd szczęśliwie.

Lesage skulił się pod stołem i patrzył nieruchomo ku otwartym drzwiom. Mój opiekun nie przestawał się kołysać, a na ustach jego igrał chytry uśmiech. Chuda dłoń szarpał żabot u koszuli, także przypuszczałem, że ma tam jakąś broń ukrytą. Między tą grupą a otwartymi drzwiami stał Toussac; pomimo wstrętu, jaki do niego odczuwałem, odważna jego postawa przejmowała mnie podziwem.

Zajmujące widowisko, jakie się teraz miało przed moimi oczyma odegrać, bliskie niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad tymi trzema spiskowcami, o władnęło mną tak bardzo, że zapomniałem o mojem własnem położeniu. Byłem w mojej brudnej kryjówce jedynym świadkiem tego okropnego dramatu na niepokalnej scenie. Wstrzymywałem oddech i nieruchomy czekałem na dalsze wypadki.

Ci trzej ludzie musieli nagle coś zobaczyć, czego ja z mego miejsca widzieć nie mogłem; poznałem to po wyrazie ich twarzy i spojrzeniu ich oczu szeroko rozwartych. Nagle scena się zmieniła. Toussac zgarbił się i wzniosł w górę siekiere, jak do ciosu. Lesage legł

na ziemię jak długi i zasłonił ręką oczy. Staruszek zaś przestał wymachiwać nogami i siedział na krawędzi skrzyni, nieruchomy jak posąg. Do uszu moich doszedł szmer, jak gdyby od szybkich kroków na wilgotnym mule, a wkrótce potem coś żółtego wpadło do izby z szybkością błyskawicy. Siekiera Toussaca spadła na dół i zatopiła się w gardle zwierzęcia. Cios był tak silny, że broń złamała się na kawałki, a Toussac runął obok psa na ziemię. Kosmaty człowiek i pies tarzali się obok siebie na ziemi, dysząc, wyjąc, szarpiąc się. Wtedy chwycił Toussac psa za gardło; dał się słyszeć głośny okrzyk bólu a potem trzask, jak gdy się drze silne płótno. Olbrzym powstał z ziemi, chwając się z rękoma krwią ociekającymi, zwierzę zaś leżało bez życia, jak masa bezkształtna w krwawej kałuży.

— A teraz prędko w drogę! — zawołał Toussac głosem do grzmotu podobnym i wybiegł na dwór.

Podczas tej śmiertelnej walki człowieka z psem, Lesage, zdjęty ogromną trwogą, ukrył się w kącie pokoju. Teraz podniósł twarz wykrzywioną strachem i oblaną zimnym potem.

— Tak, tak, — wołał — musimy uciekać stąd. Karolu, żandarmi pozostali za psem dobry kawałek w tyle. Możemy się jeszcze ocalić ucieczką.

Ale twarz staruszka pozostała dalej niezmieniona i zachowała wyraz zupełnego spokoju i obojętności; tylko mięśnie na niej poruszały się rytmicznie. Poszedł ku drzwiom i zamknął je ze środka na klucz.

— Sądzę, przyjacielu Lucjanie — rzekł spokojnie — że najlepiej będzie, jeżeli tu zostaniesz.

Lesage wlepił w niego zdumione oczy; zdziwienie jego było prawie silniejsze, aniżeli przerażenie.

— Ależ nie rozumiesz chyba naszego położenia, Karolu — zawołał,

— Zdaje mi się, że je rozumiem — odpowiedział jego towarzysz z uśmiechem.

— Każdej chwili mogą tu przybyć; pies wyrwał się ze smyczy i pobiegł naprzód; oni z pewnością przybędą tutaj; wszak niema żadnej innej chaty na trzęsawisku.

— Tak jest, oni przybędą tu na pewno.

— A więc uciekajmy szybko; może nam się jeszcze uda umknąć w ciemności.

— Nie, zostaniemy tutaj.

— Szaleńcze, możesz poświęcić twoje własne życie, ale nie moje. Zostań tu, jeżeli chcesz, ja odchodzę.

Z ramionami w dół spuszczonei pobiegł ku drzwiom, wyglądał jak obraz bezsilnej rozpacz. Ale stary zastąpił mu drogę i zatrzymał go ruchem tak rozkazującym, że młody człowiek cofnął się w tył.

— Łucjanie — rzekł do niego — jesteś głupcem oszukany... Rozumiesz mnie? Nędznym głupcem, wystrychniętym na dudka.

Lesage osłupiał, usta zwisły mu na dół, kolana zachwiały się pod nim. Nagle rozjaśniło mu się w mózgu.

— A więc ty, Karolu — wybełkotał z trudnością — ty jesteś szpiegiem?

— Tak jest, jestem nim, — odpowiedział stary i zaśmiał się cicho, śmiechem strasznym, od którego krew mi w żyłach zastygła.

— Ty jesteś szpiegiem policyjnym, ty, który byłeś duszą naszego sprzysiężenia, członkiem najściślejzego komitetu, naszym przywódcą! To rzecz niemożliwa, Karolu! — Zdaje mi się, że już nadchodzą. Pozwól mi odejść stąd, zaklinam cię, wypuść mnie z tej chaty.

Ale starzec potrząsnął głową, twarz jego pozostała niewzruszona jak z glazu.



— Dlaczegoż tylko ja mam być ofiarą, a nie Toussac?

— Gdyby pies był Toussaca pokąsał i uczynił nieszkodliwym, byłbym miał was obydwóch w mej mocy. Ale tak, jak rzeczy stoją, poczciwy Toussac jest mi za silny. Nie, mój drogi Łucjanie, ty będziesz sam jeden moją zdobyczą wojenną i dowodem mojego trjumfu; musisz przyjąć los twój z rezygnacją.

Ale Lesage bił się ciągle pięścią w czoło i był jak nieprzytomny; zdawało mu się, że trapi go ciężki sen.

— Szpieg — powtarzał — Karol jest szpiegiem, ajentem policyjnym!

— Wiedziałem odrazu, że to cię wprawi w zdziwienie.

— Przecież byłeś z nas wszystkich najzgorzalszym republikaninem. Nikt z nas nie był dla ciebie dość energiczny. Ileżto razy przysłuchiwałeś się twoim wykładom filozoficznym, w których nam wyłuszczałeś twoje przekonania polityczne.

I nagle inna myśl przyszła mu do głowy.

— A Sybilla? Ona przecież nie jest szpiegiem. Ty żartujesz, Karolu, powiedz, że żartujesz.

Z twarzy starca znikł wyraz srogości; rozpalila się uśmiechem zadowolenia.

— Twoje zdumienie jest dla mnie bardzo pochlebne — rzekł. — Dowodzi, że moją rolę dobrze odegrałem, o czym zresztą i sam wiedziałem. Nie moja to wina, że ci partacze psa wypuścili. W każdym razie należy mi się sława, że sam bez obcej pomocy pojmałem jednego z najbardziej zuchwałych i niebezpiecznych spiskowców.

Uśmiechnął się szyderczo, charakteryzując w ten sposób swego wzięnia.

— Cesarz umie — dodał — nagradzać swoich przyjaciół i karać swoich wrogów.

Przez cały czas trzymał starzec rękę za surdudem na piersiach; teraz wyciągnął ją tak daleko, że ukazała się błyszcząca lufa pistoletu.

— To wszystko na nic ci się nie przyda — rzekł w odpowiedzi na poruszenie młodego człowieka. — Zostaniesz tu w tej chacie żywy albo umarły.

Lesage ukrył twarz w dłoniach i począł głośno szlochać.

— Ty byłeś z nas wszystkich najgorszy Karolu, najskrajniejszy — zawołał płacząc — ty kazałeś Toussacowi zabić owego człowieka na Bow Street i podłożyłeś ogień w Rue basse de la Rampart. A teraz zwracasz się przeciw nam.

— Uczyniłem to wszystko jedynie w tym celu, aby sprawę należycie wyświecić i to w stosownej chwili.

— To bardzo ładnie, Karolu, ale co pomyślą o tobie, gdy ja opowiem to wszystko — dla mej własnej obrony. Jak będziesz się mógł usprawiedliwić z tego przed cesarzem? Jeszcze czas zapobiec moim zeznaniom.

— Masz w istocie słuszość — rzekł staruszek, wy dobył pistolet i napiął kurek. — Być może, że kilkakrotnie przekroczyłem moje instrukcje i jeszcze jest czas zapobiec nieprzyjemnościom, na jakiebyś mógł być narażony z tego powodu. Jest to ostatecznie obojętne, czy cię wydam władzom żywego czy umarłego i sądzę doprawdy, że lepiej jest wydać cię jako trupa.

Straszny był widok walki olbrzymiego Toussaca z dzikim psem, ale jeszcze większa zgroza ogarnęła mnie, gdy byłem świadkiem tej okropnej sceny i zimny

dreszcz wstrząsał całym mojem ciałem. Owładnęło mną teraz niewytłumaczone uczucie: równocześnie wstyd, obrzydzenie, litość, a nadto rozpacz, że znajduję się bezsilny w tej przekłętej kryjówce.

Patrząc na tego młodzieńca wytwornego, wątlej budowy ciała, z twarzą marzycielską, przeznaczonego od natury na poetę lub uczonego, którego obca silniejsza wola zmusiła do odegrania nieodpowiedniej dla niego roli, zapomniałem o jego podstępie wobec mnie i o jego chytrości, tchórzostwie, o zaciekłości, z jaką domagał się mej śmierci i o strasznych męczarniach duszy, przez jakie z jego powodu przechodziłem.

Upadł na ziemię i tarzał się w kurczach, przejęty straszną trwogą, towarzysz zaś jego z szyderczym uśmiechem przyłożył mu lufę pistoletu do skroni. Bawił się tchórzem, jak kot myszą, ale w jego nieubłaganych oczach wyczytałem, że myśli na serjo i lada chwila oczekiwałem, że dotknie się palcem cyngla.

Przejęty zgrozą z powodu tego morderstwa na zimno obmyślonego, otworzyłem zbutwiałe drzwi mej klatki, aby pospieszyć nieszczęsnej ofierze z pomocą. Wtem dał się słyszeć za drzwiami szcęk broni i szmer głosów ludzkich.

— W imieniu cesarza — zawołał jakiś głos stentorowy i drzwi rozwarły się z łoskotem.

Na dworze jeszcze zawsze wyła dzika burza. Przez otwarte drzwi chaty widziałem kilku jeźdźców ze zwieszonymi na dół pióropuszcami i przemoczonemi płaszczami, na których błyszczały krople deszczu. Z boku padało światło z chaty na dwie wspaniałe głowy rumaków i na czapki futrzane o czerwonych brzegach huzaarów, którzy stali obok koni, trzymając je za uzdy. We drzwiach ukazała się postać wysmukła: po wytwornym wyglądzie można było poznać, że to oficer. Miał długie

buty do kolan i niebieski mundur srebrem szamefowany, który wybornie uwydatniał jego wysoką postawę. Był to bardzo piękny mężczyzna, o cerze bladej, czarnych oczach, z długimi włosami. Podziwiałem wdzięk, z jakim odrzucił płaszcz na ramię i rękę wprost na rękojeści szabli. Uważał widocznie, że nie warto dobywać szabli i stał na progu, przebiegając oczyma, z zimnym spokojem, skrwawioną podłogę chaty. Wkońcu zatrzymał spojrzenie na tych, którzy byli w izbie zgromadzeni.

— A więc? zapytał — chłodno.

Stary człowiek wsunął pistolet napowrót do kieszeni.

— Oto Łucjan Lesage — rzekł, wskazując na młodzieńca leżącego na ziemi.

Huzar spojrzał pogardliwie na tę nędzną postać, istny obraz rozpacz.

— Piękny spiskowiec — zawołał. — Wstań, podły tchórze... Gerard, tobie powierzam więźnia prowadź go do obozu.

Młody oficer wszedł do izby, brzęcząc ostrogami, za nim dwóch żołnierzy. Wynieśli biednego Lesage'a napół omdlałego ze strachu, na dwór.

— A gdzie ten drugi, który nazywa się Toussac?

— Zabił psa i uciekł. Lesage byłby także uciekł, gdybym go nie był powstrzymywał. Gdybyście nie byli psa puścili ze smyczy, byłiby obaj spiskowcy teraz w naszych rękach. Ale i co do tego więźnia możesz mi powinszować, pułkowniku Lassalle, albowiem to nie była sprawa łatwa.

[ wyciągnął rękę do oficera, ale ten jej nie ujął, lecz odwrócił się do niego tyłem i zawołał do kogoś stojącego na dworze:

— Słyszysz pan, panie generale. Toussac uciekł.

Młody wyniosły mężczyzna ukazał się w świetle

lampy. Był to generał Savary. Na jego pięknej ogo-  
rzałej twarzy widać było niemiłe wrażenie. Jakie na  
nim wywarła ta wiadomość.

— Gdzież jest właściwie?

— Uciekł przed kwadransem.

— Jest to najbezpieczniejszy ze wszystkich spi-  
skowców. W którą stronę się zwrócić?

— Zdaje mi się, że ku lądowi.

— A któż jest ten człowiek? — zapytał generał  
Savary, wskazując na mnie. — Według pańskiego do-  
niesienia miało tu być tylko dwóch ludzi, oprócz pana,  
panie...

Ale Karol przerwał mu szybko, mówiąc:

— Proszę lepiej nie wymieniać swego nazwiska.

— Rozumiem pana dobrze odrzekł szydlerczo ge-  
nerał Savary.

— Wskazałem panu tę chatę, jako miejsce schadzki  
spiskowców, ale ona została dopiero w ostatniej chwili  
na to przeznaczona. Do tej chwili nie pomyślałem, że  
tu może ktoś jeszcze zabłądzić. Dałem panu, panie  
generale, możliwość ujęcia Toussaca; pan jednak ze-  
psułeś wszystko, puszczając psa ze smyczy. Będziesz  
pan odpowiadał przed cesarzem za swoje niedbalstwo;  
jestem przekonany, że cesarz tego płazem nie puści.

— To moja rzecz — odpowiedział surowo ge-  
nerał Savary. — Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć  
nazwisko tego młodzieńca.

Uważałem za rzecz zbytęzną ukrywać moje  
prawdziwe nazwisko, albowiem list, który miałem  
w kieszeni, byłby je i tak niewątpliwie zdradził.

— Nazywam się Ludwik de Laval — odpowie-  
działem z niejaką dumą, sam się przedstawiając.

Widocznie my emigranci, żyjąc w mglistej Anglii,  
zaudto przecenialiśmy znaczenie naszych nazwisk.

Sądziliśmy, że cała Francja oczekuje niecierpliwie naszego powrotu, a tymczasem, jak się zdaje, wśród doniosłych wypadków ostatnich czasów zapomniano o nas zupełnie.

Moje arystokratyczne nazwisko nie wywarło na generale Savary najmniejszego wrażenia. Zapisał je spokojnie do swego notatnika.

— Pan de Laval nie ma z całą tą sprawą nic wspólnego — rzekł szpieg. — Dostał się tu tylko przypadkiem i ręczę za to, że stanie do rozporządzenia władzy, gdy będzie tego potrzeba.

— Świadcstwo jego będzie z pewnością potrzebne — odparł generał Savary. — Potrzebuję teraz jednak wszystkich moich ludzi, aby ścigać zbiega i nie znam zatem nic przeciw temu, aby Laval został pod pańskim nadzorem, jeżeli pan za niego ręczy. Zwrócę się do pana, skoro cesarz zapragnie go widzieć.

— Będzie zawsze gotów na każde wezwanie cesarza.

— Czy są jakie papiery?

— Lesage je spalił.

— To doprawdy szkoda.

— Sporządziłem jednak odpisy.

— Wybornie. Chodź pan tu, pułkowniku Lassalle, nie mamy ani minuty do stracenia. Tu nie mamy dłużej nic do roboty. Musimy rozesać natychmiast jeźdźców na wszystkie strony; może go jeszcze gdzie pochwyca.

Obaj oficerowie, nie spojrzawszy nawet na szpiega, wyszli z izby. Słychać było na dworze krótkie urywane rozkazy wojskowe, a jeźdźcy, dzwoniąc szablami, wsiedli na konie. Za chwilę znikli i nastąpiła cisza.

Mój opiekun poszedł ku drzwiom wyjrzał

w ciemność. Potem powrócił, zmierzył mnie bystrem spojrzeniem od stóp do głowy, a uśmiech szyderczy igrał na jego ustach.

— Tak tedy, mój drogi panie — rzekł — widział pan bardzo zajmujące żywe obrazy i może pan mi być wdzięczny za to barwne widowisko.

— Jestem rzeczywiście pańskim dłużnikiem — odpowiedziałem, przejęty naprzemian uczuciem wdzięczności i głębokiego wstrętu. Sam nie wiem, jak mam panu dziękować.

Szydercze oczy starca spojrzały na mnie jakoś dziwnie.

— Będzie pan miał jeszcze dość sposobności okazać mi swoją wdzięczność — rzekł. — Tymczasem nie może pan uczynić nic lepszego, aniżeli pójść ze mną, ponieważ jesteś tu obcy i ja odpowiadam za twoją osobę. Zaprowadzę pana tam, gdzie będziesz mógł bezpiecznie wypocząć i spędzić spokojnie resztę nocy.

## VI.

### PODZIEMIE.

Ogień na kominie zgaśł, a mój opiekun zdmuchnął lampę. Opuściliśmy ten dom grozą przejmujący, a gdyśmy uczynili kilka kroków, straciliśmy go z oczu. Wiatr ucichł, tylko padał deszcz drobny, przejmujący. Gdybym był sam, byłbym znów w krótkim czasie zabłądził i stał nieporadny, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić, jak wtedy, gdy mnie wysadzono na brzeg. Mój towarzysz jednak szedł naprzód śmiałym i pewnym krokiem; widocznie znał dobrze okolice i orjentował się według pewnych wskazówek, których ja nie widziałem albo nie znałem. Włókłem się za nim z trudem,

wyczerpany i przemoczony; po tych przejściach nogi mi odmawiały posłuszeństwa. Wspomnienia tego, co w tych ostatnich godzinach przeżyłem, błąkały się w moim dręczonym mózgu.

Pomimo młodego wieku znałem stosunki polityczne we Francji bardzo dokładnie; tam, w Ashford, nasłuchiwałem się tyle, jak emigranci rozstrząsali i omawiali nawet najdrobniejsze wypadki w naszej ojczyźnie. Wiedziałem, że wyniesienie Napoleona na tron wprawiało w rozpacz małą, ale doborową garstkę jakobinów i skrajnych republikanów; wszak wszystkie ich usiłowania, aby obalić królestwo, doprowadziły jedynie do tego, że w miejscu królestwa powstało cesarstwo.

Z drugiej strony znów stronnicy Bourbonów w których kole spędziłem młodość, byli bardzo niezadowoleni z radosnego przyjęcia, jakie lud zgótował parwenjuszowi, który zasiadł na tronie cesarskim. Przywódcy obydwóch stronnictw, aczkolwiek z różnych motywów, byli jednak z sobą zgodni w nienawiści do Napoleona i w dążeniach, aby go w jakikolwiek sposób usunąć. Stąd pochodziła ta masa spisków, z których większa część zawiązywała się w Anglii i stąd ta wielka falanga szpiegów, którą zorganizował Fouché i Savary, obaj mający czuwać nad bezpieczeństwem cesarza. Przypadek zrzucił, że wylądowałem na wybrzeżu francuskim równocześnie z niebezpiecznym spiskowcem i że wkrótce potem poznałem, jakich środków używa policja przeciw wywrotowcom.

Gdy sobie przypominałem przygody tej nocy, moją wędrówkę po trzęsawiskach, przybycie do owej rudery, znalezienie papierów, nadejście spiskowców, którzy mnie uwięzili, ten długi okres czasu niepokoju, kiedy Toussac trzymał rękę na mojem gardle i chciał



mnie udusić, a potem te oburzające sceny, których byłem świadkiem, walkę olbrzyma z psem, aresztowanie Lesage'a i wkroczenie żołnierzy do chaty, nie mogłem się dziwić, że cały mój system nerwowy był wstrząśnięty i że doznawałem konwulsyjnych drgań na całym ciele.

Najwięcej zajmowało mnie pytanie, jaki będzie stosunek między mną a tym starym człowiekiem, który szedł obok mnie. Postępowanie jego napełniało mnie wstrętem. Byłem świadkiem jego zdrady wobec towarzyszków i jego zimnego okrucieństwa wobec jęczącego tchórza, który się czołgał u stóp jego. Nie mogłem jednak temu przeczyć, że śmiało stawić czoło wybuchom gniewu Toussaca i że mnie wyratował ze straszego położenia, w które mnie wtrąciła moja dziecinna ciekawość. Było nadto rzeczą jasną, że mógł mię zadenuncjować przed policją i wydać jej jako drugiego spiskowca, przez coby się jej w jeszcze lepszym świetle ukazał. Prawda, że nie byłem spiskowcem, ale czyż mogłem dowieść mojej niewinności? To pobłażliwe postępowanie tego człowieka o kamiennem sercu wobec mnie wprawiło mnie w takie zdumienie, że go nagle zapytałem, wprost i bez ogródek, co właściwie zamierza ze mną uczynić.

Usłyszałem cichy śmiech jego; było widoczne, że to moje niespodziewane pytanie rozśmieszyło go.

— Pan jesteś doprawdy zabawny, panie... panie... jak pan się nazywa właściwie?

— De Laval.

— A tak, prawda, panie de Laval. Posiadasz pan porywczosć i prostotę młodości. Raz pragniesz pan zobaczyć co jest w kominie ukryte i... wyłazisz na komin. Teraz żądasz znów, abym ci wyjawiał moje plany i chcesz poznać moje myśli. Muszę panu wyznać, że

jestem przyzwyczajony do obcowania z ludźmi, którzy są od pana ostrożniejsi i nie wyjawiają swoich myśli; otóż szczerść pańska podoba mi się i wywiera na mnie wpływ orzeźwiający.

— Jakiegokolwiek są pańskie pobudki działania, w każdym razie ocaliłeś mi pan życie — odpowiedziałem. — Jestem panu za to niewymownie wdzięczny.

Jest to bardzo trudno człowiekowi, do którego się czuje wstręt, okazać swoją wdzięczność. Uczyniłem to z pewnym przymusem, a on poznał po mojej mowie, co mnie kosztuje wyrażenie wdzięczności.

— Nie żądam pańskiego podziękowania — odpowiedział chłodno. — Pan masz słuszną, jeżeli przyjmujesz, że byłbym się spokojnie dał zabić, gdyby to odpowiadało moim planom, a z drugiej strony jestem tego pewny, że gdyby się pan nie znajdował obecnie w położeniu przymusowem, byłby mi pan z pewnością odmówił podania ręki, tak samo, jak to uczynił ten idjota Lasalle. Jest to rzecz zaszczytna na polu bitwy narażać swe życie za cesarza, ale jeżeli żyje się w służbie jego nieustannie między ludźmi, którzy są zdolni do wszystkiego, gdy się wie, że najdrobniejsza nieostrożność oznacza śmierć niewątpliwą, wtedy naturalnie nie jest się godnym dotykać czystej dłoni uczciwego człowieka. Narażałem się na większe niebezpieczeństwa i znosiłem większe przykrości w towarzystwie Toussaca i innych dzikich brutalów podobnego pokroju, aniżeli ów Lassale kiedykolwiek w czasie swoich śmiesznych ataków kawalerji. A co się tyczy usług, jakie wyświadczyłem cesarzowi, to z pewnością czyny wszystkich marszałków Francji nie mają takiego znaczenia, jak moje. Ale panu niezawodnie wydaje się to wszystko w innem świetle, panie... panie...

— De Laval.

— Że też zawsze zapominam to nazwisko. A więc pan jesteś tego samego zdania, co pułkownik Lassalle?

— Moje zdanie nie ma wielkiego znaczenia — odpowiedziałem. — Wiem tylko tyle, że pańskiej pomocy i opiece zawdzięczam życie i raz jeszcze dziękuję panu za to.

Zanim jeszcze mógł mi odpowiedzieć, słychać było w oddali krzyki i strzały pistoletowe. Zatrzymaliśmy się na miejscu, ale znów wszystko ucichło.

— Musieli widocznie zobaczyć Toussaca — zawołał mój towarzysz. — Ale człowiek ten jest zanadto silny i przebiegły, aby da się pochwycić. Sądzę, że można by iść aż na koniec świata, zanim się znajdzie równego mu zucha, tak samo, jak on, niebezpiecznego.

— Poszedłbym lepiej na koniec świata, aby go ominąć — odpowiedziałem — chyba gdybym miał dość środków, aby obronić się od niego.

Mój towarzysz przyznał mi ze śmiechem słuszność.

— A jednak jest to człowiek w gruncie rzeczy uczciwy — mówił — a to bardzo rzadka cnota w naszych czasach. Od czasu wybuchu rewolucji jest jej wiernie oddany. Służy jej z całym zapałem natury prostej i prawej, wierzy święcie we wszystko, co piszą i mówią i jest niezłomie\* przekonany, że Francja, po pewnych zamieszkach i koniecznych egzekucjach, stanie się przybytkiem spokoju, szczęścia i miłości braterskiej. Wielu ludzi oddawało się tym pięknym złudzeniom, ale głowy ich padły prawie wszystkie pod nożem gilotyny. Toussac pozostał wierny swoim ideałom; widząc jednak wszędzie, zamiast pokoju, krwawe walki, zamiast szczęścia nędzę, widząc, że zamiast wymarzonej Rzeczypospolitej powstało cesarstwo, oszalał rzec można,

Stał się tym dzikim zwierzem, jakim go pan dziś widziałeś. Jedną ma tylko myśl przewodnią, aby ścigać i tępić tych, którzy zburzyli jego ideał polityczny. Tej myśli poświęca swoją olbrzymią siłę. Jest to człowiek nadzwyczaj odważny, który nie zna trwogi, wytrwały, nieubłagany i okrutny i pewnego pięknego dnia zabije mnie z pewnością, aby się zemścić za to, że go tej nocy tak zřęcznie podszedłem.

Mój towarzysz powiedział to zupełnie spokojnie, z zimną krwią i zrozumiałem, że to nie jest żadna przechwałka z jego strony, gdy twierdził, że jego pogardzone rzemiosło wymaga więcej odwagi, aniżeli świetne ataki kawalerji pułkownika Lassalle.

Po krótkiej przerwie mówił stary dalej, jak gdyby sam do siebie:

— Tak jest, nie skorzystałem ze stosownej chwili i źle zrobiłem. Powinienem go być zastrzelić wtedy, gdy się pasował z psem. Ale byłbym go może tylko zranił, a wtedy byłby mnie rozszarpał na kawałki, jak upieczone kurczę. Może tedy lepiej, że tak się stało.

Minęliśmy nareszcie błota i czuliśmy znów twardy grunt od nogami. Mój nowy przyjaciel szedł wśród ciemności po pagórkach w górę i na dół z nadzwyczajną pewnością i bardzo szybko. Dogadzało mi to, gdyż miałem ubranie przemoczone i ciało napół zdrętwiałe z zimna.

Gdzieśmy byli i dokąd szliśmy, o tem nie miałem najmniejszego pojęcia. Urodziłem się wprawdzie w tej okolicy, ale opuściłem moje miejsce urodzenia już we wczesnej młodości. Nawet w biały dzień nie mógłbym się tutaj zorjentować, a cóż dopiero wśród takiej ciemności. Ogarnęła mnie jednak obojętność i apatja; było mi wszystko jedno, gdzie się znajdowałem, pragna-

łem tylko jednej rzeczy, spać, spać długo, jak najdłużej.

Nie wiem, jak długo już byliśmy w drodze; szedłem jak gdyby we śnie automatycznie obok mego towarzysza i zbudziłem się z mego półsewnego stanu dopiero wtedy, gdy się zatrzymał nagle. Deszcz ustał, a chociaż jeszcze gęste obłoki zasłaniały księżyc, niebo już się zaczęło nieco wyjaśniać; można już było przynajmniej widzieć na odległość kilku kroków.

Przed nami znajdowała się opuszczona kopalnia; na jej brzegach rosły krzaki jeżynowe i paproć. Mój przewodnik obejrzał się dokoła badawczo i poszedł potem, między rozprószonemi krzakami, aż do skały kredowej, pochwycił ją i przeciskał się między krzakami a ścianą, aż dalsze posuwanie się naprzód wydawało się wprost niemożliwe.

— Czy widzi pan jakie światło w pobliżu? — zapytał.

Obejrzałem się dokoła, ale nic nie widziałem.

— Dobrze — rzekł — idź pan naprzód, ja pójdę za panem.

Gdy się odwróciłem, musiał on widocznie jakiś krzak wyrwać albo odgiąć na bok: wśród białej ściany ukazał się przedemną czarny otwór.

— Wejście jest wąskie — rzekł — ale wewnątrz droga rozszerza się.

Wahałem się chwilę. Dokąd prowadzi mnie ten zagadkowy człowiek? Czy mieszkał w jaskini jak dzikie zwierzę? Czy też chciał mnie wciągnąć w zasadzkę? Przy srebrnej poświacie księżyca, który się nareszcie wyswobodził z gęstej opony chmur, ukazał się ten tajemniczy otwór groźny i budzący trwogę.

— Teraz, mój drogi panie, nie może pan się już

cofać,—rzekł mój towarzysz.— Musi pan już mieć zaufanie.

— Jestem na pańskie rozkazy, — odpowiedziałem.

— A więc proszę śmiało naprzód, ja idę za panem,

Wsunąłem się w to wąskie przejście. Było tak niskie, że musiałem się czołgać na rękach i nogach; z trudem tylko mogłem szyć tak dalece obracać, by widzieć za sobą czarną śpiczastą sylwetkę szpiega. Obok wejścia zatrzymał się chwilę, potem usłyszałem szelest gałęzi podnoszących się do góry; blade światło, wpadające z zewnątrz, znikło. Dokoła panowała ciemność głęboka. Słyszałem jednak z tyłu szmer jego kolan na ziemi i wiedziałem, że starzec czołga się za mną.

— Tylko dalej — rzekł do mnie — aż trafi pan na stopień schodów, wiodący na dół. Potem będziemy już mieli więcej miejsca i będziemy też mogli zaświecić światło.

Nie mogłem się wygiąć, gdyż grzbietem dotykałem sufitu, a łokciami ścian bocznych. Byłem wtedy jednak na szczęście szczupły i zwinny, posuwałem się tedy naprzód szybko i bez trudu aż, w odległości może stu kroków od wejścia, namacałem rękoma stopień, o którym mówił mój przewodnik. Zsunąłem się na dół i poznałem natychmiast po lepszym i świeżem powietrzu, że się znajduję w miejscu przestronniejszym.

Towarzysz mój skrzesał ognia; żółte światło świecy woskowej padło na chudą twarz starca, z drgającymi kurczowo mięśniami, która wyglądała jak gdyby z drzewa rzeźbiona. Tylko głowa jego była jasno oświetlona; zresztą panowała dokoła ciemność. Potem podniósł starzec świecę w górę i obracał ją powoli dokoła, tak że oświetlała całą to miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

Było to podziemie, które zdawało się sięgać dość głęboko, a było tak wysokie, że mogłem stać wygodnie. Obejrzałem się na wszystkie strony. Ściany mchem porośłe były bardzo stare, a tam, gdzieśmy stali, sklepienie zapadło się niegdyś, zamknęło dawne wyjście, dlatego też przebito nowy korytarz poprzez ścianę kredową, który przebyliśmy. Widoczne było, że robota ta została świeżo wykonana, gdyż dokoła leżały na ziemi gruzy i narzędzia potrzebne do przebijania skały.

Mój przewodnik szedł dalej, niosąc świecę w rękę, a ja szedłem tuż za nim, potykając się o liczne kawałki gładzów, które leżały na drodze.

— Czyż widział pan w Anglii coś podobnego — zapytał.

— Nigdy — odpowiedziałem.

— Są to wynalazki i pomysły dawnych czasów, które dziś znów mają wielkie znaczenie. W dzisiejszych niebezpiecznych i burzliwych czasach mogą takie podziemne przejścia być bardzo użyteczne tym, którzy je odnaleźli.

— Dokąd prowadzi właściwie to podziemne? — zapytałem.

— Tu — odpowiedział i stanął przed potężną bramą drewnianą, ale żelazem okutą. Szukał koło żelaza, nie mogłem jednak widzieć, co robi. Domyśliłem się jednak, że szuka ukrytej sprężyny. Z okropnym zgrzytnięciem obróciły się drzwi na zawiasach, a przed naszymi oczyma ukazały się wysokie strome schody ze starymi stopniami, chwiejącymi się i zniszczonymi. Posunął mnie naprzód i zamknął drzwi za sobą. Na drugim końcu schodów znajdowała się druga brama, którą mój towarzysz w podobny sposób otworzył i za nami znów zamknął.

Czy byłem to doprawdy ja, Ludwik de Laval, przybyły z Ashford w Kent, który teraz przeżywałem

to wszystko, czy też śniły mi się awanturnicze przygody, zaczerpnięte żywcem z jakiegoś romansu?

Te potężne sklepienia, a porośłe mchem, te bramy okute żelazem wydawały mi się jak gdyby z baśni czarodziejskiej; ale świeca kopcząca, przemoczone moje zawiniątko i moje poplamione, w wielu miejscach uszkodzone ubranie przekonywały mnie o tem, że to rzeczywistość. Takie zachowywanie się mego towarzysza, oschłe, trzeźwe, jego od czasu do czasu wypowiedane uwagi nie miały w sobie nic romantycznego.

Staliśmy teraz w długim sklepionym korytarzu, wykładanym płytami marmurowemi, na którego drugim końcu paliła się mała lampa olejna. Dwa okna zakratowane i szczelnie zamknięte okiennicami wskazywały na to, że się znów znajdujemy nad powierzchnią ziemi. Przeszliśmy przez ten korytarz, prosto się ciągnący, a potem przez kilka innych mniejszych, wstąpiliśmy na schody kręte i dostaliśmy się na koniec do małego, wygodnie urządzonego pokoju, w którym stało łóżko.

— To powinno panu na tę noc wystarczyć — rzekł do mnie.

— Tak, tak — odpowiedziałem.

Nie pragnąłem niczego goręcej, jak rzucić z siebie moje przemoczone ubranie i wyciągnąć się pod tą białą kołdrą, ale jeszcze raz ciekawość moja okazała się silniejszą od strudzenia.

— Jestem panu doprawdy bardzo wdzięczny — rzekłem. — Bądź pan jednak dobry do końca i powiedz mi pan z łaski swej, gdzie się znajduje.

— Jesteś pan w moim domu, to musi panu na razie wystarczyć. Jutro będziemy dalej mówili z sobą.

Pociągnął za sznurek od dzwonka. Zjawił się służący, chudy chłopak wiejski, z kędzierzawą głową, z zachmurzoną twarzą.



- Czy twoja pani poszła już spać?
- Tak jest, proszę pana, już od dwóch godzin.
- Dobrze. Możesz odejść. Jutro rano zbudzę

pana.

Zamknął drzwi i wyszedł. Odgłos jego kroków cichł powoli na korytarzu, ja zaś rzuciłem się na łóżko i zasnąłem twardym snem kamiennym, który zawdzięczałem młodości mej i straszному znużeniu.

## VII.

### POSIADACZ ZAMKU GROBOIS.

Gospodarz mój dotrzymał słowa. Nazajutrz rano obudził mnie lekki szmer, zerwałem się z łóżka i zobaczyłem go obok siebie. Twarz jego spokojna i wesoła, starannie ogolona, ubranie skromne i schludne, nie przypominały w niczem okropnych scen ostatniej nocy i nikczemnej roli, jaką wówczas odegrał. Teraz, w jasnym świetle słonecznym, wyglądał raczej na pedantycznego nauczyciela, a do wrażenia tego przyczyniał się jeszcze uśmiech życzliwy a jednak zdradzający pewność siebie, z jakim na mnie spoglądał.

Pomimo tej pozornej życzliwości, był mi jeszcze bardziej wstrętny, aniżeli poprzednio; czułem wyraźnie, że odetchnę dopiero wtedy swobodnie, gdy się znów pozbędę jego natrętnego towarzystwa. Trzymał na rękach ubranie, które teraz rozłożył na krześle, stojąc obok mego łóżka.

— Poznałem z pańskich słów — rzekł — że pańska garderoba nie musi być teraz bardzo obfita. Jesteś pan wyższy od wszystkich moich ludzi, ale może znajdzie pan przecież coś odpowiedniego

między temi ubraniami. Oto także brzytwa, mydło i pudetko pudru. Za pół godziny przyjdę tu znów i spodziewam się że do tego czasu ukończy pan swoją, tualetę.

Byłem jednak tego zdania, że moje własne ubranie, gdy je starannie wyczyszczę szczotką, jest jeszcze dość przyzwoite i miałem wstręt do sukien pożyczanych. Wyjąłem tedy z pozostawionego mi pakietu tylko koszulę plisowaną i jedwabną krawatę. Gdy wrócił, byłem gotów i wyglądałem przez okno. Zmierzył mnie badawczem spojrzeniem od stóp do głowy i wydawał się z mego wyglądu zadowolony.

— Ujdzie, ujdzie — rzekł, kiwając głową, z miną znawcy. — Nawet bardzo dobrze. Ślady ciężkiej roboty na ubraniu czynią bardzo dobre wrażenie, lepsze, aniżeli przesadna wykwintność fircyków. Słyszałem to nieraz z ust dam bardzo wytwornych. A teraz mój panie, proszę za mną.

Troskliwość, z jaką ów zagadkowy człowiek badał moje ubranie, zdziwiła mnie niewymownie, ale to nic jeszcze nie znaczyło wobec niespodzianki, jaka mnie czekała. Po krótkiej wędrówce przez kilka pokoi, przybyliśmy do przestronnej sali, gdzie na jednej ze ścian wisiał portret mego ojca w naturalnej wielkości. Także i cała sala wydawała mi się jakoś znana i zwróciłem pytające spojrzenie na mego towarzysza. Jego zimne siwe oczy, przeszywające jak ostrza stalowe, przenikały mnie do głębi.

— Wydajesz się pan zdziwiony, panie de Laval? — zapytał mnie.

— Na miłość Boską — zawołałem — przestań pan dalej igrać ze mną. Kto pan jesteś? Dokąd mnie pan zaprowadziłeś?

Towarzysz mój, zamiast mi odpowiedzieć, wybuchnął cichym śmiechem, jemu właściwym. Ujął mnie za rękę i wprowadził mnie do obszernego sklepionego pokoju. W pośrodku niego stał stół, nakryty z pewną wytwornością, a przy nim siedziała na niskim fotelu młoda dziewczyna, z książką w ręku. Za naszym przybyciem podniosła się z miejsca. Na wysokim wysmukłym ciele osadzona była mała głowa; twarz miała oliwkową, oczy żywe czarne, nos prosty i foremny, usta purpurowe. Odrzuła rzucała mi spojrzenie nieprzyjazne.

— Sybillo — rzekł do niej gospodarz — oto twój kuzyn przybył z Anglii, Ludwik de Laval. A to, mój drogi siostrzeńcze, moja jedyna córka, Sybilla Bernac.

Słowa te zatamowały mi oddech w piersiach.

— A więc pan jesteś... — wyjąknąłem z trudem.

— Jestem Karol Bernac, brat twojej matki.

— Pan jesteś moim wujem Bernac? — zawołałem.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi pan tego pierwej?

— Chciałem jakiś czas swobodnie się tobie przypatrywać. Rad byłem zobaczyć, co wychowanie angielskie zrobiło z mego siostrzeńca. Przyznaj także, drogi chłopcze, że nie byłbym mógł tej nocy tak skutecznie bronić twego życia, gdyby moi towarzysze wiedzieli o naszych stosunkach rodzinnych. A teraz pozwól mi, abym cię powitał serdecznie na ziemi francuskiej i abym ci wyraził ubolewanie z powodu niegościnnego przyjęcia, jakie cię w ojczyźnie spotkało. Sybilla pomoże mi wynagrodzić cię za nie.

I uśmiechnął się filuternie do swej córki, która jednak nie przestawała patrzeć na mnie chłodno i nieprzyjaźnie.

Obejrzałem się dokoła i z wolna obudził się w mej pamięci obraz tego obszernego pokoju z jego ścianami,

na których była rozwieszona broń, widniały różne trofea, herby i głowy dzikich zwierząt. Poznałem także kraj-obraz, roztaczający się w półkole poza oknami: te dęby wiekowe w rozległym parku, spuszcającym się na dół w tarasach, te bujne trawniki i dalej morze.

A więc znajdowałem się rzeczywiście na zamku Grobois, a ten straszny człowiek przedemną, ten szatański intrygant z głową trupa, ten podły szpieg, był tym, którego mój ojciec wiecznie przeklinał, który ojca mego wyrugował z Grobois, a sam usadowił się na jego miejscu. Nie mogłem jednak w zupełności zapomnieć, że mnie tej nocy ocalił z narażeniem własnego życia ze strasznych rąk Toussaca; znów walczyła w mojem sercu wdzięczność z uczuciem wstrętu i pogardy dla szpiega.

Zasiedliśmy do stołu. Podczas jedzenia silił się mój wuj wytłumaczyć mi wszystko, co mi się dotychczas wydawało niezrozumiałe.

— Gdy tylko cię ujrzałem, zaraz domyśliłem się, że jesteś moim siostrzeńcem. Przypomniłem sobie ojca twojego jako młodzieńca, a ty jesteś żywym jego portretem, jakkolwiek, nie pochlebiając tobie, muszę wyznać, że porównanie wypada na twoją korzyść. A przecież twój ojciec był znany, jako jeden z najpiękniejszych mężczyzn z Rouen. Oczekiwałem twego przybycia. Dziwi mnie to, że nie znałeś tajemnego przejścia pod zamkiem; czy nie słyszałeś o niem nigdy ?

Teraz przypomniłem sobie niejasno, że w dzieciństwie słyszałem o tym tunelu podziemnym, ale także i o tem, że sklepienie jego zawaliło się i że nie można tamtędy przechodzić.

— To prawda — odpowiedział mój wuj — ale skoro tylko objąłem zamek w posiadanie, kazałem na-

tychmiast tunel ten odnowić. Przewidywałem bowiem możliwość zamieszek, w czasie których takie tajne przejście podziemne może być bardzo użyteczne. Gdyby to się było stało, zanim twoi rodzice stąd uciekli, ucieczka ich nie byłaby połączona z takimi trudnościami.

Słowa jego przypomniały mi owe ciężkie dni, kiedy motłoch rozwścieczony ścigał nas, szlachtę, jak dzikie zwierzęta i rzucał jeszcze za nami na okręt grad kamieni. Pomyślałem także i o tem, że mój wuj podsyczał jeszcze ten płomień, aby na gruzach naszego szczęścia zbudować moje własne bogactwo.

Serce wezbrało mi wstrętem.

W tej chwili znów utkwilo we mnie przenikliwe spojrzenie starca. Poznałem, że wyczytał na mej twarzy moje najtajniejsze myśli.

— Dajmy pokój przeszłości — rzekł. To były niesnaski między rodzicami. Ty i Sybilla, wy należycie do nowego pokolenia.

Moja kuzynka nie przemówiła dotychczas ani słowa i nie zaszczycała mnie nawet ani jednym spojrzeniem. Teraz, gdy nasze imiona wymówiono razem, spojrzała na mnie z nienawiścią, jak w chwili, kiedy wstąpiłem w salę zamkową. Widać było, że gniew ją unosi, policzki jej zaczerwieniły się a nozdrza drżały.

— Teraz do ciebie należy, Sybillo — rzekł do niej ojciec — zapewnić twojego kuzyna Ludwika, że nie mam do niego żadnego żalu.

— Czy nam przystoi tak przemawiać, ojcze? — zapytała młoda dziewczyna. — Czy twoje herby są wryte na tych ścianach? Czy twoich przodków portrety zdobią te galerje? Zapytaj spadkobiercę rodu de Laval, czy jest zadowolony, widząc nas posiadaczami jego dóbr i jego zamku.

Czarne oczy jej spoczywały na mnie z gniewem,

gdy czekała na moją odpowiedź, ale stary człowiek przerwał jej szybko.

— Przemawiasz bardzo nieuprzejmie do twego kuzyna, Sybillo — rzekł do niej surowo. — Los tak zrządził, że jego dziedzictwo dostało się w nasze ręce, ale to nie jest naszą rzeczą przypominać mu to.

— Czyż trzeba mu to jeszcze przypominać? — zapytała.

— Ublizas mi pani — odpowiedziałem, wstając z miejsca, albowiem jawna nieżyczliwość młodej dziewczyny oburzyła mnie. — Oczywiście nie zapomniałem tego, że ten zamek należał kiedyś do moich przodków, musiałbym bowiem być idjotą, aby móc o tem zapomnieć, ale jesteś pani w błędzie, jeżeli sądzisz, że z tego powodu czuję żal do tych, którzy go obecnie zamieszkują. Co do mnie, nie pragnę niczego usilniej, jak własnymi siłami stworzyć sobie stanowisko na tym świecie.

— Nigdy nie była pora do tego korzystniejsza, jak obecnie mój drogi Ludwiku — zawołał mój wuj. — Ważne wypadki gotują się teraz w Europie, a gdy przybędziesz na dwór cesarski, staniesz u samego źródła wszystkich tych działań. Masz prawdopodobnie zamiar wstąpić w służbę cesarza?

— Chcę służyć mej ojczyźnie.

— Uczynisz to, gdy będziesz służył cesarzowi, albowiem bez niego Francja popadnie znów w chaos i w anarchję.

— Z tego, co się słyszy, można wnosić, że nie jest to służba łatwa — rzekła Sybilla. — W każdym razie byłoby panu w Anglii wygodniej i byłbyś pan w bezpiecznym ukryciu.

Każde słowo, które mówiła, było szyderstwem, wymierzonym przeciw mnie, a jednak nie poczuwałem

się do tego, bym ją w jakikolwiek sposób obraził. Widziałem, że ta złośliwość jej wobec mnie wywarła także na jej ojcu przykre wrażenie. We mnie zaś obudziła się głęboka niechęć do tej młodej dziewczyny.

— Twój kuzyn jest odważnym człowiekiem, czy gobym nie mógł twierdzić o każdym — zauważy starzec.

— Kogo masz na myśli? — zapytała strwożona dziewczyna.

— Co to ciebie obchodzi! — zawołał ojciec, zrywając się z miejsca i wybiegł z pokoju, z trudnością hamując swój gniew.

Sybilla wstała szybko ze swego fotelu i chciała iść za ojcem. Potem jednak zatrzymała się, wzruszyła ramionami i zaczęła się śmiać.

Staliśmy naprzeciw siebie zakłopotani.

— Czy znałeś pan mego ojca już dawniej? — zapytała.

— Nie — odpowiedziałem.

— A cóż pan sądzi o nim teraz, gdy go pan poznał?

To dziwne pytanie młodej dziewczyny wprawilo mnie w zdumienie. Cóż to był za człowiek, skoro jego rodzona córka odzywała się o nim w ten sposób? Widocznie stracił zupełnie jej miłość i szacunek.

— Milczenie pańskie jest bardzo wymowne — rzekła, widząc, że zwlekam z odpowiedzią. — Nie wiem wprawdzie, co zaszło tej nocy, albowiem nie powierzamy sobie wzajemnie naszych tajemnic, sądę jednak, że pan przeniknął nawskróś jego charakter. Wszak zawezwał pana listownie do powrotu do kraju?

— Tak jest.

— Czy nic pan nie zauważył na zewnętrznej stronie listu?

Przypomniałem sobie teraz owe angielskie słowa ostrzegawcze, które mi wtedy dały wiele do myślenia.

— A więc to pani była tą osobą, która mnie przestrzegała przed podróżą?

— Tak jest, ja. Nie miałam innego sposobu powstrzymać pana od przyjęcia zaproszenia mego ojca.

— A dlaczego pani pragnęła tego, jeżeli wolno zapytać?

— Nie chciałam, aby pan tu przybył.

— Czy obawiała się pani odemnie czegoś złego?

Po chwili namysłu odpowiedziała ku niemu wielkiemu zdziwieniu:

— Obawiałam się, aby panu tu nie chciano szkodzić.

— Czy sądzi pani, kuzynko, że grozi mi tu jakieś niebezpieczeństwo?

— Wiem o tem z pewnością.

— Więc radzi mi pani wyjechać stąd z powrotem?

— Jak najrychlej.

— Od kogo grozi mi to niebezpieczeństwo?

Znów zawahała się dziewczyna chwilę, potem zwróciła się ku mnie i rzekła, nie mogąc się dłużej powstrzymać:

— Ze strony ojca mego.

— Cóż on może mieć przeciw mnie?

— Tego powinien pan sam się domyśleć.

Zaprotestowałam przeciw tym słowom:

— Tym razem pani niesłusznie obwinia mi ojca swego. Przeciwnie, wczorajszego wieczora ocalił mi życie,

— Ocalił panu życie? Cóż się panu przytrafiło? Kto uczynił zamach na pańskie życie?



— Dwaj spiskowcy, których plany przypadkowo odkryłem.

— Spiskowcy?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Byliby mnie z wszelką pewnością zabili, gdyby nie ojciec pani.

— Na razie potrzebuje jeszcze pana dla swoich planów. Miał swoje powody, dla których pana zawezwał do powrotu do zamku Grobois. Jestem wobec pana otwartą, proszę teraz o taką samą otwartość z pańskiej strony. Proszę mi szczerze powiedzieć, kuzynie, czy pan kogoś kocha.

Kuzynka moja stawała się coraz bardziej zagadkowa; to pytanie, po tak poważnej rozmowie, zdziwiło mnie jeszcze więcej, aniżeli wszystko, co dotychczas się wydarzyło. Ale otwartość z jej strony wymagała również otwartości z mej strony, odpowiedziałem tedy bez namysłu.

— Tak jest, kuzynko. Kocham najlepszą i najwierniejszą pannę, którą zostawiłem w Anglii. Nazywa się Eugenia, Eugenia de Choiseul, synowica starego księcia.

Twarz mej kuzynki zajaśniała radością, oczy jej zabłyśły i zapytała mnie szybko:

— Czy bardzo ją pan kochasz?

— Z całej duszy.

— Nie mógłbyś się jej wyrzec?

— Za nic w świecie.

— Nawet za zamek Grobois?

— Nawet i za to nie.

Młoda dziewczyna uradowana podała mi obie ręce z wykwintnym wdziękiem.

— Przebacz mi, mój kuzynie, że cię tak nieuczynliwie przyjąłem — rzekła — będziemy odąd sprzymierzeńcami, a nie wrogami.

Ściśkaliśmy się jeszcze za ręce, gdy wuj wszedł znow do pokoju.

## VIII.

### SYBILLA.

Na twarzy groźnego starca widniało zadowolenie a zarazem najwyższe zdziwienie z powodu naszej tak szybko zawartej przyjaźni. Gniew jego znikł bez śladu, gdy przemawiał do swej córki, ale wyraz twarzy Sybilli pozostał wciąż nieufny i chłodny.

— Mam kilka ważnych interesów do załatwienia — rzekł łagodnie. — Będę na to potrzebował około godziny czasu. Ludwika zajmie z pewnością obejrzeć tymczasem park zamkowy, w którym bawił się, będąc dzieckiem; nikt nie może tu być lepszym przewodnikiem od ciebie. Bądź więc tak dobra i oprowadź go wszędzie.

Sybilla nie miała nic przeciw temu, ja zaś byłem bardzo zadowolony, że będę miał sposobność rozmawiania z nią swobodnie, że poznam bliżej moją tajemniczą kuzynkę, od której pragnąłem się jeszcze wielu rzeczy dowiedzieć. Co miało znaczyć to zagadkowe ostrzeżenie angielskie na kopercie listu? Dlaczego zajmowała się tak żywo sprawami mego serca? To wszystko były ważne kwestje, które chciałem koniecznie wyjaśnić.

Wyszliśmy na dwór, gdzie nas owionęło świeże powietrze, przesycone balsamiczną wonią morza, jeszcze mocniej pachnące po silnych wiatrach tej nocy; przeszliśmy aleję cisową wysypaną żwirem i dostaliśmy się do parku. Obeszliśmy dokoła zamek, spoglądaliśmy w górę ku jego szczytom i blankom, podziwialiśmy szero-

kie łukowe okna, rzeźbione z drzewa dębowego i szare wyniosłe wieżyczki, zakończone dachówką. Prawe skrzydło było jeszcze z tej samej epoki co front i zachowało zębate mury i strzelnice, lewe zaś, później przebudowane, miało wytworną werandę obrosłą pnącymi się kozieńcem.

Sybilla wyjaśniała mi dokładnie wszystkie szczegóły, a każde jej słowo świadczyło o tem, jak drogie jej się stało to mieszkanie. Poznawałem jednak, jak przykre było jej to położenie, że ona jest tu gospodynią, a ja gościem na zamku moich przodków. Tłumaczyła się z tej dziwnej sytuacji, mówiąc:

— Wstydzę się, mój kuzynie, podejmując ciebie w domu, który podług mnie nie przestał nigdy być twoim. Nie na ciebie byłem zła zrazu, ale na nas samych, którzy jak pasorzyty zagnieździłiśmy się w gnieździe przez innych zbudowanem. Ach, rumienię się ze wstydu na myśl, że mój ojciec zaprosił cię jako gościa do twego własnego domu.

— Być może, że nasza rodzina mieszkała już za długo pod tym samym dachem — odpowiedziałem. Może nam to wyszło właśnie na dobre, że nas stąd wygnano. Walka o byt wzmacnia ducha i ciało. Bóg chciał odrodzić nasz ród zniewieściały przez całe wieki dostatku i spokoju i zmusić go do odbudowania własnymi rękoma zburzonego szczęścia.

— Chcesz się udać do cesarza, kuzynie?

— Tak jest.

— Czy wiesz, że jego obóz znajduje się tu w najbliższem sąsiedztwie?

— Tak, słyszałem.

— Ale nazwisko twoje znajduje się na liście proskrybowanych?

— Nigdy nie byłem wrogiem cesarzowi, nie ma

mi więc nic do zarzucenia. Chcę stanąć śmiało przed cesarzem i prosić go, by mnie przyjął do służby i wcielił do jednego ze swych pułków konnicy.

— Wielu ludzi — rzekła Sybilla — uważa Napoleona za uzurpatora i są mu wrogo usposobieni. Co do mnie, ja podziwiam go tylko, wszystkie jego czyny są wzniosłe i szlachetne. Ale kuzynie Ludwiku, sądziłam, że stałeś się zupełnie Anglikiem i że wrócisz tu z angielskimi pieniędzmi, aby knuć intrygi przeciw Francji.

— O nie, kuzynko, w sercu pozostałem szczerym Francuzem, serdeczna gościnność Anglików nie zmieniła moich uczuć wobec mej ojczyzny.

— Ale ojciec twój walczył pod Quiberon przeciw nam.

— Te walki należą do przeszłości, nowe pokolenie może mieć inne poglądy i przekonania. W tym względzie zgadzam się ze zdaniem twego ojca.

— Nie ufaj słowom mego ojca, osądzaj go według jego czynów — zawołała żywo młoda dziewczyna, z ostrzegającym ruchem ręki.

Potem zaś dodała ciszej :

— Ojciec mój nie powinien nigdy się dowiedzieć, że cię ostrzegłam, abyś się miał na baczności, inaczej miałbyś moją śmierć na sumieniu.

— Twoją śmierć? — zawołałem z przerażeniem.

— Tak jest, moją śmierć. Nicby go nie powstrzymało. Zabił już moją matkę.

Patrzyłem na nią w osłupieniu.

— Nie mówię, że ją zamordował, ale jego zimne okrucieństwo, tortury moralne, jakie jej zadawał, niegodziwe postępowanie z nią, to wszystko zabiło ją. A teraz rozumiesz, dlaczego przemawiam do niego takim tonem.

Widocznie obudziły się w sercu młodej a od-

ważnej dziewczyny wspomnienia gorzkich uczuć i bolesnych przeżyć, jakich doznała w ciągu długich lat. Policzki jej zarumieniły się, piękne czarne oczy zabłyły ogniem. W tej wysokiej smukłej postaci zdawał się mieszkać duch rycerski, nieustraszony.

— Dziwisz się zapewne mej otwartości, kuzynie Ludwiku — zapytała — skoro się znamy zaledwie od kilku godzin?

— Wszak jestem twoim najbliższym krewnym, Sybillo.

— To prawda. A przecież nigdybym nie była przypuszczała, że będziemy się tak dobrze rozumieli. Z obawą i niepokojem oczekiwałam twego przybycia. Musiałeś zresztą poznać uczucia moje wobec ciebie, gdy mi byłeś przedstawiony.

— Rzeczywiście — odpowiedziałem. — Na pierwszy rzut oka poznałem, że moja obecność w Grobois jest ci niemiła.

— Była mi w istocie niemiła — rzekła młoda dziewczyna — albowiem mogła się stać dla nas obojga złowroga. Dla ciebie, ponieważ znam dobrze mego ojca i wiem, że ma swoje powody i to powody niedobre, dla których cię ściągnął do Francji. Dla mnie zaś, ponieważ...

— Dlaczego dla ciebie? — zapytałem zdziwiony, widząc, że urwała zakłopotana.

— Powierzyłeś mi tajemnicę twego serca, kuzynie Ludwiku. Chcę ci się odplacić równem zaufaniem. I moje serce także nie jest wolne; jestem zaręczona...

— Życzę ci z całego serca szczęścia — odpowiedziałem. — Lecz cóż to ma wspólnego z moją osobą i moją obecnością w Grobois?

— Mgły Anglii zaciemniły twój umysł, drogi kuzynie — zawołała Sybilla, potrząsając swoją piękną

główką. — Mogę jednak teraz mówić wyraźniej, skoro wiem, że i ty nie zgodzisz się pod żadnym warunkiem na plany mego ojca. Słuchaj tedy, Ludwiku. Mój ojciec pragnie, abyśmy się pobrali. W takim razie zapewniłby sobie na zawsze prawa do majątności Grobois. Ktokolwiekby wtedy będzie panował we Francji, Bourbonowie czy Bonaparte, nic nie będzie mogło zagrażać jego prawom.

Teraz dopiero zrozumiałem jego troskliwość o moją tualetę, jego życzenie, abym wyglądał jak najkorzystniej, jego niezadowolenie, gdy mnie Sybilla tak nieżyczliwie przyjęła i radość, kiedy widział nasze ręce złączone w przyjaznym uścisku.

— Zdaje mi się, że masz słuszność — zawołałem.

— Czy ja mam słuszność? Spójrzjz oto, jak nas śledzi.

Odwrociłem się od łąk wonnych, świeżem sianem pokrytych i spojrzałem w górę ku zamkowi. I rzeczywiście w jednym z okien zobaczyłem małą, żółtą twarz starca.

Widząc się odkrytym, skinął nam przyjaźnie ręką i uśmiechnął się.

— Teraz wiesz, dlaczego ci ocalił życie — szepnęła Sybilla. — Chce, abyśmy się pobrali i w tym celu potrzebuje, abyś żył. Gdy jednak pozna, że będzie się musiał wyrzec swoich planów, wtedy pozostaje mu tylko jedna droga, aby się zabezpieczyć przed powrotem rodziny Laval, a tą drogą jest...

Tu urwała.

Teraz dopiero zrozumiałem wielkie niebezpieczeństwo, w jakim się znajdowałem. Nikomu we Francji nic nie zależało na mojem życiu i na mej osobie. Gdybym znikł pewnego dnia, któżby zarządził za mną poszukiwania? Byłem tedy zupełnie w mocy tego nę-

dznika, którego dzikie okrucieństwo tak dobrze poznałem wczorajszego wieczora.

— Ależ — zapytałem — ojciec wie wszakże, że twoje serce nie jest wolne?

— Oczywiście, że wie o tem — odpowiedziała — i to właśnie najbardziej przejmuję mnie niepokojem. Obawiam się o ciebie i o siebie, ale jeszcze bardziej o Łucjana. Kto stoi w drodze planom mego ojca, ten jest niechybnie zgubiony.

— Łucjan! — wykrzyknąłem.

Imię to błysnęło w mej pamięci, jak światło wśród ciemnej nocy. Czyż było jednak możliwe, pomimo wszystkich kaprysów miłości, czyż było możliwe, aby ta odważna i dumna dziewczyna kochała tego nikczemnego tchórza, który tej nocy, w owej ruderze, tarzał się, przed memi oczyma, na ziemi, u stóp wuja Bernaca? I przypomniałem sobie teraz, że widziałem wtedy imię Sybilli. Przeczytałem je wszakże na kartce tytułowej dzieła Jana Jakóba Rousseau „Kontrakt społeczny“, gdzie było napisano:

„Łucjanowi od Sybilli“.

I również przyszły mi na myśl słowa, które wuj mój powiedział wtedy do Łucjana i w których mieściła się aluzja do przyszłego powinowactwa między nimi.

— Łucjan jest porywczy i łatwo się zapala — mówiła młoda dziewczyna. — Ojciec mój jest w tajemniczony w jego polityczne plany. Godzinami siedzą zamknięci z sobą w jego pokoju, a Łucjan nie chce mi wyjawić, o czem tam rozmawiają. Obawiam się, że zanosí się na coś niebezpiecznego. Łucjan jest raczej uczonym, aniżeli światowcem, ale zajmuje się żywo ruchem wolnościowym.

Chwilę tylko wahałem się i namyślałem, czy mam jej zataić to, co przeżyłem tej nocy, czy mam jej

wyjawić prawdę, ale z domyślnością kochającej kobiety odgadła natychmiast moje myśli i zawołała:

— Ty wiesz coś o nim, a ja sądziłem, że jest w drodze do Paryża. Na miłość Boską, powiedz mi, co wiesz o nim?

— Nazywa się Lesage? — zapytałem.

— Tak jest, Łucjan Lesage.

— Wczoraj wieczorem poznałem się z nim — wyjąknąłem z trudem.

— Poznałeś go już? A przecież zaledwie przybyłeś do Francji. Gdzie go widziałeś? Co się z nim dzieje?

I z niezmierną trwogą pochwyciła mnie za rękę i cisnęła z całej siły.

Przerażony, nie wiedziałem, co czynić. Wydawało mi się okrucieństwem wyjawić dziewczynie całą prawdę, ale może jeszcze większem okrucieństwem byłoby milczeć. Spoglądałem dokoła bezradny i szukałem jakiejś odpowiedzi. W tem ujrzałem wuja Karola, który szedł ku nam po skoszonej łące. Obok niego kroczył, dzwoniąc ostrogami, przystojny młody huzar, ten sam, któremu zeszej nocy polecono odstawić Łucjana do obozu cesarskiego.

Sybilla bez namysłu podbiegła do ojca, blada, z błyszczącymi oczyma i zastąpiła mu drogę.

— Co zrobisz z Łucjanem, ojcze? — zapytała go drżącym głosem.

W głosie jej brzmiała gorąca nienawiść i głęboka pogarda. Starzec cofnął się o krok w tył.

— Pomówimy o tem później — odpowiedział.

— Nie, muszę to wiedzieć natychmiast — zawołała Sybilla, w najwyższym uniesieniu. — Co zrobisz z Łucjanem?

— Żal mi niewymownie moi panowie — rzekł



stary, zwracając się do mnie i do oficera huzarów <sup>nie</sup>że jesteście świadkami tej przykrej sceny rodzinnej. Proszę cię, panie poruczniku, o pobłażliwość dla mej córki. Pański więzień jest jej najdroższym przyjacielem. Oczywiście takie względy rodzinne nie wstrzymują mnie od tego, abym wypełnił mój obowiązek wobec cesarza, chociaż to jest dla mnie rzeczą bardzo ciężką...

Teraz zwróciła się Sybilla do oficera:

— A więc pan go uwięził?

— Był to niestety mój obowiązek

— Od pana dowiem się prawdy. Gdzie go pan odstawiłeś?

— Do obozu cesarza.

— Jakiej winy Łucjan dopuścił się?

— Nie wiem tego. Do spraw politycznych nie mieszam się. Wypełniam moje obowiązki i słucham rozkazów moich przełożonych. Ci oto panowie są moimi świadkami, że pułkownik Lassalle wydał mi polecenie uwięzić tego pana.

— Na miłość Boską; proszę mi powiedzieć, o co Łucjan jest obwiniony?

— Dość tego, moje dziecko — przerwał jej ostro wuj Bernac. — Skoro chcesz to koniecznie wiedzieć, powiem ci bez ogródek, że pan Łucjan Lesage został z tego powodu uwięziony, ponieważ jest zawikłany w spisek na życie cesarza. Jest to moja zasługa, że wykryłem jego plany mordercze.

— Twoja zasługa? wykrzyknęła Sybilla z oburzeniem. — Ty go popchnąłeś na tę drogę spisków i zdrady ty namawiałeś go, aby na niej pozostał i wstrzymywałeś go, gdy się zaczynał wahać w swoich zamysłach. Nędzniku! O mój Boże, czemże zasłużyłam na tę okropną karę, że muszę cię, takiego potwora, nazywać ojcem!

Wuj wzruszył ramionami, jak gdyby mu się zdało, że nie warto trudu sprzeczać się z kobietą uniesioną gniewem. Porucznik i ja chcieliśmy się niespostrzeżenie usunąć, aby nie być dłużej świadkami tej przykrej sceny. Sybilla jednak zawołała nas napowrót; chciała, abyśmy byli obecni słuchali wyrzutów i obelg, jakich nie szczędziła staremu.

Rozpacz bezbrzeżna błyszczała w jej pięknych, szeroko otwartych oczach.

— Mogłeś oszukiwać wszystkich innych ojciec, ale mnie nie oszukałeś — wołała. — Znam cię nawskróś. Zapędziłeś matkę moją do grobu i możesz mnie także zabić. Ale obawa przed tobą nie skłoni mnie nigdy do tego, abym ci była pomocna w wykonywaniu twych haniebnych zamiarów. Stałeś się republikaninem, aby zagarnąć zamek Grobois i te ziemie, które się prawnie należą komu innemu. Teraz znów ubiegasz się o łaskę Napoleona i zdradzasz swoich towarzyszy, którzy jeszcze w ciebie wierzą. Także i Łucjan ma się stać ofiarą twej niegodziwości. Znam twoje plany i kuzyn Ludwik zna je również, ale on nie zgodzi się na nie tak samo, jak i ja. Wolę raczej zginąć, aniżeli poślubić kogo innego, niż Łucjana.

— Gdybyś go widziała tej nocy, tego nędznego tchórza, mówiłabyś inaczej — odpowiedział chłodno wuj mój. — Jesteś teraz nieprzytomna, Sybillo. Ale przyjdiesz znów do rozumu i będziesz się wstydziła, żeś się wobec obcych ludzi w ten sposób zachowywała. A teraz, panie poruczniku, proszę wypełnić moje polecenie.

— Panu, panie de Laval, przynoszę rozkaz cesarza — rzekł młody oficer — odwracając się pogardliwie od mego wuja. — Cesarz polecił mi, abym pana natychmiast dostawił do obozu cesarskiego w Boulogne.

Serce zabiło mi z radości na myśl, że wydobędę się ze szponów wuja Bernaca.

— Gotów jestem panu towarzyszyć — zawołałem.

— Szwadron mój i koń dla pana czekają na dworze koło bramy.

— Ależ to nic tak pilnego — zauważył wuj mój. — Zostanie pan z nami na śniadanie, poruczniku Gérard.

— Niepodobna, mój panie. Rozkazy cesarza nie cierpią zwłoki — odpowiedział młody oficer tonem stanowczym. I tak już straciłem za wiele czasu. Za pięć minut musimy być w drodze.

Starzec położył mi rękę na ramieniu i odprowadził mnie na bok, ku bramie zamkowej, przez którą Sybilla właśnie odeszła.

— Pragnąłbym jeszcze tylko z tobą przed twoim odjazdem pomówić w jednej sprawie. Czas nagli i muszę odrazu przystąpić do samej rzeczy. Kuzynkę twoją poznałeś dzisiaj nie z najlepszej strony, ale jakkolwiek zachowanie się jej mogło cię słusznie przeciw niej uprzedzić, mogę cię jednak zapewnić, że jest dziewczyną miłą, dobrą i wysoce wykształconą. Ze słów jej poznałem, że cię wtajemniczyła w swoje plany co do waszego małżeństwa. Otóż powiedz mi sam, czy może być lepsze rozwiązanie kwestji posiadania zamku Grobois?

— Niestety — odpowiedziałem — zachodzą tu pewne przeszkody.

— Jakież to przeszkody, jeżeli wolno wiedzieć?

— Przedewszystkiem, że Sybilla już jest zaręczona.

— To nie jest żadną przeszkodą. Postaram się o to, by Łucjan wyrzekł się swoich praw.

— Ja mam inne poglądy na małżeństwo. W Anglii, gdzie wyrosłem i wychowałem się, ludzie żenią się

z miłości, a nie dla interesu, Zresztą twoje plany, wuju, nie mogą się spełnić już z tego powodu, ponieważ i moje serce nie jest wolne.

Rzucił mi gniewne spojrzenie.

— Zastanów się nad tem, Ludwiku, co czynisz — syknął głosem, podobnym do syczenia żmii. — Będziesz za to ciężko pokutował, gdy staniesz moim planom w drodze.

— Już się zastanowiłem, wuju — odpowiedziałem głosem stanowczym.

Pochwycił mnie wtedy za ramię i potrząsnął niem silnie, obracając mnie dookoła, jak może niegdyś uczynił szatan, gdy chciał kusić Chrystusa.

— Spójrzysz na te łąki i lasy, na ten park i ten dumny zamek, w którym twoi przodkowie mieszkali przez ośm wieków. To wszystko będzie znów twoje, gdy wykonasz moje życzenie.

Ale w tej chwili ujrzałem przed oczyma duszy małe okienko i rosnący przed niem krzew wawrzynowy, oraz słodką, bladą twarzyczkę Eugenji, która ze smutkiem z tego okna patrzyła.

— To rzecz niemożliwa — odpowiedziałem.

Ze słów moich poznał, że opór mój jest stanowczy. Nienawiść błysła w jego oczach i od łagodnego namawiania przyszedł do dzikiej groźby.

— Gdybym był o tem wiedział, nie ruszyłbym tej nocy palcem ku twój obronie, mój panie siostrzeńcze.

— Dobrze, że wiem o tem. Teraz mogę, wolny od wszelkich obowiązków wdzięczności, iść moją własną drogą. Z panem nie chcę nic mieć do czynienia.

— Pan nie chcesz ze mną nie mieć nic do czynienia. Wierzę panu na słowo — krzyczał nieprzytomny od wściekłości. — Kiedyś będzie pan tego może jeszcze

bardziej pragnął, aniżeli dzisiaj. Idź pan swoją drogą, ja pójdę swoją. Zobaczymy, kto lepiej na tem wyjdzie.

Oddział huzarów stał u bramy. W kilku minutach zapakowałem moje skromne manatki i pośpieszyłem na dół. Wtem wpadła mi na myśl Sybilla. Jak mogłem ją zostawić w zamku samą z tym szatańskim starcem! Czyż nie powiedziała mi sama, że życiu jej grozi niebezpieczeństwo? Stałem bezradny. Ale właśnie wybiegła sama, by się ze mną pożegnać.

— Bądź zdrow, kuzynie Ludwiku — zawołała, wyciągając ku mnie dłonie.

— Właśnie myślałem o tobie — rzekłem. — Miałem bardzo żywą rozmowę z twoim ojcem.

— Bogu dzięki, że stąd odjeżdżasz. To twoje jedyne ocalenie. Ale miej się na baczności, on ci będzie szkodził, gdzie tylko będzie mógł.

— Spodziewam się, że dam sobie z nim radę. Ale ciebie nie mogę tu z nim zostawić samej.

— O mnie się nie troszcz. On ma więcej powodu obawiać się mnie, aniżeli ja jego. Ale śpiesz się, już wołają ciebie.

## IX.

### OBÓZ W BOULOGNE.

Wuj mój stał jeszcze ciągle, gdyby obraz uzurpatora, w bramie zamkowej, na której obydwóch filarach widniał, wykuty w kamieniu, nasz herb rodzinny ze srebrną wstęgą i trzema jaskółkami. Nie żegnał się ze mną, gdy wsiadałem na przygotowanego dla mnie szlachetnego rumaka, którego trzymał za uzdę jeden z huzarów eskorty; ale spoglądał na mnie chmurnie w za-

myśleniu, a rytmiczne drganie mięśnia w policzkach zdradzało jego wewnętrzne wzburzenie.

W stalowych oczach jego błyszczała zimna złośliwość. Uradowany, że oddalam się na zawsze od tego znienawidzonego człowieka, wskoczyłem szybko na siodło; zabrzmiał krótki ostry rozkaz porucznika, zadzwoniły szable jeźdźców wsiadających na konie i byliśmy w drodze. Jeszcze raz obróciłem się, by spojrzeć ku zamkowi moich przodków. Stary stał wciąż jeszcze nieruchomo obok bramy, a nad nim, w jednym z tych staroświeckich okien, ukazała się Sybilla, aby mi raz jeszcze skinąć na pożegnanie. Smutek ogarnął mnie, gdy pomyślałem o tej nieustraszonej dziewczynie i o tym wstrętnym człowieku, w którego rękach ją zostawiłem bezbronną.

Wkrótce jednak smutek mój rozwiął się, jak mgła, osiadła na kryształach. W jasnych oparach ciepłego poranka galopowałem na grzbiecie mego szybkonogiego rurumaka. Biała błyszcząca droga wiała się wężowo poprzez piaszczysty kraj pagórkowaty; daleko na lewo rozciągało się morze, przedzielone od nas przestronnem trzęsawiskiem, które było widownią mojej nocnej ponurej przygody. Zdawało mi się nawet, że widzę na skraju trzęsawiska ową straszną chatę rybacką, w której przeżyłem kilka godzin piekielnych.

Na widnokręgu rysowały się wyraźnie drobne grupy domów z Etaples, Ambleterre i innych wiosek rybackich, a pas wybrzeża, który wczorajszego wieczora, w blasku zachodzącego, napół zakrytego słońca, wydawał się jak rozżarzony do czerwoności miecz, był teraz cały śnieżno-biały od namiotów wielkiej armji napoleońskiej. Daleko na wodzie widziałem młodość, kraj miły i gościnny, który mi po mojej własnej ojczyźnie pozostał zawsze najdroższy.

Odwrociłem teraz uwagę moją od krajobrazu, ku huzarom, którzy jechali obok mnie, raczej jako moja gwardja przyboczna, aniżeli jako eskorta. Byli to przecież, pominawszy patrol tej nocy, pierwsi żołnierze napoleońscy, których miałem sposobność widzieć. Z ciekawością i podziwem przypatrywałem się tym żołnierzom, którzy swoją dyscypliną i męstwem szybko wstawili się w całym świecie. Przy paradzie nie mogliby się popisywać swojemi skromnemi mundurami i swoim uzbrojeniem, ale te poplamione płaszcze, zabłocone buty i wytarte pasy bawole świadczyły o trudach i znojach ciężkiej a pełnej sławy służby w polu.

Były to niskie, lekkie postacie, z twarzami ogorzałemi i dużemi wąsami i bokobrodami; wielu z nich nosiło kolczyki w uszach. Najbardziej zdziwił mnie silny zarost jednego młodziutkiego żołnierza, który zresztą wyglądał jak pachole; gdy mu się jednak bliżej przyjrzałem, odkryłem, że jego marsowe bokobrody były zrobione z czarnego wosku, przytwierdzonego do twarzy. Młody porucznik zauważył moje zdziwienie i rzekł mi, aby mi to wytłumaczyć:

— Widzę, że pana wprawia w zdziwienie sztuczna broda tego młodego żołnierza, ale ten chłopiec ma za ledwie siedmnaście lat, a my nie możemy na to pozwolić, aby jego dziewczęca twarz wyglądem swoim psuła ogólną harmonję. Twarze takie źleby wyglądały w szeregach,

— To najgorsze, poruczniku — rzekł młody huzar, mieszając się bez ceremonji do rozmowy, jak to było zwyczajem w armji Napoleona — że gdy jest gorąco, wosk bardzo rychło topnieje.

— Tak, tak, Kasprze, za rok lub dwa lata pożegnasz się z twoją brodą woskową.

— Do tego czasu pożegna się już może nawet ze swoją głową — odezwał się kapral, a wszyscy rozśmiali

się tak głośno, że w Anglii postawionoby ich za to przed sąd wojenny. Ten poufały ton między żołnierzami a oficerami był pozostałością z czasów Rzeczypospolitej, która zrównała wszystkie stany; Napoleon sam utrzymywał tę poufałość w swej armji przez to, że wdawał się w rozmowę ze swoimi żołnierzami i że pozwalał im na swobodę w obejściu z sobą. Często padał na oficerów komenderujących, z szeregów ich żołnierzy, grad przezwisk szyderczych, a niekiedy także, niestety, grad pocisków zabójczych. Często zdawało się, że podwładni mordowali swoich oficerów, a zwłaszcza w bitwie pod Montebello padli wszyscy oficerowie, z wyjątkiem jednego jedyne go porucznika z dwudziestej czwartej półbrygady, od postrzałów z tyłu. To były resztki jawnej anarchji, niszczącej Francję; wkrótce jednak powiodło się Napoleonowi dobrocią wlać w swoją armję lepszego ducha.

W każdym razie historia naszej sławnej armji w owej epoce dowodzi, że miłość ojczyzny wystarczała, by ją uczynić najwaleczniejszą; nie trzeba było uciekać się, tak jak w Prusiech, do kary cielesnej, aby żołnierzy utrzymywać w karności; poczucie obowiązku i miłość ojczyzny, a nie nadzieja nagrody i obawa kary, pobudzały to wyborowe wojsko do męstwa. Francuski generał mógł śmiało pozwolić żołnierzom swej dywizji, by cię całemi dniami swobodnie po kraju kręcili; gdy ich trzeba było do bitwy, stawali z pewnością na miejscu bez wyjątków. Nigdy nie zawodzili zaufania, jakie wódz w nich pokładał. Z kilku słów, wymówionych przez huzarów, poznałem, że język francuski nie jest ich językiem ojczystym, mówili po francusku ohydnie. Zapytałem przeto porucznika, gdzie tych żołnierzy rekrutowano, albowiem wnosząc z ich wymowy, nie mogą być Francuzami.



— Na miłość Boską, nie mów pan tego głośno — odpowiedział porucznik — inaczej pierwszy lepszy z nich gotów pana szablą wyplazować, co się zowie. Jesteśmy najślawniejszy francuski pułk konnicy, pierwszy pułk huzarów z Berchény; chociaż większa część naszych żołnierzy pochodzi z Alzacji i wielu z nich mówi tylko po niemiecku, są jednak tak samo dobrymi Francuzami jak Kleber albo Kellermann, którzy również z tamtych stron pochodzą. Żołnierze z naszego pułku to sami chwaci, a oficerowie nasi są znani w całej armji jako najlepsi i najwaleczniejsi. Nasz pułk huzarów nie ma sobie równego w całej armji.

Poprawił swoją czapkę futrzaną, zarzucił niebieski dolman na plecy, ściągnął lejce i zadzwonił szablą. Na twarzy jego widniała dziecinna radość i duma, że jest żołnierzem i że należy właśnie do tego pułku huzarów. Bawiła mnie ta chełpliwa próżność młodzieńca, ale w gruncie rzeczy miał słuszność, że był zadowolony ze swej pięknej, prawdziwie rycerskiej postawy. A co mnie w nim jeszcze bardziej ujmowało, to było szczere spojrzenie jego niebieskich oczu i miły uśmiech, które wskazywały na dobrą naturę. Musiał być doskonałym kolegą, a przedewszystkiem wesołym towarzyszem.

Prawdopodobnie miał o mnie takie same wyobrażenia, gdyż stał się nagle poufały i położył mi rękę na kolanie.

— Spodziewam się, że cesarz przyjmie pana łaskawie — rzekł, spoglądając na mnie ze szczerem współczuciem.

— I ja tak sędzę — odpowiedziałem — wszak przybyłem umyślnie z Anglii, aby mu ofiarować moje usługi.

— Gdy się dowiedział tej nocy przy raporcie, że pan znajdował się w towarzystwie owych opryszków,

wydał natychmiast rozkaz, aby pana do niego sprowadzić. Być może, że potrzebuje pana jako przewodnika w Anglii. Wszak zna pan dokładnie całą wyspę?

Pocziwy huzar wyobrażał sobie prawdopodobnie, że Wielka Brytania nie jest większa od jednej z wysp normandzkich lub bretońskich, które się wylaniały z kanału la Manche. Próbowałem mu wytłumaczyć, że Anglja to wielkie państwo, nie wiele mniejsze od Francji.

— No, no — odpowiedział — zobaczymy to wkrótce sami, na własne oczy. W najbliższych dniach zamierzamy zdobyć Anglję. W obozie mówią, że prawdopodobnie w następny wtorek wieczorem lub w środę rano wmaszerujemy do Londynu. Będziemy mieli cały tydzień czasu, aby złupić to miasto; potem jeden korpus armji obsadzi Szkocję, a drugi Irlandję.

Uśmiechnąłem się, widząc, z jak silnem przekonaniem młody oficer wypowiada to zdanie.

— Skąd pan ma tę pewność — zapytałem go — że rzeczy się tak ułożą i że wszystko pójdzie tak gładko?

— Ależ to nie ulega wątpliwości — odpowiedział — cesarz tak postanowił.

— Przyjdzie do ciężkiej walki — rzekłem — Anglicy są dobrze przygotowani, mają armję, marynarkę, są waleczni i będą się zawzięcie bronili.

— To im się na nic nie przyda, sam cesarz poprowadzi swoje wojsko przeciw nim.

W tej prostej odpowiedzi wyrażało się głębokie zaufanie, jakie żołnierze Napoleona mieli do swego wodza. Byli do niego przywiązani z fanatyzmem, z siłą religijnego przekonania i sam Mahomet nie mógłby w prawowiernych wyznawców islamu wlać więcej odwagi i pogardy śmierci, aniżeli ten mały człowiek o żelaznej woli, w szarym surducie, w swoich żołnierzy. Ostatnim

wysiłkiem gaśnącego głosu wzywali ginący na polu bitwy swego cesarza i z zachwytem zwracali ku niemu wybladłe oblicza, na których śmierć już wycisnęła swój złowrogi pocałunek.

Tylko ten, kto sam był świadkiem takich scen, może sobie wyobrazić w przybliżeniu władzę, jaką Napoleon miał nad swoimi żołnierzami. W istocie, gdyby był pewnego dnia postanowił, a kilka razy był już nawet bliski tego — kazać się obwołać półbogiem, miliony ludzi byłyby gotowe przyznać mu tę godność bez najmniejszego wahania.

— A więc pan był tam, po tamtej stronie? — zapytał porucznik, wskazując na ciemną chmurę, wznoszącą się ponad wodą.

— Tak jest, spędziłem tam całe życie.

— Dlaczego nie wrócił pan już dawno do Francji, aby walczyć za cesarza i za ojczyznę?

— Mój ojciec został wygnany z kraju, jak wszyscy arystokraci. Dopóki żył, nie mogłem ofiarować moich usług cesarzowi.

— Stracił pan wiele... Ale to się wynagrodzi. Będziemy mieli jeszcze piękne kampanje. Czy sądzi pan, że Anglicy staną z nami do walki?

— Jestem o tem przekonany.

— My się obawiamy, że złożą natychmiast broń, gdy usłyszą, iż sam cesarz przybywa do Anglii. Powiadają, że tam mają być bardzo piękne kobiety. Czy to prawda?

— Angielki są w istocie bardzo piękne.

Zamilkł.

Poprawił się na siodle, wyprostował i podkręcał swe małe wąsiki z miną zwycięzcy.

— Gotowe uciec na czółnach do Ameryki — mruczał pod nosem.

Widocznie upierał się przy tem mniemaniu, że Anglja jest drobną wysepką.

— Gdyby wiedziały, jak my wyglądamy, nie uciekałyby przed nami z pewnością. O pułku huzarów Berchény opowiadają, że gdzie się pojawi, cała ludność jest poruszona. Kobiety biegną za nami, a mężczyźni uciekają za naszym zbliżeniem się. Widzi pan sam przecież, jak nasi żołnierze pięknie wyglądają, a co się tyczy oficerów naszego pułku, to sam kwiat armji francuskiej. Zwłaszcza młodzi oficerowie nie mają sobie równych.

Nie mając ochoty dłużej pozostać przy tym temacie rozmowy, zapytałem mego towarzysza, czy już brał udział w jakiej bitwie.

Z uwagi na młody wiek oficera, który był ze mną prawie w jednym wieku, nie przypuszczałem, aby to pytanie mogło go obrazić. Huzar jednak był snąc innego zapatrywania. Zmierzył mnie od stóp do głowy przeszywającym spojrzeniem, a wasy najeżyły mu się z oburzenia.

— Miałem szczęście brać udział w dziewięciu wielkich bitwach i we więcej aniżeli w czterdziestu potyczkach — odpowiedział mi rozdrażniony. — Miałem także bardzo wiele pojedynków i jestem gotów każdej chwili zmierzyć się z kimkolwiek bądź, z wojskowym lub cywilnym, któryby się ośmielił mi nie-łowierzać.

Wyraziłem mu mój podziw i uznanie, że pomimo młodego wieku już tyle zdziałał i ułagodziłem w ten sposób rychło gniew jego.

Opowiadał mi o bitwie pod Hohenliden, gdzie walczył pod dowództwem generała Moreau, o przejściu przez Alpy, o bitwie pod Marengo i o innych utarczkach, w których brał udział,

— W obozie będzie pan często słyszał wymienione nazwisko Stefana Gérard. Mogę to o sobie powiedzieć, że jestem bohaterem rozmaitych przygód, które sobie żołnierze chętnie opowiadają wieczorami przy biwaku. Sławna jest zwłaszcza walka, jaką podjąłem sam jeden, z pomyślnym skutkiem, z sześciu wybornymi szermierzami i przygoda moja z austriackimi huzarami w Gracu, na których uderzyłem sam na własną rękę, poczem porwałem i uwiozłem z sobą z tyłu na moim koniu, ich starszego dobosza. Nie jest to także dziełem prostego przypadku, że brałem udział tej nocy w patrolu, który uwięził tego spiskowca. Pułkownik Lassalle pragnął, aby więźniowie byli pod pewną strażą. Niestety dostaliśmy w nasze ręce tylko jednego i to właśnie tego nędznego tchórza, który od chwili gdy go aresztowano, beczy cały czas jak cielę.

— A ten drugi? Toussac? Co się z nim stało?

— Tamten zdaje mi się z innej gliny ulepiony. To jest zuch, z którym pragnąłbym się chętnie zmierzyć. Ale na nieszczęście, czmychnął przed nami. Przy pościgu dojrzeliliśmy go raz zdaleka i oddaliśmy na niego kilka strzałów, potem jednak znikł nam bez śladu. Zna zbyt dobrze drogi przez te trzęsawiska.

— Jaki los czeka pańskiego więźnia? — zapytałem.

Porucznik Gérard wzruszył ramionami,

— Cesarz ma dosyć tych spisków i jak słyszałem, chce go ukarać przykładnie. Żal mi tego bardzo z powodu pańskiej kuzynki. Ale dlaczego też musiało się zakochać właśnie w tym ezłowieku, skoro jest tylu dzielnych żołnierzy, którzy byłiby tego godniejsi.

Pomimo ożywionej rozmowy, jechaliśmy szybko dalej i zbliżyliśmy się do obozu tak dalece, że mogliśmy bardzo dobrze rozpoznawać poszczególne brygady

i pułki. Ze wzgórza, na które przybyliśmy, ujrzeliśmy przed sobą w nizinie całe miasto namiotów, ku któremu teraz droga wiodła w dół; między nimi nieskończone szeregi okiełznanych koni, niezliczone działa i roje żołnierzy. W pośrodku obozu, na obszernym placu pustym, wznosił się duży namiot, otoczony kilku niskimi domami drewnianymi; nad nim powiewał dumnie sztandar trójbarwny.

— To kwatery cesarza, a tamten mniejszy namiot należy do generała Ney'a, który dowodzi tym korpusem. Jest to korpus armji, najbardziej na południe wysunięty. Inne korpusy rozłożone są wzdłuż wybrzeża morskiego: ten, który ma swą kwaterę najbardziej na północ, znajduje się obok Dunkierki. Cesarz objeżdża je niekiedy po kolei i odbywa ich przegląd. U nas jednak przebywa najdłużej; tu ma swoją siedzibę sztab generalny, tu jest zebrane najlepsze wojsko. Dlatego też dwór cesarski znajduje się w sąsiednim Tour de Briques i nawet sama cesarzowa przybyła tam na stały pobyt. On jest tam w tej chwili — dodał, wskazując na duży, biały namiot w pośrodku obozu.

Te ostatnie słowa wymówił przyciszonym głosem i pochylił z czcią głowę, jak gdyby dojrzał bóstwo.

Na polach wzdłuż drogi, po której jechaliśmy, odbywały oddziały różnych gatunków broni ćwiczenia. Wygląd tych żołnierzy, tak samo jak i huzarów mojej eskorty, nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie sobie o nich utworzyłem na podstawie opowiadań o ich czynach bohaterskich. Zwłaszcza piechota składała się z samych drobnych ludzi, którzy w swoich niebieskich kurtkach, białych, krótkich spodniach i również białych kamaszach wyglądali bardzo niepokaznie; nawet ich błyszczące metalowe kaski, ozdobione czerwonymi pióropuszcami, nie zdołały wywołać wielkiego wrażenia.

Pomimo tego skromnego wyglądu jednak byli to ludzie silni, wytrzymali, pełni męstwa i odwagi, a biorąc udział w tylu wyprawach wojennych, przywykli do wszystkich trudów służby.

W szeregach znajdowało się wielu starych i wysłużonych, wypróbowanych w boju żołnierzy; najmłodszy nawet oficerowie mieli za sobą bogate doświadczenie wojenne, nabyte w polu a generałowie nie mieli równych sobie na całym świecie.

Zaiste nieprzyjaciel ten, który zagrażał Wielkiej Brytanji, nie był do pogardzenia i gdyby Pitt nie miał do swego rozporządzenia najlepszej i największej marynarki na całym świecie, aby bronić wybrzeża Anglji, powierzchnia Europy przedstawiałaby dzisiaj zupełnie inny wygląd, aniżeli rzecz się miała w istocie.

Porucznik Gérard widział, że manewry wojskowe budzą we mnie żywe zajęcie, udzielił mi przeto szczegółowych wyjaśnień co do poszczególnych oddziałów wojskowych, które się do nas zbliżyły.

— Ci jeźdźcy tam na karych rumakach to są kirasjerzy; konie ich są tak ciężkie, że mogą tylko truchtem jechać. Gdy uderzają na nieprzyjaciela, stoi zawsze w pogotowiu oddział huzarów lub strzelców konnych, aby ścigać wroga.

— A kto jest ten cywilny, który kieruje ćwiczeniami?

— To nie jest żaden cywilny, ale generał St. Cyr, jeden z tych, których przewzano Spartanami z nad Renu. Uważa on prostotę i skromność za najwyższą cnotę żołnierską; z zasady nie nosi nigdy innego mundurku, jak tylko tę zwykłą kurtkę niebieską, którą właśnie teraz ma na sobie. Saint — Cyr jest znakomitym oficerem, ale nie jest lubiany w wojsku, albowiem rzadko z kim mówi; niekiedy zamyka się sam całemi

dniami w swoim namiocie i gra na skrzypcach. Ja cō do mej osoby sǎdzę jednak, że nie jestem jeszcze złym żołnierzem z tego jedyńie powodu, ponieważ noszę wytworny mundur: pozwalam sobie niekiedy na szklanczkę dobrego wina. Kto mnie zna, ten mi to z pewnością przyzna. Czy widzi pan tam, po lewej stronie, ten oddział piechoty?

— Masz pan na myśli tych z żółtymi wyłogami?

— Tak jest. To sǎ sławni grenadjerzy Oudinota. Tamci zaś grenadjerzy z czerwonymi szlifami i z czapkami futrzanemi, przywiązanemi do tornistrow, to gwardja cesarska, dawniejsza gwardja konsula, która w bitwie pod Marengo zadecydowała o zwycięstwie. Po tem zwycięstwie tysiąc ośmuset ludzi z pomiędzy nich zostało udekorowanych krzyżem legji honorowej. Tam oto ćwiczypięćdziesiąty siódmy pułk piechoty linjowej, który ma przydomek „Strasznego“, a tam znów po przeciwnej stronie, siódmy pułk lekkiej piechoty, rekrutujący się w Pirenejach. Żołnierze z tego pułku znani sǎ w całej armji jako najwytrwalsi piechurzy i najwięksi hultaje. Ta lekka konnica w zielonych mundurach, to konni strzelcy gwardji, którzy uchodzą za ulubiony pułk cesarza, aczkolwiek nie mogą przypuszczać, aby ich wyżej cenil, aniżeli huzarów Berchény. Tamci jeźdźcy w zielonych mundurach to także strzelcy, ale nie wiem, do jakiego pułku należą. Manewrują doskonale i mają dzielnego pułkownika. Nawet i my nie potrafilibyśmy lepiej. Widok to iście cudowny... A teraz, panie de Laval, przybyliśmy do obozu; mam rozkaz przyprować pana natychmiast do cesarskiej kwatery.



X.

W CESARSKIM PRZEDPOKOJU.

W obozie pod Boulogne znajdowało się sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy piechoty i pięćdziesiąt tysięcy jazdy; z wyjątkiem Paryża, nie miało wtedy żadne miasto we Francji tak wielkiej liczby mieszkańców. Cały obóz był podzielony na cztery oddziały: skrzydło prawe i lewe, obóz Vimereux i obóz Ambleteuse.

Wszystko rozkładało się na szerokości jednej mili i ciągnęło się brzegiem morza, na długości siedmiu mil. Obóz ten nie był od strony lądu oszańcowany, natomiast od strony morza kryły go potężne działa i moździerze olbrzymich kalibrów, dotychczas nieznanych. Baterje ustawiono na wzgórzach nadbrzeżnych: mogły one przeto ostrzeliwać zbliżające się okręty już z wielkiej odległości i nie dopuszczać do wysadzania wojska na ląd.

Obóz w rannej godzinie przedstawiał widok bardzo miły i zajmujący. Korpus armji miał tu swoją siedzibę dłużej, aniżeli rok i żołnierze uczynili wszystko, co mogli, aby swoje namioty należycie przyozdobić. Wiele z nich miało dokoła siebie ogródki starannie pielęgnowane, a ogorzali od słońca żołnierze klęczeli między kwiatami, mając w ręku łopatę i koneweczkę, jak gdyby ogrodnictwo było ich jedynym zajęciem. Inni znów siedzieli przed namiotami, grzejąc się w słońcu, czyścili kredą swoje białe kamasze skórzane i polerowali broń. Na nas nie zwrócili nawet najmniejszej uwagi, albowiem patrole konne przechodziły tędy nieustannie w różnych kierunkach.

Szeregi namiotów tworzyły ulicę, z których każda miała swoją nazwę, świetnie brzmiącą, jak np. ulica

Arcole, ulica Klebera, Egipska, ulica Artylerji konnej i inne. Nazwy te były wypisane na blachach. Minawszy je, dostaliśmy się nakoniec do głównej kwatery cesarza.

W owym czasie spędzał Napoleon noce zwykle we wsi Tour de Briques, oddalonej o cztery mile w głąb łądu; dnie jednak spędzał przeważnie w obozie, by odbywać narady wojenne ze swymi oficerami. Przybywali tu do niego ministrowie i generałowie, aby mu składać sprawozdania i odbierać rozkazy. Do tych obrad był przeznaczony dom, umyślnie w tym celu zbudowany, który zawierał jeden tylko pokój, ale bardzo przestronny. Pawilon, który widzieliśmy ze szczytu wzgórza, służył za poczekalnię, w której się zbierali ci, którzy mieli być dopuszczeni do audjencji. Przed bramą, gdy Napoleon był obecny, stał na straży silny oddział grenadierów.

Mój towarzysz zeskoczył z konia i kazał mi to samo uczynić. Potem jeden z oficerów, pełniących służbę, zapytał nas o nasze nazwiska i złożył generałowi przepisany raport o tem. Był to generał Duroc, wysoki, chudy mężczyzna około czterdziestoletni, o twarzy surowej i chłodnem obejściu. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Pan Ludwik de Laval? — zapytał mnie z kwaśną miną.

Ukloniłem się po wojskowemu.

— Cesarz oczekuje pana. Pan możesz odejść, panie poruczniku.

— Wybacz pan, panie generale, ale jestem osobiście odpowiedzialny za pana de Laval.

— W takim razie wejdź pan również.

Weszliśmy do dużego pokoju, w którym nie było żadnych mebli, jedynie wzdłuż ścian ciągnęła się dokoła

długa ławka drewniana. Dokoła siedziało mnóstwo oficerów różnej broni i różnych stopni, między nimi także wielu oficerów marynarki. Inni stali w grupach i rozmawiali z sobą przyciszonym głosem. W przeciwległej ścianie były drzwi, wiodące do sali obrad. Od czasu do czasu przystępował do nich jakiś oficer we wspaniałym mundurze, pukał lekko, a drzwi te otwierały się natychmiast, wpuszczały go do środka i zamykały się za nim na powrót bez szelestu. Nic nie zdradzało tu atmosfery wojennej; a owoiało mnie tu raczej powietrze dworskie, nad tem zgromadzeniem unosiła się jakaś tajemniczość, jakaś obawa pełna szacunku i podziwu, która nie wydawała się dość odpowiednią dla tych szorstkich żołnierzy i marynarzy. Sąsiedztwo cesarza wywierało na tych wszystkich ludzi swój wpływ potężny.

— Bądź pan spokojny, panie de Laval — rzekł do mnie mój towarzysz — możesz pan się spodziewać dobrego przyjęcia u cesarza.

— Po czem pan to wnosisz?

— Po zachowywaniu się generała Duroca wobec pana. Gdy cesarz jest komuś przychylnie usposobiony, wszyscy na tym dworze uśmiechają się do niego, aż do tego lokaja tam, w czerwonej aksamitnej liberji. Gdy jednak na kogoś się chmurzy, gniew jego odbija się na wszystkich twarzach. Nawet ostatni pomywacz będzie na niego spoglądał kwaśno. A co najgorsze, człowiek nigdy nie wie, dlaczego jest dzisiaj w łaskach, a nazajutrz w niełasce. Dlatego nie zazdroszczę bynajmniej Talleyrandowi, jego stanowiska, pomimo, że ma wspaniały pałac przy ulicy Saint-Florentin i kilkaset tysięcy funtów rocznego dochodu. Wolę mego dobrego konika i służbę w moim szwadronie.

Rozmyślałem jeszcze nad tem, czy zachowanie się generała Duroca wobec mnie zapowiadało rzeczy-

wiecie, że cesarz mnie przyjmie łaskawie, gdy wtem przystąpił do mnie młody człowiek w okazałym mundurze. Pomimo, że wyglądał teraz zupełnie inaczej, poznałem go natychmiast: był to generał Savary, ten sam, który tej nocy dowodził oddziałem huzarów, ścigającym spiskowców.

— A co, panie de Laval — rzekł do mnie, ściskając mi silnie rękę — słyszał pan zapewne o tem, że ten łotr Toussac nam umknął. Nam zaś szło głównie o to, aby jego ująć, albowiem ten drugi, Lesage, to nieszkodliwy marzyciel i utopista, niezdolny do żadnej sprawy na serjo. Spodziewam się jednak, że jeszcze pochwycimy tego łotra, tymczasem zaś musimy pilnie czuwać nad cesarzem. Toussac to spiskowiec, z którym nie można żartować.

Czułem w duchu silne palce tego olbrzyma dokoła mej szyi i uprzytomniłem sobie całą tę straszną scenę tej nocy.

— Jest to w istocie człowiek bardzo niebezpieczny — odpowiedziałem.

— Cesarz wkrótce pana przyjmie — mówił dalej generał Savary. — Jest wprawdzie dziś zatrudniony, ale dał mi polecenie, abym pana zanotował do audjencji.

— Dobrze idzie — szepnął mi Gérard, gdy generał się oddalił. — Znam wielu, którzyby dużo za to dali, aby Savary z nimi tak uprzejmie mówił. Cesarz musi być dla pana bardzo życzliwie usposobiony. Bacność, mój przyjacielu, oto zbliża się do pana Talleyrand we własnej osobie.

Rzeczywiście szedł ku nam powoli, kulejąc i opierając się na lasce o srebrnej rączce, mężczyzna barczysty, już może pięćdziesięcioletni. Postać jego, silnie naprzód pochyłona, w zwykłym czarnem ubraniu, od-

bijała dziwnie od błyszczących świetnie mundurów oficerskich. Na twarzy jego jednak widniał rozum, energja i pewność siebie. Wszyscy obecni pochylili się z szacunkiem i usunęli się przed nim na bok, by mu zrobić miejsce.

— Pan Ludwik de Laval? — zapytał, stojąc przedemną i mierząc mnie swemi zinnemi, siwemi oczyma od stóp do głowy.

Złożyłem mu ukłon nieco chłodny, albowiem podzielałem wstręt mego ojca przeciw temu księdzu renegatowi i politykowi wiarołomnemu, przeciw temu szlachcicowi, który się łączył z królobójcami.

Był jednak tak uprzejmy i dobronudzny, że nie mogłem się oprzeć jego urokowi.

— Znałem bardzo dobrze pańskiego krewnego, Rohana — rzekł. — Bawiliśmy się razem dziećmi i byliśmy obaj wielkimi urwiszami, wtedy, gdy jeszcze życie na tym świecie było weselsze, aniżeli dzisiaj. Także z pańskim stryjem, kardynałem de Laval, jestem bardzo blisko zaprzyjaźniony. Pan chcesz zatem ofiarować cesarzowi swoje usługi?

— W tym właśnie celu wróciłem z Anglii do kraju.

— A zaraz po pańskim powrocie spotkała pana nie miła przygoda. Doniesiono mi o wszystkim. Teraz, gdy pan znasz niebezpieczeństwa, na jakie cesarz jest ze wszystkich stron narażony, będziesz pan tem gorliwszy w służbie. Gdzie jest obecnie wuj pański, pan Karol Bernac?

Przebywa na zamku Grobois.

— Czy zna go pan bliżej?

— Dopiero wczoraj widziałem go po raz pierwszy.

— To człowiek bardzo użyteczny cesarzowi do pewnych spraw. Wyświadczył mu różne usługi... etc...

ale — tu nachylił się do mego ucha — pan poszuka sobie niezawodnie innego pola dla swej działalności.

Pożegnał mnie przyjaznym ruchem ręki i kulejąc, odszedł w drugą stronę pokoju.

— Mój przyjacielu — rzekł do mnie huzar, stojący obok mnie — cesarz gotów zamianować pana odrazu marszałkiem Francji.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— Nie, ja nie żartuję — mówił dalej Gérard — pan jesteś niewątpliwie przeznaczony na bardzo wysokie stanowisko. Talleyrand nie ma zwyczaju szafować zbyt hojnie przyjaznymi słowami i ukłonami; on wie najlepiej, z której strony wiatr wieje. Czy będę mógł liczyć na pańskie poparcie, aby otrzymać rangę kapitańską podczas kampanji angielskiej? Ale oto — zawołał nagle — skończyło się posiedzenie rady wojennej.

Przez przeciwległe drzwi wyszło wielu oficerów w ciemno-niebieskich mundurach; na kołnierzach ich widniały złote liście dębowe, co oznaczało godność marszałków cesarstwa.

Wszyscy z wyjątkiem jednego byli poniżej lat czterdziestu.

W innych armjach musiałyby ktoś mieć niezwykłe szczęście, gdyby w tym wieku doprowadził do stopnia pułkownika, ale nieustanne wojny i system Napoleona, który przy obsadzaniu najwyższych stanowisk w armji uwzględniał raczej zasługi, aniżeli lata służby, umożliwiały dzielnym żołnierzom szybki awans.

Marszałkowie utworzyli osobne koło i rozmawiali z sobą swobodnie, z wielkiem ożywieniem.

— Pan należy do arystokratycznej rodziny? — zapytał mnie Gérard.

— Tak jest, jestem blisko spowinowacony z rodzinami Rohanów i Monmorency.

— Dowiedziałem się o tem z pańskiej rozmowy z Talleyrandem. Zdziwi się pan teraz zmianami, jakie zaszły we Francji i nowym duchem, jaki tu panuje. Dawni rzemieślnicy i handlarze zajmują teraz tu najwyższe stanowiska w państwie i w armji. Jeden z tych oto dygnitarzy był kelnerem, drugi przemytnikiem, trzeci bednarzem, a czwarty lakiernikiem i malarzem pokojowym. Nazywają się oni: Murat, Massena, Ney i Lanes.

Ogarnęła mnie silne wzruszenie. Co to za nazwiska! Przeszły do dziejów, gdzie się zapisały spiszowemi głoskami.

Pragnąłem się dowiedzieć bliższych szczegółów o tych świetnych oficerach, których sława wyrównała przepaść kastową, chociaż nazwiska ich budziły we mnie, jako w arystokracji, przykre wspomnienia. Prosiłem tedy Gérarda, by mi wskazał najświetniejszych z pomiędzy nich.

— Jest tu w pokoju bardzo wielu sławnych i zasłużonych mężów i są tu także młodzi oficerowie, którzy rokują wielkie nadzieje. Ten, co stoi tam na prawo, to Ney.

Sławny marszałek, ze swemi kótko przystrzżoć nemi rudemi włosami i szeroko wystającemi-kośćmi policzkowemi, przypominał mi pewnego angielskiego boksera zawodowego, którego gdzieś spotkałem.

— Nazywamy Czerwonymy go Piotrem albo Czerwonym Lwem — rzekł młody oficer. — Mówią, że to najdzielniejszy żołnierz w armji, chociaż nie mogę się na to zgodzić, aby był dzielniejszy, aniżeli ktoś inny, którego bym mógł wymienić. Niewątpliwie jest także znakomitym wodzem.

— A ten generał obok niego? — zapytałem. — Dlaczego pochyła głowę tak silnie na bok?

— To generał Lannes. Otrzymał w bitwie pod Saint-Jean d' Acre postrzał w plecy; wskutek blizny pochyła głowę na lewo. Jest Gaskończykiem, jak ja i obawiam się, że przyczynia się poniekąd do tego, że nas uważają powszechnie za ludzi kłótliwych i lubiących się chełpić. Pan uśmiecha się, panie Laval?

— Wcale nie — odpowiedziałem.

— Zdawało mi się, że słowa moje wydają się panu śmieszne. Może pan w istocie uważa Gaskończyków za ludzi kłótliwych i zawadjaków. Ja zaś powiadam panu, że Gaskończycy to ludzie najłagodniejsi w całej Francji. Jest to naród spokojny, skromny i wstrzemięźliwy. Takie jest moje zdanie i gotów jestem utrzymywać je przeciw wszystkim i na wszelkie sposoby, jeżeli pan sobie tego życzy. Zresztą Lannes jest dzielny i poczciwym chłopcem; niekiedy może nieco za popędliwy i to mu szkodzi. Obok niego sto Augereau.

Augereau! Bohater z pod Castiglione! Skorzystał on z jedynej sposobności, kiedy Napoleonowi nie dopisały przymioty duszy i serca, by objąć dowództwo nad armją i pozyskać nieśmiertelną sławę. Postać ta lepiej się wydawała na polu bitwy, aniżeli na dworze cesarskim. Ze swoją długą, koźlą twarzą, z grubym czerwonym nosem, wyglądał, pomimo złotych liści dębowych, zdobiących jego kołnierz i pomimo złotych galonów, jak pierwszy lepszy prosty żołnierz z kordegardy. Dopiero w późnym wieku został zamianowany marszałkiem Francji; godność ta nie mogła już zmienić jego zachowywania się. Całe życie pozostał kaprałem, przebrany w mundur marszałka.

— Prawda, że to człowiek prosty — rzekł Gérard na moją uwagę. — Cesarz chce go też tylko mieć w obozie. W buduarze cesarzowej w Tuilerjach nie jest



na swoim miejscu. On, Rapp i Lefebvre zwykli byli się tam przechadzać, włócząc za sobą szable i plamiąc posadzkę zabłoconemi butami, aż im cesarz tego zabronił. Ten brunet z twarzą chmurną, to Vandamme. Niechaj Bóg ma w swej opiece tę wieś angielską, w której on założy swą kwaterę. Był raz pod sądem za to, że w Westfalji strzaskał szczękę księdzu, który nie miał dla niego w pogotowiu drugiej butelki wina tokajskiego.

— A tamten, to prawdopodobnie Murat?

— Tak jest, ten z czarnemi bokobrodami, z grubemi, czerwonemi wargami i tworzą opaloną od słońca. To mi bohater! Gdy pędzi galopem na czele swej brygady konnicy, z rozwianym pióropuszem i błyszczącym mieczem w dłoni, piękniejszego widoku niema na całym świecie. Czasem na sam jego widok łamały się i pierzchały całe kolumny grenadierów. W Egipcie Napoleon trzymał się zdala od niego, albowiem w obecności Murata Arabowie nie chcieli słuchać cesarza. Podług mego zdania, Lasalle jest lepszym jeźdźcem, ale żołnierze nie słuchają nikogo tak chętnie, jak Murata.

— A kto jest ten oficer z surowym wyrazem twarzy, który stoi oparty na wschodniej szabli?

— To Soult, człowiek najbardziej uparty na całym świecie. Sprzeczają się nawet z cesarzem. Ten młody, przystojny mężczyzna obok niego to Junot, a tam obok ściany oparty stoi Bernadotte.

Niezwykła twarz tego awanturnika, którego ciemny kolor zdradzał jego pochodzenie hiszpańskie, czarne oczy jego, błyszczące i pełne życia i nos śmiało zakrzywiony, wywarły na mnie wielkie wrażenie. Od zwykłego szeregowca w armji Napoleona wznosił się do godności marszałka, a w energicznych rysach twarzy jego było napisano, że los przeznacza go jeszcze do czegoś

wyższego. Jak wiadomo, wstąpił później na tron Szwecji i to raczej wbrew woli Napoleona, aniżeli za jego poparciem, jak tyle innych kreatur tego zdobywcy świata. Ze wszystkich tych dumnych i obdarzonych wielkimi zdolnościami ludzi, którzy otaczali cesarza, był on niewątpliwie najzdolniejszy, atoli nikomu niedowierzał Napoleon tak bardzo, jak Juljuszowi Bernadotte.

Nagle rozszedł się po pokoju cichy, przytłumiony szmer, a potem nastąpiła cisza grobowa. Tak jak w szkole uczniowie milkną naraz i śpieszą do ławek na swoje miejsca, gdy niespodziewanie nauczyciel wejdzie do klasy, tak i tu wszyscy obecni przerwali rozmowę. Oficerowie, którzy stali dokoła swobodnie w grupach, stanęli natychmiast w szeregach, a ci, co siedzieli na ławkach, zerwali się szybko z miejsc swoich.

Napoleon wszedł do poczekalni i stanął w obramowaniu drzwi.

Ci nieustraszeni żołnierze, jak się chełpił Augereau, nie bali się ani Boga, ani szatana, ale chmura na czole człowieka, który ich wszystkich poskramiał, trwożyła ich jak małe dzieci, a uśmiech zadowolenia na jego twarzy był dla nich rozkoszonym balsamem. Zresztą nie trzeba było tych zewnętrznych oznak, abym poznał, że cesarz jest obecny. Twarz jego blada, gdyby z kości słoniowej, przyciągała z nieprzepartą siłą moje spojrzenia, a pomimo niepokąźnego munduru, byłbym go z pewnością natychmiast rozpoznał nawet wśród jak najliczniejszego zgromadzenia. Stał tedy tu we własnej osobie, niski, krępy, przysadkowaty, w zielonym mundurze, z czerwonymi wyłogami, w obcisłych spodniach, ze swoją historyczną złotą szpadą w pochwie szylkretowej.

Pod lewem ramieniem trzymał swój mały kapeluszek ze sławną kokardą trójbarwną, znany ogólnie z jego wizerunków; na odkrytej głowie widać było rzadkie

włosy ciemne, z odcieniem rudawym. W prawej ręce miał szpicrutę ze srebrną rączką.

Zbliżał się zwolna, z twarzą nieruchomą, z groźnem i surowem spojrzeniem, sztywny i nieubłagany, gdyby uosobienie spiżowego przeznaczenia, które stąpa krokiem bezlitosnym.

— Admirale Bruix!

Słowa jego przeniknęły mnie nawskróś. Nigdy jeszcze nie słyszałem głosu tak groźnego, tak złowieszczego. Jasno-niebieskie oczy cesarza pod zmarszczonymi brwiami błyszczały, jak ostrze szabli w świetle słonecznem.

— Jestem, najjaśniejszy panie.

Z szeregu oficerów wysunął się szpakowaty, ogorzwały mężczyzna, w mundurze marynarskim. Napoleon uczynił ku niemu trzy kroki, a twarz jego przybrała wyraz tak straszliwie groźny, że ten nieustraszony wilk morski zbłądł i spojrzał po stojących dokoła dostojnikach, jak gdyby szukał w nich oparcia.

— Co to ma znaczyć, admirale Bruix — krzyczał cesarz głosem, podobnym do grzmotu — że pan wczorajszego wieczora nie spełniłeś moich rozkazów?

— Widziałem, że burza nadciąga, najjaśniejszy panie. Wiedziałem — ledwie mógł dalej mówić ze wzburzenia — wiedziałem, że okręty są stracone, jeżeli...

— Pan nie masz prawa osądzać moich rozkazów — krzyczał Napoleon od gniewu prawie nieprzytomny. — Czy myśli pan, że pańskie zdanie może się równać z mojem?

— W sprawach żeglugi, najjaśniejszy panie.

— W żadnej sprawie.

— Ale wszakże burza, najjaśniejszy panie, która potem rzeczywiście wybuchła, dowiodła, że miałem słusność.

— Jakto? Pan śmiesz jeszcze ze mną się sprze-  
czać?

— Służność jest po mojej stronie.

W sali zapanowała cisza grobowa, możnaby sły-  
szyć muchę przelatującą. Wszyscy obecni, w niewypo-  
wiedzonej trwodze, wstrzymywali oddech. Cesarz po-  
zieleniał na twarzy, która była zupełnie zmieniona,  
żyły mu na czole wystąpiły, wyglądał jak epileptyk.

Z podniesioną w górę szpicrutą przystąpił do  
admirala.

— Nędzniku! — wykrzyknął. A następnie wy-  
cedził przez zęby włoskie słowo „Coglione“.

Wogóle, w miarę, jak w cesarzu gniew brał górę,  
jego francuszczyzna brzmiała z cudzoziemska.

Szpicruta lada chwila mogła spaść na twarz ma-  
rynarza. Bruix cofnął się o krok wstecz i kładąc rękę  
na rękojeści szpady, zawołał:

— Najjaśniejszy panie, strzeż się!

Napężenie doszło do najwyższego stopnia. Wre-  
szcie spuścił Napoleon szpicróżgę powoli i uderzył się  
nią po nogach.

— Wiceadmirale Magon! — zawołał. — Obejmie  
pan dowództwo nad flotą. A pan, admirale Bruix, masz  
opuścić Boulogne w przeciagu dwudziestu czterech go-  
dzin i udać się do Holandji. Gdzie jest porucznik  
Gérard z pułku huzarów Berchény?

Towarzysz mój przystąpił, trzymając rękę przy  
kasku.

— Jestem tutaj, najjaśniejszy panie.

— Dobrze, możesz pan odejść.

Porucznik zasalutował, odwrócił się i wyszedł,  
dzwoniąc ostrogami. Cesarz zaś zwrócił się ku mnie  
i spojrzał mi w twarz badawczo. Wtedy dopiero zro-  
zumiałem, co znaczy frazes o przenikliwym spojrzeniu

człowieka: oczy cesarza wpiły się w istotę we mnie, aż do głębi i zdawało mi się, że czytają moje najtajniejsze myśli. Ale nie było w nich już śladu gniewu: przeciwnie, spoglądały na mnie życzliwie i z dobrocią.

— Pan pragniesz wstąpić do nas w służbę, panie de Laval?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Namyślałeś się pan długo, zanim się zdecydowałś.

— Nie byłem swoim panem, najjaśniejszy panie.

— Ojciec pański był arystokratą?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— I zwolennikiem Bourbonów?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Teraz już niema we Francji ani jakobinów, ani arystokratów. Jesteśmy wszyscy Francuzami i walczymy za sławę i dobro naszej ojczyzny. Czy zna pan Ludwika de Bourbon?

— Raz go widziałem, najjaśniejszy panie.

— Wygląda bardzo niepokaznie, wszak prawda?

— Przeciwnie, najjaśniejszy panie. To bardzo piękny i okazały mężczyzna.

Po twarzy cesarza przebiegł cień niechęci, oczy jego zachmurzyły się. Ale natychmiast twarz mu się znów wypogodziła i żartobliwie ujął mnie za ucho.

— Pan de Laval nie jest stworzony na dworaka — rzekł. — Zręsztą Ludwik de Bourbon sam wkońcu dojdzie do przekonania, że nie można zdobyć tronu królewskiego Francji proklamacjami, wysyłaniami z Londynu. Ja znalazłem koronę Francji, leżącą na ziemi i podniosłem ją stamtąd ostrzem mego miecza.

— I także Francję, będącą w upadku, dźwignąłeś mieczem swoim, najjaśniejszy panie, — dodał Talleyrand, który stał obok.

Napoleon rzucił na swego sławnego ministra krótkie spojrzenie, w którym znać było wyraz nieufności. Potem zwrócił się do swego sekretarza i rzekł:

— Panie de Méneval, pozostawiam pana de Laval pod pańską opieką. Po przegładzle kawalerji, pragnę z nimi mówić w mojej sali obrad.

## XI.

### SEKRETARZ NAPOLEONA.

Cesarz, generałowie i wszyscy oficerowie wyszli z namiotu i pospieszili na pole, gdzie się miała odbyć parada. Ja zaś zostałem z panem de Méneval, prywatnym sekretarzem cesarza. Był cały czarno ubrany, z wyjątkiem śnieżno-białej kryzy od koszuli i spoglądał na mnie przyjaźnie swemi, dużemi oczyma.

— Przedewszystkiem musimy coś zjeść, panie de Laval — rzekł do mnie. — Kto ma z cesarzem do czynienia, musi korzystać z każdej wolnej chwili, aby się naprzód nasycić. Cesarz często nie jada nic całemi godzinami i musi się z nim razem pościć. I teraz już omal nie mdleje z głodu i pragnienia.

— A jakże cesarz może to wytrzymać? zapytałem.

Ujmujące obejście się pana de Méneval obudziło we mnie zaufanie. Miałem wrażenie, że znam tego młodego człowieka oddawna.

— O, cesarz to człowiek żelazny, panie de Laval. Z nim nie może się nikt zmierzyć. Raz pracował bez przerwy ośmnaście godzin bez zjedzenia; wypił tylko filiżankę kawy. Cesarz potrafi więcej znieść, aniżeli każdy inny człowiek; nawet żołnierze nie mogą mu dotrzymać placu. Mój urząd sekretarza prywatnego przy boku najjaśniejszego pana jest niewątpliwie zaszczytny, ale

praca z nim połączona jest niekiedy nad moje siły. Niedawno temu dyktował mi aż do północy; miałem szalony ból głowy i z trudnością pokonywałem senność. Musi pan wiedzieć, jak to trudno pisać za jego dyktowaniem; cesarz dyktuje tak prędko, jak mówi i nigdy nie powtarza ani jednego słowa. Naraz przestał i powiada: „Teraz zakończymy naszą pracę, panie de Méneval, aby raz wypaść się należycie.“ Byłem uradowany nadzieją, że będę mógł raz nieco dłużej wypocząć i wstaje z miejsca, ale cesarz dodaje: „A jutro rano, o trzeciej godzinie, będziemy dalej pisać.“ I on to nazywa nocą dobrze przespaną.

— Ale cesarz musi mieć jakieś oznaczone godziny dla swoich posiłków, panie de Méneval? — zapytałem, wychodząc z namiotu wraz z nieszczęśliwym sekretarzem.

— Ma oznaczone godziny, ale nie dotrzymuje ich. Teraz na przykład godzina obiadowa już dawno minęła, on zaś idzie na przegląd wojska. Po jego powrocie, znów coś prawdopodobnie zwróci na siebie jego uwagę, a potem może znów coś innego, aż wieczorem sobie nagle przypomni, że nie jadł jeszcze obiadu. „Mój obiad, Constant“ woła wtedy prędko, a biedny Constant może sobie łamać głowę, jakby sobie z tem dać radę.

— Wtedy potrawy muszą być już zupełnie nieprzydatne do jedzenia — zauważyłem.

Sekretarz zaśmiał się z cicha, jak to czynią zwykle ludzie, przywykli nie wyjawiać swoich uczuć i myśli.

— Tu jest kuchnia cesarska — rzekł, wskazując na duży namiot, tuż obok głównej kwatery. Obok wejścia stał Borel, drugi kuchmistrz cesarza.

— Przy którym kurczęciu jesteś pan teraz, panie Borel?

— Ach, panie de Méneval, to doprawdy nie do wytrzymania — jęknął kucharz. — Proszę oto spojrzeć.

I rzekłszy te słowa, odchylił zasłonę namiotu i pokazał nam siedm półmisków, na każdym zaś leżało zimne kurczę.

— Osme będzie także wnet upieczone, a teraz cesarz udał się na przegląd wojska. Będę zatem musiał dziewiąte wsadzić na rożen.

— I tak dzieje się zawsze — rzekł do mnie mój towarzysz, odwracając się od namiotu. — Pewnego razu upieczono dwadzieścia cztery kurcząt, za nim cesarz zajął obiadu. Wtedy jadł o jedenastej godzinie w nocy. Nie należy mu wcale na tem, co mu podają do jedzenia, byleby nie musiał czekać. Ryba albo kura i pół butelki wina Chambertin wystarczają mu zupełnie. Dawać mu krem lub ciastka byłoby nierozsądnie, zjadłby je bowiem przed kurczęciem... Ale spojrzysz pan tam czy wiesz pan, co to ma znaczyć?

Stałem, wydając okrzyk zdziwienia. W jednej z uliczek, wiodących między namiotami, ujeżdżał groom wspaniałego rumaka arabskiego ostrym galopem. W kącie uliczki stał grenadjer, trzymając na rękach żywe prosię i rzucał je koniowi pod nogi. Prosię kwiczało głośno i uciekało co rychlej, a szlachetny rumak pędził dalej ewąłem, nie zwróciwszy na nie uwagi.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytałem.

— To Jardin, przyboczny groom cesarza; ujeżdża dla niego wierzchowca. Cesarz nie siedzi zanadto pewnie w siodle i nieraz jadąc konno, pogrąża się w zamysleniu, tak że koń, który się płoszy, mógłby go łatwo zrzucić. Wierzchowce muszą być przeto dla niego umyślnie tresowane. Najpierw strzela się z armaty tuż przed uchem zwierzęcia, potem obrzuca się je kamieniami, a wkońcu rzuca mu się pod nogi coś żywego, jak pan tu właśnie widziałeś. Dopiero wtedy, gdy koń wytrzyma wszystkie te próby, nie drgnąwszy nawet,



nadaje się do użytku dla cesarza. A teraz patrz pan znów w tamtą stronę. Czy widzi pan tego młodego człowieka, który tam śpi przed namiotem?

— Tak jest, widzę go.

— Czy uwierzy mi pan, że on w tej chwili także spełnia służbę dla cesarza?

— W każdym razie służbę bardzo łatwą.

— Pragnąłbym, aby pańska służba nie była trudniejsza, panie de Laval. Ten chłopak nazywa się Józef Linden i ma dokładnie taką samą stopę, jak cesarz. Obowiązkiem jego jest nosić przez trzy dni buty cesarza, zanim tenże je sam ubierze. Także i te buciki, które ma teraz na nogach, są własnością najjaśniejszego pana; poznają to po złotych sprzączkach. Panie de Caulaincourt, czy nie chce pan zjeść z nami obiadu?

Zagadnięty, wysoki, przystojny i bardzo wykwiwnie ubrany mężczyzna w średnim wieku, zbliżył się do nas z uprzejmym ukłonem.

— A więc pan także jesteś raz wolny od służby, panie de Méneval? Jako marszałek dworu najjaśniejszego pana, mam wprawdzie dość pracy, ale mam przecież nieco więcej wolnego czasu, aniżeli pan. Czy mamy jeszcze czas zjeść obiad przed powrotem cesarza?

— Oczywiście; oto mój namiot i wszystko już nawet jest przygotowane. Stąd możemy zobaczyć cesarza, gdy będzie wracał i będziemy mogli być jeszcze przed nim w jego pokoju. Mamy tu tylko kuchnię obozową, panie de Laval; spodziewam się, że pan nią nie pogardzi.

Umierałem z głodu, pochłonałem tedy trzy kotlety, dużą porcję kartofli smażonych i taką samą porcję sałaty. Wszystko to, rzecz naturalna, smakowało mi wybornie.

Równocześnie słuchałem z wielkiem zajęciem

rozmowy obydwóch dostojników dworskich, którzy ze mną jedli obiad. Interesowały mnie niezmiernie wszystkie szczegóły z życia tego niezwykłego człowieka, który genjuszem swoim podbił świat cały. Dziwiła mnie szczerść, z jaką pan Caulaincourt wyrażał się o cesarzu i jego polityce.

— Co mówią w Anglii o Napoleonie, panie de Laval?

— Nic dobrego.

— Wiem o tem z dzienników. Doprowadzają cesarza do wściekłości, chce je jednak koniecznie czytać wszystkie. Założyłbym się, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po zdobyciu Londynu, będzie, że wyśle oddziały konnicy do wszystkich redakcyj pism i każe uwięzić wszystkich redaktorów.

— A potem?

— Potem wyda natychmiast proklamację do narodu angielskiego, aby wytłumaczyć Anglikom, że aczkolwiek zdobył Anglię wbrew woli jej mieszkańców, uczynił to jednak wyłącznie dla ich korzyści. A następnie, jeżeli się będą koniecznie przy tem upierali, aby mieć władzę protestanckiego, wyjaśni im, że jego religijne poglądy różnią się tylko w kilku nieznacznych punktach od dogmatów ich świętego kościoła, że on, Napoleon Bonaparte, jest właśnie tym, jakiego im potrzeba, aby nimi rządził.

— Pan jesteś złośliwy, zanadto złośliwy — zawołał de Méneval, zabawiony a jednocześnie przestraszony śmiałą mową dworskiego dygnitarza. — To prawda, że cesarz z powodów politycznych układał się z mahometanami i gotów to samo uczynić z kościołem św. Piotra, gdy tego zajdzie potrzeba. Władca świata nie może być ciasny w swych poglądach. Zresztą nie

potrzebujemy sobie łamać głowy nad jego postępowaniem: on myśli za nas wszystkich.

— Myśli za wiele — rzekł Caulaincourt poważnie — tak wiele, że my wszyscy oduczamy się myśleć. Pan wiesz, co ja mam na myśli, panie de Méneval. Pan znasz stosunki na dworze tak dobrze, jak ja.

— Całkiem słusznie — odpowiedział sekretarz. — Cesarz nie zachęca swego otoczenia wcale do samodzielnego myślenia, nie popiera inicjatywy. Słyszałem z własnych ust jego, że od swoich podwładnych żąda przede wszystkim miernoty; piękny to dla nas komplement, którzy mamy zaszczyt zostawać w jego służbie.

— Najlepszy dowód rozumu na jego dworze daje ten, kto najskuteczniej udaje głupca — dodał Caulaincourt z goryczą.

— A przecież są tu w obozie wybitne indywidualności — zauważyłem.

— Zostają tu jednak tylko dlatego, ponieważ umieją ukrywać swój rozum. Ministrowie jego są pisarzami, generałowie wyższymi adjutantami. Są to jedynie organy wykonawcze cesarza. Stoją dokoła niego podobni do zwierciadeł, z których każde pokazuje odbicie jego świetnej osoby z innej strony. W jednym zwierciadle ukazuje się pod postacią finansisty i nazywa się Lebrun. W innym znów widzimy go jako prefekta policji i nazywa się Fouché; w trzecim nakoniec pojawia się w postaci dyplomaty a nazwisko jego jest Talleyrand. Są to wszystko różne maski dla tego samego człowieka. Oto jest tu na przykład pewien pan, nazwiskiem de Caulaincourt; kieruje dworem cesarskim, a nie ma prawa na własną rękę odprawić lokaja. Zawsze bowiem cesarz zastrzega sobie w tym względzie ostatnie słowo. A z nami igra jak z marionetkami. Tak, tak, panie de Méneval, musimy to wyznać otwarcie, cesarz igra z nami.

Jednego marszałka podjudza przeciw drugiemu; nie dopuszcza nigdy do tego, aby między nimi panowała zgoda i harmonja. Davoust nienawidzi Bernadotte'a, Lannes jest wrogiem Bessièresa, Ney Masseny, chętnie posiekaliby się wzajemnie szablami. Zna także dokładnie wszystkie nasze słabostki, chciwość pieniędzy Savary'ego, próżność Cambacéresa, szorstkość i prostactwo Duroca, szaleństwa Berthiera, zarozumiałość Murata, namiętność do spekulacji Talleyranda, i wyzyskuje to wszystko dla swoich celów. Nie wiem, jakie są moje słabe strony, ale on zna je z pewnością i umie z nich ciągnąć korzyści.

— Ależ to praca nadludzka! — zawołałem — trzymać w rękach i kierować tak olbrzymim zbiorem ludzi...

— Tak, to należy mu przyznać w istocie, że nie brak mu pracowitości i energii — odpowiedział de Méneval. — Pracuje nieraz całemi tygodniami po ośmnaście godzin na dobę. Przy obradach ciała prawodawczego, którym przewodniczył, prawie wszyscy uczestnicy z przepracowania byli bliscy omdlenia. Mnie również zniszczy tak samo, jak mego poprzednika Bourienne'a; chcę jednak wytrwać bez szemrania na mojem stanowisku, póki nie ulegnie temu nawałowi pracy. Albowiem, jeżeli jest twardy dla innych, nie jest bardziej pobłażliwy dla siebie samego.

— Jest to właśnie człowiek, jakiego Francja potrzebuje — rzekł Caulaincourt — jest to bowiem geniusz porządku i dyscypliny. Gdy sobie przypomnimy smutny i beznadziejny chaos, w jaki Francja popadła po rewolucji, owe niemożliwe stosunki ówczesne, kiedy każdy chciał rozkazywać, a nikt nie chciał słuchać, musi sobie jasno uprzytomnić, że tylko Napoleon mógł ocalić naszą ojczyznę. Wszyscy oglądaliśmy się wówczas z upragnieniem za jakąś silną podporą, którejbyśmy

mogli się uchwycić, aż ją wreszcie znaleźliśmy w nim, w tym człowieku iście żelaznym. A jaką dziwną figurą był wtedy Bonaparte, panie de Laval! Teraz, gdy już wszystko osiągnął, czego mógł tylko pragnąć i spodziewać się, jest wesół i zadowolony. Wtedy jednak nic jeszcze nie posiadał, a pożądał wszystkiego. Spojrzenia jego ukośne mogły przerażać ludzi. Chudy był i błydy i chodził ulicami jak dziki zwierz, wszyscy stawali i oglądali się za nim. Twarz miał zapadła i pooraną głębokimi zmarszczkami; spoglądał na ludzi z ponurą groźbą. Tak, była to osobliwa postać, ten młody podporucznik, który świeżo opuścił szkołę wojskową. Widząc go, pomyślałem sobie w duchu: „Ten człowiek będzie kiedyś potężnym władcą albo skończy na rusztowaniu.“ A teraz patrzcie do czego doprowadził.

— Jakto? — zapytałem — i to wszystko stało się w przeciągu dziesięciu lat tylko?

— Tak jest, potrzebował tylko dziesięciu lat na to, aby odbyć drogę z koszar do pałacu w Tuilerjach. Był jednak stworzony na władcę i nic nie mogło go w tej drodze powstrzymać. Jak de Bourienne opowiada, już w szkole kadeckiej w Brienne, jako mały chłopak, miał cesarskie manjery: chwalił i ganił swoich kolegów, spoglądał na nich z gniewem lub uśmiechał się do nich łaskawie, zupełnie tak samo, jak to dzisiaj czyni. Czy zna pan jego matkę, panie de Laval? Prawdziwa matka bohaterów, królowa z tragedji, poważna i pełna godności, powściągliwa, milcząca. Syn do niej podobny.

Sekretarza wprawiały w niepokój te swobodne i niczem nie krępowane wynurzenia marszałka dworu cesarskiego. Widać to było po jego spojrzeniach, które zwracały się trwożliwie to na mnie, to na pana de Caulaincourt.

— Nie sądz pan jednak, panie de Laval — rzekł

po chwili — abyśmy żyli pod rządami tyrańca, albowiem w takim razie nie śmielibyśmy tak szczerze się wyrażać, jak to właśnie teraz czynimy. Powiedziałbym nawet, że cesarz mógłby się spokojnie przysłuchiwać naszej rozmowie, sprawiłaby mu niezawodnie przyjemność i być może, że wniejednym względzie przyznałby nam otwarcie słuszność. Ma oczywiście drobne błędy i wady, jak każdy człowiek; ale jako władca, zasługuje na zaufanie narodu, jak żaden inny. Pracuje więcej, aniżeli którykolwiek z jego poddanych. Żołnierze ubóstwiają go, jako swego wodza, służba przepada za nim. W całych Tuilerjach niema człowieka, któryby był bardziej od niego umiarkowany w jedzeniu i picciu. Będąc jeszcze sam biedny, ponosił koszta wychowania swych braci i sióstr, a także dalszym swoim krewnym pomagał do uzyskania dobrobytu. Krótko mówiąc, jest oszczędny, pracowity i wstrzemięźliwy, odważny i uczynny. Jeżeli jest prawdą to, co czytamy w dziennikach, panie de Laval, to księżę Walji nie może się z nim równać, ani co do charakteru, ani co do trybu życia...

Przypomniałem sobie wszystkie skandale w Brighton, w Londynie i w Newmarket, które oburzyły opinię publiczną w Anglii i z którymi łączyło się imię księcia Jerzego i nie próbowałem nawet wystąpić w jego obronie.

— O ile mi wiadomo — zauważyłem — Anglicy nie napadają na prywatne życie cesarza, ale na jego polityczną działalność.

— To jedno jest rzeczą pewną — rzekł Caulaincourt — cesarz i my wszyscy jesteśmy głęboko przekonani, że Francja i Anglja nie mogą obok siebie istnieć. Jedno z tych państw musi panować nad drugim. Dopiero gdy Anglja będzie obalona, będziemy mogli kłaść podwaliny pod gmach wieczystego pokoju. Włochy należą już do nas, Austrię pokonamy z łatwością po raz

drugi, Niemcy są podzielone na drobne części, Rosja może się rozszerzać na wschód i na południe. Amerykę będziemy mogli później jeszcze zająć, gdy nam czas na to pozwoli; powodu do wojny dostarczy nam zawsze Kanada albo Luizjana. Tak tedy świat cały stoi nam otworem, tylko te oto przedmioty stoją nam w drodze.

Pan de Caulaincourt, mówiąc to, zbliżył się do wejścia do namiotu i wskazał na błękitne fale kanału La Manche. Zdawały się poruszać, jak śnieżne białe skrzydła mew, żagle angielskich statków wojennych, opasujących pierścieniem blokady wybrzeża Francji. I znów ukazał się oczom moim obraz wczorajszy; światła na okrętach w pośrodku morza i barwny odbłysek słońca na namiotach obozu.

Francja i Anglja stały tu naprzeciwko siebie, jak dwaj zapaśnicy gotowi do walki, a świat cały z naprzeciwem zwracał na nich spojrzenia.

## XII.

### NAPOLEON PRZY PRACY.

Z namiotu Méneroala można było objąć okiem całą cesarską kwaterę główną. Cesarz jednak musiał wejść do swej kwatery z tyłu albo też byliśmy tak zatopieni w naszej ożywionej rozmowie, żeśmy go nie spostrzegli, albowiem nagle wszedł do nas kapitan w zielonym mundurze strzelców gwardji i oznajmił, że cesarz oczekuje swego sekretarza.

Méneval zbladł jak ściana i zerwał się szybko z miejsca. Był tak przestraszony, że ledwie mógł mówić.

— Dlaczego nie poszedłem tam prędzej? — wyjąkał drżącym głosem. — Co za nieszczęście! Panie de Caulaincourt, pan musisz wstawić się za mną. Gdzie

mój kapelusz i szpada? Chodź pan prędko, panie de Laval, nie mamy ani chwili do stracenia.

Przerażenie biednego Ménevala świadczyło, nie mniej wymownie jak scena z admirałem Bruix, która się odegrała w mej obecności, o władzy, jaką Napoleon wywierał na swoje otoczenie. Podwładni jego nigdy nie mogli się czuć bezpieczni przed grożącą im nagle niełaską: dziś przyjmował ich dobrze, nazajutrz zaś odpychał ich szorstko. Ale pomimo tego wszystkiego służyli mu wiernie i uwielbiali go jak półboga... Co za wpływ niepojęty!

— Może lepiej, abym tu zaczekał — rzekłem do pana de Méneval, gdyśmy weszli do poczekalni, gdzie jeszcze było mnóstwo ludzi.

— Nie, nie, ja jestem za pana odpowiedzialny. Wejdz pan razem ze mną. Spodziewam się, że cesarz nie będzie się na mnie gniewał. Ale jak mogłem nie spostrzec jego przybycia?

Mój strwożony towarzysz zapukał lekko do drzwi, które się natychmiast otworzyły. Za niemi stał mameluk Rnstan.

Pokój, do którego weszliśmy, był bardzo przestronny, ale nadzwyczaj skromnie urządzone. Ściany były obite tapetami srebrno-szaremi. W pośrodku niebieskiego stropu widniał orzeł cesarski ze złota, niosąc w szponach piorun. Pomimo ciepłego dnia palił się duży ogień na kominku, a gorąca atmosfera pokoju była przesycona silną wonią aloesu. Na środku pokoju stał stół owalny, przykryty zielonem sukniem, na nim zaś leżały stosy listów i aktów. Na jednym końcu stołu wznosił się pulpit, przed nim siedział na zielonym fotelu cesarz i bawił się zagłębianiem ostrza scyzoryka w drewniane rzeźbione oparcie swego krzesła. Wzdłuż ścian pokoju stało kilku wyższych oficerów, adiutantów



czekających na rozkazy, na których nie zwracał uwagi. Spojrzał surowo na wchodzącego Ménevala i potrząsnął głową.

— Daleś mi pan czekać, panie de Méneval. U pańskiego poprzednika Bourienne to się nigdy nie zdarzyło. Dość, nie żądam żadnego tłumaczenia. Weź pan ten oto rozkaz, który w pańskiej nieobecności sam napisałem i sporządź pan odpis jego.

Nieszczęśliwy Méneval wziął papier drżącą ręką i poszedł z nim do swego małego stolika, stojącego z boku.

Napoleon wstał z miejsca i począł szybko chodzić po pokoju, tam i napowrót, z rękoma w tył założonemi, z głową pochyloną na piersi. Na jego białych spodniach widać było wielkie plamy atramentu, widocznie obcierał o nie pióro.

Ja stałem ciągle nieruchomy przy drzwiach, obok Rustana. Cesarz zdawał się mnie wcale nie widzieć, ani się nie domyślać mojej obecności.

— A więc, panie de Méneval, czy już pan skończył? — zapytał cesarz po krótkim czasie. — Mamy jeszcze co innego do roboty.

Sekretarz siedział bezradny przed konceptem cesarza, pełnym plam z atramentu i mozolił się nad jego odcyfrowaniem; na twarzy jego wystąpił rumieniec.

— Przebac mi, najjaśniejszy panie — mruknął, obracając się ku cesarzowi.

— Co mam panu przebaczyć? Co się znów stało?

— Przebac, najjaśniejszy panie... nie mogę tego pisma przeczytać.

— Wiesz pan przecie, do czego się ten rozkaz odnosi.

— Tak, najjaśniejszy panie, to dotyczy sprawy furazu dla konnicy.

Napoleon uśmiechnął się prawie filuternie.

— Przypomina mi pan Cambacéresa, panie de Méneval. Gdy mu doniosłem listownie o bitwie pod Marengo, myślał, że mu donoszę o moich zaręczynach. Nie pojmuję doprawdy, dlaczego nikt nie może czytać mego pisma. Ten dokument nie ma nic wspólnego z końmi mojej kawalerji, lecz zawiera rozkaz wystosowany do admirała Villeneuve, aby zgromadził swoją flotę i objął dowództwo w kanale La Manche. Daj go pan tutaj, przeczytam go panu na głos.

I szybkim ruchem wyrwał sekretarzowi papier z ręki, po długiem przypatrywaniu się jednak zniżył go i rzucił gniewnie na ziemię.

— Podyktuję go panu — rzekł.

I chodząc dużemi krokami po pokoju, począł wyrzucać słowa tak szybko, że biedny Méneval, z twarzą zaczerwienioną od pośpiechu, ledwie mógł za nim nadążyć. Zapalając się swojemi własnymi myślami, krzyczał coraz głośniej. Tok myśli jego był tak jasny i przejrzysty, że nawet ten, kto się wcale nie rozumiał na rzeczy, mógł z łatwością rozkazy jego wykonywać. A najbardziej wprawiła mnie w zdumienie znajomość jego spraw marynarki. Znał dobrze nietylko wszystkie okręty linjowe, ale także każdą fregatę, szalupę i każdy dwumasztowiec, wiedział dokładnie, gdzie każdy okręt się znajduje, w jakim porcie, czy w Ferrol, czy w Rochefort, w Kadyksie, w Carthagena lub w Brest, jak jest uzbrojony i z wielu ludzi składa się jego załoga. Znał nawet dokładnie nazwy wszystkich angielskich okrętów wojennych. Taka gruntowna znajomość rzeczy byłaby zdumiewająca nawet u oficera marynarki i tylko taki wszystko ogarniający duch, jak jego, mógł być tak dobrze obznajomiony z tak różnemi dziedzinami życia ludzkiego.

Gdy skończył dyktowanie, zwrócił się nagle do timnie. Ze słów jego poznałem, że mnie cały czas widział i obserwował, nie dając tego poznać po sobie.

— Zdajesz się pan zdziwiony, panie de Laval, że mogę sam załatwić sprawy mojej marynarki, nie mając obok siebie mego ministra marynarki? Musisz pan wiedzieć, że ja zasadniczo sam studjuję każdy wypadek i postępuję potem podług mojego uznania. Gdyby poczciwi Bourbonowie byli tak samo czynili, nie siedzieliby może teraz na wygnaniu w mglistej Anglii.

— Trzeba w istocie mieć tak nadzwyczajną pamięć, jak wasza cesarska mość, aby móc temu wszystkiemu podolać — odpowiedziałem.

— Pamięć moja, młodzieńcze, wyrobiłem sobie przez systematyczne ćwiczenie. Zdaje mi się, jak gdybym miał szufladki w mózgu, które mogę według mego upodobania otwierać i zamykać. Zawsze znajduję w nich to, czego szukam. Mam złą pamięć liczb i imion, natomiast przypominam sobie wybornie fakty i fizjognomje. Trzeba dużo rzeczy pamiętać, panie de Laval. Tu mam naprzykład jedną szufladę pełną okrętów wojennych. Inna zawiera znów wszystkie porty i warownie Francji. Jako przykład, chcę panu przytoczyć wypadek następujący. Pewnego razu mój minister wojny czytał mi sprawozdanie o obwarowaniu naszych wybrzeży, a ja udowodniłem mu, że zapomniał wymienić dwa działa, należące do jednej z baterij w Ostendzie. W innej szufladzie mam znów przechowane pułki armij francuskiej. Czy ta szuflada w porządku, marszałku Berthier?

Oficer z twarzą gładko wygoloną, który stał w oknie, gryząc paznokcie, odpowiedział z ukłonem na pytanie Napoleona:

— Najjaśniejszy panie, często możnaby sądzić, że znasz po nazwisku wszystkich żołnierzy twojej armji.

— Tych starych wiarusów, którzy byli ze mną w Egipcie, znam przeważnie po nazwisku — rzekł cesarz. — A potem, panie de Laval, jest znów inna szuflada dla kanałów, mostów, dróg, fabryk i innych rzeczy, dotyczących administracji państwa. Ustawodawstwo, sprawy finansowe, Włochy, kolonje, Holandja, to wszystko potrzebuje swojej osobnej szuflady. Dziś, panie de Laval, Francja wymaga od swego władcy więcej aniżeli aby umiał z godnością nosić płaszcz gronostajowy i aby odbywał wielkie polowania w lesie Fontainebleau.

Pomyślałem sobie w duchu, że cesarz ma słuszność. Ostatni z Bourborów, niedołączny Ludwik, ze swoim zamiłowaniem do zewnętrznego blasku i przepychu, nie byłby w samej rzeczy odpowiednim człowiekiem aby po tych wszystkich gwałtownych przewrotach, przwrócić we Francji ład i porządek. Do tego trzeba byłoby bystrzejszego ducha, większej inteligencji i silniejszej dłoni.

— Czy nie podziela pan mego zdania, panie de Laval? — zapytał cesarz, stanąwszy przy kominku. Poruszał głównie końcem swego zgrabnego bucika, nie troszcząc się o to, że dym i płomień czerniły delikatną sprzączkę złotą, zdobiącą jego obuwie.

Potwierdziłem to pytanie.

— Jest to bardzo rozsądnie z pańskiej strony, że pan tu przybył do mnie — rzekł cesarz po chwili. — Pan już dawno miał ten zamiar, wszak prawda? Pan już raz dawniej w gospodzie w Ashford ujął się za mną, gdy pewien młody Anglik wzniósł toast, w którym mi życzył zguby.

Ze zdumienia nie mogłem przemówić.

W jaki sposób mógł się cesarz dowiedzieć o tym wypadku? Kto mu mógł o tem opowiadać? Było mi to zupełnie niezrozumiałe.

— Dlaczego pan to uczyniłeś?

— Uczyniłem to, najjaśniejszy panie, sam sobie z tego nie zdając sprawy, instynktownie.

— Instynktownie? Cóż znowu? — odpowiedział cesarz pogardliwie, nie wiem, co ludzie chcą tem słowem wyrazić. Tylko zwierzęta i obłąkani kierują się instynktem, ale nie zdrowi ludzie. Musiałeś mieć swoje powody, panie de Laval, narażając się na niebezpieczeństwo w obronie mego honoru.

— Uczyniłem to, najjaśniejszy panie, z tego powodu, ponieważ pracujesz dla dobra i sławy mojej ojczyzny.

Podczas tej rozmowy, cesarz przechadzał się nieustannie po pokoju, z rękoma w tył założonemi. Niekiedy stawał i spoglądał na jednego z nas przez monokl, którego stale używał z powodu krótkiego wzroku. To znów próbował zażyć szczyptę tabaki z szylkretowej tabakierki, ale żadna nie osiągała celu; tabaka spadała mu zawsze na kamizelkę lub na podłogę.

Odpowiedź moja sprawiła mu widocznie przyjemność, albowiem ujął mnie silnie za ucho.

— Masz pan słuszność, młody przyjacielu — rzekł — pracuję dla dobra Francji, jak Fryderyk II. pracował dla dobra Prus. Chcę uczynić z Francji największy naród na całym świecie. Każdy europejski monarcha będzie musiał mieć swój pałac w Paryżu i będzie musiał iść w pochodzie przy koronacji mego następcy...

Ale po tych słowach nagle twarz wykrzywiła mi się kuczowo i przybrała wyraz bólesci,

— Mój Boże! Dla kogo pracuję właściwie? Kto będzie moim następcą? — szepnął i przeciągnął ręką po czole.

A potem zapytał mnie znów:

— Czy słyszał pan coś o tem, że się Anglicy obawiają mego rychłego najazdu na Anglię?

Zgodnie z prawdą, musiałbym powiedzieć, że wprost przeciwnie, Anglicy uważają taki najazd za wykluczony, choćby go nawet pragnęli.

— Armja lądowa angielska zazdrości sławy marynarce — odpowiedziałem wymijająco.

— Ależ armja angielska jest tak drobna.

— Prawie wszyscy Anglicy są ochotnikami, najjaśniejszy panie.

— Ba, najemnicy — zawołał i uczynił ręką ruch, jak gdyby chciał ich poprostu sprzątnąć z powierzchni ziemi. — Ze stu tysiącami ludzi wyląduję w Kent albo w Sussex. Za ośm dni jestem w Londynie. Przedewszystkiem każę uwięzić polityków, bankierów, kupców i redaktorów pism. Za ich skonfiskowany majątek pozakładam różne dobroczynne fundacje, będę popierał ubogich na koszt bogatych i w ten sposób zjednam sobie rychło stronników, Irlandję, Szkocję i nadam im konstytucję, która da tym krajom uprzywilejowane stanowisko wobec ich macierzy. Tak będę wszędzie siał niezgodę. W nagrodę za opuszczenie wyspy, będę żądał wydania ich floty i odstąpienia mi wszystkich kolonij. W ten sposób zapewnię Francji, conajmniej na jedno stulecie, hegemonję i przodownictwo na całym świecie.

W tym krótkim zarysie ujawnił się wyraźnie wszechstronny genjusz Napoleóna. Obok wielkich, daleko sięgających planów, które rozwijał, nie zaniedbywał także i najdrobniejszych szczegółów, leżących w granicach możliwości, które mogły mu być pomocne,

w wykonaniu jego zamiarów. Gdy mu naprzykład przyszło na myśl napaść zniecka na Wschód, to układał natychmiast w głowie, jakie okręty, wojska i zapasy wojenne są do tego potrzebne, aby ten zamiar w czyn obrócić i jakie porty wchodzi przytem w rachubę. Każdą kwestję opracowywał z największą dokładnością i z najdrobniejszymi szczegółami. Prawdziwie poetycka wyobraźnia łączyła się w nim z przenikliwym rozumem pierwszorzędnego przedsiębiorcy handlowego. To były przymioty, które mu utorowały drogę do zdobycia świata.

Teraz cesarz odwrócił się odemnie i znów się zabrał do swej pracy. Niezawodnie pragnął rozmyślnie, abym był świadkiem jego czynności, albowiem bez zamiaru wogóle nic nie czynił. Może spodziewał się, że ja, pisząc o nim do Anglii, potrafię wpływem moim skłonić innych emigrantów do powrotu do Francji. Godzinami załatwiał w mej obecności najrozmaitsze sprawy, to wielkiej wagi, to znów drobne i mało znaczące. Raz wydawał rozporządzenie co do kwater zimowych dla swego wojska, to znów omawiał z marszałkiem dworu, de Caulaincourt, koszta utrzymania swego dworu i możliwość zaoszczędzenia kilku karet.

— Chcę być oszczędny w moim domu i dawać dobry przykład w tym względzie — mówił. — Jako podporucznik mogłem żyć bardzo dobrze, mając zaledwie tysiąc dwieście franków rocznej pensji, a i dzisiaj nie byłoby to dla mnie żadną ofiarą wrócić do ówczesnych skromnych stosunków. Przesadny zbytek na moim dworze musi ustać. Podług pańskiego sprawozdania pije się codziennie na moim dworze sto pięćdziesiąt pięć filiżanek kawy. Gdy przyjmujemy, że funt cukru kosztuje cztery franki, a funt kawy pięć franków, to wypada na filiżankę kawy dwadzieścia sous. Otóż sądzę, że lepiej

jest wyznaczyć każdemu pewną kwotę na kawę. Takie rachunki stajenne wydają mi się za wysokie. Przy dzisiejszych cenach paszy, musi w stajni, mającej dwieście koni, wystarczyć siedm do ośmiu franków na konia. Nie pozwolę na rozrzutność w Tuilerjach.

Tak w przeciągu krótkiego czasu przechodził od kwestji, gdzie szło o miljardy, do spraw drobnych, gdzie mógł najwyżej zaoszczędzić kilka sous na administracji swego cesarstwa, przeskakiwał do gospodarstwa stajennego. Od czasu do czasu rzucał na mnie przelotne spojrzenie, jakgdyby się chciał przekonać, jakie wrażenie wywiera na mnie jego praca. Było widoczne, że przywiązuje rzeczywiście znaczenie do mego sądu, co mi się wtedy wydawało wprost niezrozumiałe. Dziś jednak, gdy wiem, ilu młodych szlachciców mój przykład nakłonił do powrotu do ojczyzny, dziś wiem, o ile wzrok jego sięgał dalej aniżeli mój.

— Teraz widział mnie pan przy pracy, panie de Laval — rzekł cesarz, obracając się nagle ku mnie — chhe pan tedy wstąpić do mnie do służby?

— Z radością, najjaśniejszy panie.

— Umieć być surowy, gdy zachodzi tego potrzeba — mówił dalej cesarz z uśmiechem. — Wszak był pan świadkiem sceny z admirałem Bruix? Żądam w wojsku żelaznej karności, nawet od najwyższych moich oficerów, albowiem wszyscy mamy bardzo poważne obowiązki. Ale bądź pan spokojny. Gniew mój nigdy nie dochodzi wyżej, aniżeli dotąd — tu sięgnął ręką do gardła — mózgu nigdy mi nie zalewa, nie dopuszczam do tego. Doktor Corvisart, mój lekarz przyboczny, może panu powiedzieć, że mam puls najpowolniejszy ze wszystkich jego pacjentów.

— I że jesz prędzej, najjaśniejszy panie, aniżeli którykolwiek z twoich poddanych — wtrącił mężczyzna



o twarzy szerokiej i dobronaszej, przerywając rozmowę, którą wiódł półgłosem z marszałkiem Berthier.

— Ach, tego mi pan nigdy nie daruje. Gdy jestem chory, mówię zwykle memu doktorowi, że wolę umrzeć z choroby, aniżeli z jego lekarstw. Z tego powodu ma do mnie urazę. Zresztą to wina moich zajęć, jeżeli jem szybko. Nie dają mi nigdy czasu do tego. A prawda, przypominam sobie... Constant! Czy już jest pora obiadowa?

— Już od czterech godzin minęła, najjaśniejszy panie.

— Przynies mi natychmiast jedzenie.

— Zaraz, najjaśniejszy panie. Ale pan Isabey czeka na dworze ze swojemi lalkami.

— A, dobrze, musimy je obejrzeć. Niech wejdzie.

Do pokoju wszedł mężczyzna, po którym można było poznać, że przybył właśnie z podróży. Pod pachą niósł duży kosz pleciony.

— Dwa dni już minęły, odkąd posłałem kurjera po pana, panie Isabey — rzekł cesarz.

— Przybył dopiero wczoraj wieczór do Paryża, najjaśniejszy panie, a ja natychmiast wybrałem się w drogę.

— Czy przywiózł pan z sobą modele?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Rozłóż je pan tu, na tym stole.

Gdy ów człowiek otworzył koszyk, ujrzałem w nim mnóstwo lalek, wysokich na jedną stopę. Prawie wszystkie były wspaniale ubrane w jedwabie i aksamity, w gronostaje i koronki. Isabey poustawiał te marjonetki, jedną po drugiej, przed cesarzem na stole; były to przeważnie modele mundurów najwyższych dygnitarzy państwa. Napoleon przypatrywał się z uwaga

i zajęciem wszystkim, nawet najdrobniejszym szczegółom.

— Co to jest? — zapytał, wyjmując małą figurkę kobiecą, która miała na sobie kostjum myśliwski złotem haftowany i toczek z białymi piórami.

— To kostjum myśliwski cesarzowej, najjaśniejszy panie.

— Stanik mógłby być nieco dłuższy — rzekł Napoleon, który miał swoje własne zapatrywania co do mody kobiecej. — Te przeklęte mody to jedyna rzecz w mojem państwie, która usuwa się z pod mojego wpływu. Mój krawiec Duchesne skraca mi zawsze poły od surduta o trzy cale i nie chce mi ustąpić pomimo mego gniewu. Sądzę, że cała moja armja i flota nie potrafiłyby złamać jego uporu.

Wziął w rękę drugą lalkę, bardzo wytwornie ubraną, w zielonym mundurze z galonami.

— Kto to ma być?

— Wielki łowczy, najjaśniejszy panie.

— A zatem to pan jesteś, marszałku Berthier.

Jak się panu podoba pański nowy mundur?... A tamta znowu figurka czerwono ubrana?

— To wielki kanclerz.

— A fioletowa?

— To wielki szambelan.

— Napoleon bawił się lalkami, jak dziecko nową zabawką, tworzył z nich grupy, jak gdyby chciał widzieć, jak jego dostojnicy wyglądają w swoich mundurach, gdy z sobą rozmawiają. Potem rzucił je wszystkie napowrót do kosza.

— Bardzo dobrze, Isabey, jestem z pana zadowolony — rzekł do niego. — Przedłóż pan swoje rysunki krawcom nadwornym, aby sporządzili kosztorys. Lenormandowi możesz pan oświadczyć, że go każę

wtrącić do więzienia, jeżeli osmieli przystać jeszcze raz taki wysoki rachunek, jak niedawno dla cesarzowej. Pan także, panie de Laval, nie zapłaciłby kwoty dwudziestu pięciu tysięcy franków za jedną toaletę, chociażby nawet była przeznaczona dla panny Eugenji de Choiseul.

Ze zdumieniem i niemal lękiem spoglądała mna cesarza. Kto mógł mu opowiadać o sprawach mego serca i co mogły go one obchodzić wśród tej burzy wojennej i tego rozpaczliwego zmagania się z sobą narodów całego świata? Ale na ustach Napoleona igrał znów ów uśmiech filuterny, jaki się pojawiał na jego twarzy w przystępie dobrego humoru, ten sam uśmiech, który widziałem u niego przed chwilą, gdy mówił o mylnem odcyfrowaniu jego własnoręcznie pisanych listów. Położył mi na ramieniu swoją małą, twardą rękę i spoglądał na mnie zyczliwie. Jak zawsze, gdy był wesoły, oczy jego wydawały się jasno niebieskie, te same oczy, które przybierały kolor stalowy w chwilach, gdy się unosił gniewem, a były znów dziwnie, ciemne, gdy go zaprzątały myśli poważne.

— Dziwił się pan poprzednio, panie de Laval, gdy wspominałem o pańskim pojedynku z owym młodym Anglikiem, a teraz znów widzę, że moje wiadomości o pewnej młodej damie wprawiają pana w jeszcze większe zdumienie. Musi pan mieć bardzo złe wyobrażenie o moich angielskich agentach, jeżeli pan może przypuszczać, że ja nie jestem o takich ważnych sprawach należycie poinformowany.

— Nie rozumiem tego, najjaśniejszy panie, że donoszą ci o rzeczach tak małej wagi i że zatrzymujesz je w swojej pamięci choćby chwilę.

— Jesteś pan skromny, młodzieńcze i spodziewam się, że nie stracisz tej miłej zalety na moim dworze.

A więc sądzisz pan rzeczywiście, że pańskie sprawy prywatne nie mają dla mnie żadnego znaczenia?

— Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego najjaśniejszy pan może się nimi zajmować.

— Powiedz mi pan, kto jest pańskim dziadem stryjecznym?

— Kardynał de Laval-Montmorency.

— A gdzie przebywa?

— W Niemczech.

— Zamiast zasiadać na stołcu biskupim w Paryżu, gdziebym go chciał widzieć. A kto jest pańskim bratem ciotecznym?

— Księżę Rohan.

— Gdzie mieszka?

— W Londynie.

— Tak, w Londynie, a nie w Tuileryjach, gdzie mógłby przecież mieć wszystko, czego by tylko zapragnął. Czy ja, gdybym został z tronu rzucony i wygnany z kraju, jak Burboni, miałbym także takich wiernych zwolenników, jak oni? Czy towarzyszyliby mi na wygnaniu i wytrwaliby przy mnie aż do mego powrotu na tron Francji? Chodź pan tu, marszałku Berthier!

I pociągnął za ucho swego ulubieńca. Była to u niego największa oznaka czułości.

— Czy mógłbym liczyć na ciebie, hultaju?

— Nie wiem, o czem mowa, najjaśniejszy panie.

Rozmowa moja z cesarzem była dotychczas tak cicha, że obecni nie mogli jej słyszeć; teraz jednak słuchali z uwagą, co Berthier odpowie.

— Gdyby mnie z Francji wypędzono, czy pan towarzyszyłby mi na wygnaniu?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Do kroćset piorunów, jesteś pan przynajmniej szczery.

— Nie mógłbym iść z tobą, najjaśniejszy panie.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie żyłbym już wtedy.

Napoleon zaśmiał się głośno.

— I powiadają niektórzy, że Berthier nie ma dowcipu. Sądzę jednak, że mogę na pana liczyć z pewnością, panie marszałku, albowiem lubię cię i popieram ze względów czysto osobistych; dla innego władcy jednak nie miałbyś wielkiego znaczenia. O panu, panie Talleyrand, nie mógłbym tego samego powiedzieć. Pan by tak samo prędko przeszedł odemnie do innego władcy, jak poprzednio przeszedłeś od innego do mnie. Pan jesteś genjuszem pod tym względem i umiesz wybornie dostosowywać się do wszystkich rządów i do wszystkich systemów.

Cesarz lubiał bardzo także małe sceny, dygnitarze jego jednak, państwo i dwórcy, czuli się przy tem nieswojsko; byli zakłopotani i niespokojni, albowiem nikt nie mógł wiedzieć, czy w następnej chwili nie będzie przedmiotem złośliwych uwag ze strony cesarza i czy nie będzie musiał odpowiadać na jakieś podchwytliwe pytanie, nie mając nawet czasu dobrze się zastanowić nad swojemi słowami. Tym razem jednak ciekawość, co Talleyrand odpowie, była silniejsza od wszystkich innych uczuć. Albowiem w słowach Napoleona mieciła się prawda i sławnemu dyplomacie nie było łatwo uwolnić się od tego zarzutu.

Talleyrand stał jednak spokojnie, z głową nieco naprzód pochyloną i opierał się na swej lasce hebanowej. Na twarzy jego widniał uśmiech wesóły, jak gdyby mu właśnie cesarz powiedział najprzyjemniejszy komplement. Ten rys charakteru przebiegłego dyplomaty

zasługiwał na uznanie, że zachowywał się wobec Napoleona zawsze, jak wobec sobie równego i że nie poniżał się nigdy do tego, aby przed nim pełzać i aby mu pochlebiać.

— Sądziś, najjaśniejszy panie, że odstąpiłbym od ciebie, gdyby mi twoi wrogowie więcej ofiarowali od ciebie?

— Jestem o tem przekonany.

— Nie mogę w istocie ręczyć za siebie, póki mi nie uczyniono propozycji. Musianoby mi rzeczywiście ofiarować niezmiernie wysokie korzyści, albowiem oprócz mego wspaniałego pałacu przy ulicy Saint Florentin i oprócz rocznej renty w kwocie dwustu tysięcy franków, którą otrzymuję z twej łaski, najjaśniejszy panie, zajmuję stanowisko najwyższego dygnitarza państwowego w całej Europie. Musianoby mi chyba ofiarować tron królewski, aby mnie wnieść jeszcze wyżej.

Prawda, że panu niczego nie brakuje — odpowiedział Napoleon, spoglądając nań znacząco. — Z tego więc powodu mogę polegać na panu. A teraz chciałbym jeszcze jedną sprawę omówić. Musi pan albo ożenić się z panią Grand, albo zerwać z nią ten, stosunek; nie chcę dłużej znosić skandałów na moim dworze.

Było mi bardzo przykro, że cesarz omawiał w mej obecności publicznie tak drażliwe kwestje, ale ten niezwykły człowiek nie troszczył się o to, co ludzie przeciętni nazywają delikatnością i dobrym tonem. Podług jego mniemania były to poglądy wymyślone na to, aby geniuszowi podcinać skrzydła. Ten trzydziestosześcioletni dyktator sądził, że ma prawo zajmować się wszystkimi sprawami z życia prywatnego swoich poddanych, począwszy od wyboru małżonki aż do zerwania z kochanką i że może wydawać w tych sprawach stanowcze

brzezienia. Na twarzy Talleyranda znów się pojawił ów uśmiech zagadkowy.

— Najjaśniejszy panie, mam nieprzezwyciężony, wstręt do małżeństwa. Być może dlatego, że nie zapomniałem jeszcze o mojem dawnem powołaniu.

Napoleon zaśmiał się głośno.

— Prawda — rzekł — czasem zapominam, że mam przed sobą dawnego biskupa z Autun. Być jednak, że papież, w uwzględnieniu drobnych przysług, jakie mu wyświadczyłem w czasie koronacji, uczyni to dla mnie i udzieli w tym wypadku swego zezwolenia. Pani Grand jest zresztą bardzo rozumną kobietą; umie dobrze przysłuchiwać się.

Talleyrand wzruszył ramionami.

— Rozsądek kobiety nie jest zawsze korzyścią dla męża, najjaśniejszy panie — odpowiedział. — Rozumna kobieta kompromituje męża, głupia tylko siebie.

— Najrozumniejsza kobieta — rzekł Napoleon — jest ta, która umie ukrywać swój rozum. Kobiety były we Francji zawsze niebezpieczeństwem, ponieważ są mądrzejsze od mężczyzn. Nie chcą rozumieć, że my potrzebujemy ich serca, a nie ich głowy. Każdego władcę, którym rządziły, doprowadziły do upadku. Pomyśl pan tylko o Henryku IV i Ludwiku XIV. Wszystkie kobiety są uczuciowe i przesiąknięte idealizmem, żyją jak gdyby we śnie, są przesadne, energiczne i płoną żądzą czynów, ale brak im logiki i daru przewidywania. Weź pan oto jako przykład tę przekłętą panią de Staël. Spójrz pan na salony w dzielnicy Saint-Germain; to nieustanne babskie gadanie, te ich plotki sprawiają mi więcej kłopotów i przykrości, aniżeli cała angielska flota. Dlaczego nie zostają przy swoim szyciu i przy swoich dzieciach? No i cóż, panie de Laval, czy nie oburzają pana moje poglądy?

Na to pytanie odpowiedź była bardzo trudna, wołałem przeto milczeć.

— Jesteś pan jeszcze zanadto młody, aby mieć dość doświadczenia — mówił dalej Napoleon. — Wtedy, gdy głupi Paryżanie potrzęsali ze zdziwieniem głowami z powodu mezaljansu wdowy po sławnym generale Beauharnais z nieznanym Bonapartem, miałem jeszcze takie same poglądy, jak pan dzisiaj, panie de Laval. Co to był za sen cudowny! W czasie podróży mej z Medjolanu do Mantui pisałem w każdej z dziewięciu gospód, leżących przy drodze, list do mej żony. Dziewięć listów w jednym dniu!... Cały romans!... Ale potem złudzenia pierzchają i uczymy się widzieć rzeczy takimi, jakimi są w istocie.

Twarz cesarza zastąpiła chmura przy tem wspomnieniu przeszłości, która zapewne dała mu niegdyś więcej radości, aniżeli później najświetniejsze zwycięstwa. Jaki to musiał być wspaniały młodzieniec, zanim się nauczył patrzeć na świat trzeźwo! Czyż ma jakąś wartość życie bez ideałów i bez romantyki!

Wkrótce jednak Napoleon otrząsnął się ze wzruszenia, które go chwilowo opanowało i począł znów zajmować się moimi sprawami sercowymi.

— Panna Eugenia jest synowicą księcia de Choiseul, wszak prawda?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Czy pan z nią zaręczony?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Potrzęsnał głową z niecierpliwością.

— Jeżeli pan chcesz na moim dworze dojść do czego, panie de Laval, musisz mi pan pozostawić kierunek spraw twoich. Nie mogę zezwolić na małżeństwo między dwojgiem emigrantów; byłoby to przeciw przymierzu przeciw mej osobie.



— Eugenia podziela w zupełności moje polityczne przekonania, najjaśniejszy panie.

— W tym wieku niema się jeszcze politycznych przekonań. Ale w waszych żyłach płynie krew emigrantów i ta, prędzej lub później, odezwie się kiedyś. Ja sam zajmę się pańskim małżeństwem, panie de Laval. Życzę sobie, aby pan się udał do Pont-de-Brigues, abym pana przedstawił cesarzowej. — Cóż tani znów, Constant?

— Jakaś pani jest w przedpokoju i prosi o posłuchanie. Czy mam jej powiedzieć, aby przyszła później?

— Jakaś pani? — zawołał cesarz z uśmiechem. — Kobiety to rzadki gość w naszym obozie. Kto ona jest i częgo pragnie odemnie?

— Nazywa się Sybilla Bernac.

— Co? — zawołał Napoleon. — Córka starego Bernaca z Grobois? Wszak to brat pańskiej matki, panie de Laval, czy prawda?

Musiąłem się zarumienić ze wstydu, albowiem cesarz poznał po mnie natychmiast moje zakłopotanie.

— No tak, rzemiosło jego nie jest bardzo szlachetne, ale jest to człowiek dla mnie bardzo potrzebny. Jest on obecnie posiadaczem zamku Grobois, który wedle prawa spadkowego miałby się panu [prawnie należeć. Czy prawda?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Spodziewam się, że pan nie w tym celu wstąpił do mnie w służbę, aby odzyskać napowrót swoją posiadłość?

— Nie, najjaśniejszy panie. Chcę sam sobie wszystko zawdzięczać.

— Bardzo dobrze — odpowiedział cesarz. — Jest to istotnie większa zasługa własną pracą dorobić się majątku. Zresztą nie mógłbym nawet zwrócić panu pań-

szych posiadłości. Gdybym bowiem zaczął przywracać dawne prawa, nie byłoby temu końca. Cały porządek prawny byłby wstrząśnięty. Nadto wszystkie skonfiskowane dobra szlacheckie są w rękach moich stronników. Pański wujek, jak wszyscy inni, zachowa swoją posiadłość tak długo, dopóki będzie mi wiernie oddany... Ale czego może ta młoda dama odemnie pragnąć? Wprowadź ją tu, Constant.

Wkrótce potem weszła do pokoju. Twarz jej była biała i gdyby martwa, ale oczy jej paliły się gorączkowo i znać w nich było wyraz jakiejś dzikiej energii. Cała jej postawa była pełna dostojności iście księżęcej.

— Czego pani sobie życzy? Co panią sprowadza do mnie? — zapytał cesarz tonem ostrym, którego używał zawsze, przemawiając do kobiet, nawet wtedy, gdy się starał o ich względy.

Sibilla obejrzała się dokoła, a moja obecność zdawała się jej dodawać odwagi.

Spojrzała cesarzowi śmiało w twarz.

— Przychodzę, najjaśniejszy panie, błagać o łaskę.

— Ojciec pani wyświadczył mi wielkie przysługi. Czego pani zatem życzy sobie?

— Nie przybywam tu w imieniu mego ojca. Lucjan Lesage jest w więzieniu, oskarżony o zdradę stanu. Zaklinam cię, najjaśniejszy panie, błagam cię, daruj mu życie. To poeta, marzyciel, który nie żyje w świecie rzeczywistym, to słabe i chwiejne narzędzie w ręku niegodziwych, którzy go do tego nakłonili...

— Marzyciel! — wykrzyknął cesarz gwałtownie. — Tacy ludzie są właśnie najmniejbezpieczniejsi.

Wziął ze stołu plik aktów i przejrzał je szybko.

— Przypuszczam, moja pani, że Lesage ma to szczęście być pani kochankiem?

Ciemny rumieniec oblał blade oblicze Sybilli i spuściła oczy przed szyderczym spojrzeniem Napoleona.

— Mam tu protokół jego przesłuchania. Ten młody człowiek, mówiąc otwarcie, nie robi dobrego wrażenia. O ile mogę osądzić jego charakter, nie wart on miłości pani.

— Daruj mu życie, najjaśniejszy panie, błagam cię o to.

— Moja panno, żądasz pani rzeczy niemożliwych. Przedtem spiskowali przeciw mej osobie Burbonowie i jakobini. Moja cierpliwość i pobłażliwość rozzuchwalała ich coraz bardziej i zachęcała do dalszych zbrodni. Od czasu stracenia Cadoudala i księcia de Enghien Burbonowie siedzą cicho. Chcę przeto i tym drugim dać podobną nauczkę; stracenie Łucjana Lesage będzie odstrasżającym przykładem dla jakobinów.

Będzie to dla mnie zawsze zagadką trudną do wytłumaczenia, że taki nędzny tchórz, jak Łucjan, mógł obudzić tak namiętną miłość tej szlachetnej i odważnej dziewczyny. Może było to następstwo owego dziwnego prawa w przyrodzie, według którego dwa sprzeczne charaktery wzajemnie się przyciągają.

Po surowej odpowiedzi cesarza, Sybilla pobrała jeszcze bardziej; oczy jej napełniły się łzami, które spływając po białych policzkach, błyszczały gdyby krople rosy na kielichu lilji.

— Na miłość Boską, najjaśniejszy panie, zaklinam cię na miłość ku twej matce, daruj mu życie — zawołała, padając na kolana. — Przyjmuję na siebie odpowiedzialność, że nie popełni nic złego.

— Nie mogę tego zrobić — wołał cesarz z gniewem, tupiąc nogami i począł z niecierpliwością przechadzać się dużemi krokami po pokoju.

— Gdy raz coś powiedziałem, tego nigdy nie

zmienie. Nie mogę na to pozwolić, aby kobiety wtrącały się do moich planów. Jakobini są niebezpieczni i muszę tym razem dać przykład odstraszący; inaczej przedmieście Saint-Antoine może znów wpaść w ich ręce.

Nieubłagana twarz Napoleona i jego głos stanowczy wskazywały na to, że wszelkie prośby pozostaną daremne. Mimo to Sybilla nie przestała dalej błagać, jak to tylko może czynić kobieta, która walczy o życie ukochanego.

— To człowiek nieszkodliwy, najjaśniejszy panie.

— Śmierć jego odstraszy innych.

— Daruj mu życie, najjaśniejszy panie. Ręczę, że będzie ci wiernie oddany.

— Żądasz pani rzeczy niemożliwych.

— Constant i ja pomogliśmy podnieść się Sybilli.

Napoleon zaś rzekł:

— Szkoda dłużej o tem mówić. Panie de Laval, wyprowadź pan swoją kuzynkę z pokoju.

Sybilla jednak zwróciła się jeszcze raz do cesarza. Widocznie nie utraciła jeszcze wszelkiej nadziei.

— Najjaśniejszy panie — wołała — powiadasz, że chcesz dać przykład odstraszący. Oto jest Toussac...

— Ba, gdybym miał Toussaca w rękach — mrknął Napoleon.

— On jest rzeczywiście człowiekiem niebezpiecznym. To on i mój ojciec uwiedli Łucjana i nakłonili go do zbrodni. Należy karać winnego, a nie niewinnego.

— Obaj są winni. A zresztą mamy w rękach tylko jednego.

— A gdybym pomogła odnaleźć Toussaca, najjaśniejszy panie?

Napoleon namyślał się chwilę, potem rzekł:

— Jeżeli pani tego dokazesz, wtedy Łucjan Lesage będzie wolny.

— Ale na to potrzeba mi czasu.

— Ile czasu pani żąda?

— Przynajmniej jednego tygodnia.

— Zgoda. Stracenie Łucjana będzie na tydzień odroczone. Jeżeli Toussac będzie do tego czasu w naszych rękach, ułaskawię Lesage'a. W przeciwnym razie zginie ósmego dnia. A teraz dość tego. Panie de Laval, wyprowadź pan swoją kuzynkę, mam ważniejszą sprawę do załatwienia. Bądź pan gotów w najbliższych dniach przybyć wieczorem do Pont-de-Briques, chcę pana przedstawić cesarzowej.

### XIII.

#### MARZENIA NAPOLEONA.

Wyprowadziłem Sybillę z pokoju. Zdziwiłem się widząc na dworze przed namiotem młodego oficera huzarów, który mnie odprowadził do obozu.

— No i cóż, moja pani? Czy udało się pani wyjednać spełnienie swej prośby? — zapytał żywo, podbiegając do nas.

Sybilla zaprzeczyła ruchem głowy.

— Oczekiwałem tego — odpowiedział oficer — albowiem cesarz jest bardzo surowy. Jest to dowód wielkiej odwagi ze strony pani, żeś się ośmieliła przybyć do niego z tą prośbą. Co do mnie, wolałbym na kulawej szkapie uderzyć na czworobok piechoty, aniżeli żądać czegoś od niego. Boli mnie jednak bardzo niepowodzenie pani.

Dziecinne niebieskie oczy podporucznika napętniły się łzami, a końce wąsów jego, które zawsze tak za-

wadjacko stęczyły do góry, opadły na dół. Był to widok tak komiczny, że nie byłbym się mógł powstrzymać od śmiechu, gdyby to nie było w tak smutnej okoliczności.

— Spotkałam przypadkiem pana Gérarda i był tak łaskaw towarzyszyć mi w obozie — rzekła Sybilla.

— Pan podporucznik współczuje z mojem cierpieniem.

— I ja także współczuję serdecznie. — zawołałem.

— Jesteś aniołem, kuzynko; godzien zazdrości ten mężczyzna, którego uszczęśliwiasz twoją miłością. Spodziewam się, że na to szczęście zasługuje.

Sybilla przybrała natychmiast wyraz dumny i łodowaty, albowiem nie znosiła najmniejszej wątpliwości co do wartości moralnej swego narzeczonego.

— Znam go lepiej, niż ty, Ludwiku i lepiej niż cesarz. Człowiek ten ma wyobraźnię poety a duszę dziecięcą; w szlachetności swej nie przeczuwał zdrady i intryg swoich towarzyszków, których padł ofiarą. Dla Toussaca nie miałabym żadnej litości; ten człowiek ma wiele morderstw na sumieniu i we Francji dopiero wtedy zapanuje spokój, gdy on spocznie za kratkami.

Twarz jej zapalała gniewem i nienawiścią.

— Kuzynie Ludwiku — zapytała po chwili — czy pomożesz mi w poszukiwaniu tego zbrodniarza?

Oficer targnął wąsy i spojrzał na mnie z wyrazem źle ukrywanej zazdrości.

— Ja także proszę o pozwolenie udzielenia pani mej pomocy — zawołał głosem prawie błagalnym.

— Będę bezwątpienia potrzebowała was ohydwość — odpowiedziała Sybilla. — Dwóch ludzi energicznych do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia to nie za wiele. Tymczasem proszę mnie odprowadzić do granic obozu, potem zostawcie mnie samą.

Ten krótki, rozkazujący sposób mówienia w ustach

pięknej dziewczyny czynił bardzo miłe wrażenie. Usłuchaliśmy jej chętnie i dosiedliśmy naszych koni; wkrótce minęliśmy okopy obozu.

— Teraz pojedę już dalej sama — rzekła. — Mogę zatem liczyć na panów obydwóch?

— Naturalnie — odpowiedziałem.

— Aż do śmierci — zawołał Gérard z zapalem.

— Teraz mam dwóch walecznych ludzi do pomocy oto wszystko czego potrzebuję — rzekła z uśmiechem. Puściwszy koniowi cugle, popędziła galopem w kierunku ku zamkowi Grobois.

Pogrążyłem się w zamyśleniu. Naprózno łamałem sobie głowę nad tem, w jaki sposób spodziewała się wykryć ślad Toussaca. Czy miał rzeczywiście instynkt kochającej kobiety zwyciężyć tam, gdzie zawiodła zręczna taktyka i sprawność panów Fouché i Savary?...

Wkońcu obróciłem konia. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem młodego huzara, który wciąż jeszcze nieruchomo spoglądał za piękną amazonką, aż znikła w odaleniu.

— Słowo daję! To byłaby żona dla ciebie, Stefanie! — powtarzał kilkakrotnie sam do siebie. — Co za spojrzenie! Jaki uśmiech! A jak siedzi na koniu! I nie boi się nawet cesarza. O Stefanie, ta kobieta jest godna być twoją małżonką.

Ciągle mruczał coś do siebie, aż gdy już postać Sybilli znikła za wzgórzami, przypomniał sobie o mej obecności i zapytał:

— Pan jesteś bratem ciotecznym panny Sybilli Bernac?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Jesteśmy sprzymierzeńcami, mamy obydwaj wyświadczyć jej pewną przysługę. Nie wiem wprawdzie

dokładnie, o co chodzi, ale jestem gotów uczynić dla niej wszystko, czego zażąda.

— Mamy ująć Toussaca.

— Wybornie.

— Aby ocalić życie jej narzeczonemu, panu Lucjanowi Lessage.

— A!

Gérard zmarszczył czoło. Zdawało się, że toczy się w nim walka wewnętrzna, ale jego dobra, szlachetna natura wzięła górę.

— Do kroćset piorunów! I to zrobię dla niej, jeżeli jej tego do szczęścia potrzeba — zawołał i uściśnął mi silnie rękę. — Tam naprzeciwko, gdzie stoją te konie osiodłane i te dwa szeregi żołnierzy z lancami, tam znajduje się kwatera huzarów Bércheny. Spytaj pan tam kogobądź o podporucznika Stefana Gérarda, panie de Laval, a jego ostra szabelka jest zawsze do pańskiego rozporządzenia. Im prędzej, tem lepiej! A teraz do widzenia! Żegnaj pana!

Zawrócił zręcznie konia i popędził galopem, obraz młodości pełnej uroku i siły, w każdej linji swego gibkiego ciała, począwszy od czerwonego pióropusza na kasku i powiewającego z wiatrem dolmana, aż do błyszczących ostróg przy butach.

Cztery dni nie miałem żadnych wiadomości o Sybilli i jej ojcu, nie słyszałem także nic o cesarzu.

Udałem się tymczasem do Boulogne i wynająłem tam w domu piekarza, w pobliżu kościoła św. Augustyna, skromny pokoik, jak na to pozwalały wówczas moje niewielkie fundusze.

Starość lubi oglądać miejsca, z którymi się wiązą najpiękniejsze wspomnienia młodości, to też zeszłego roku odwiedziłem znów moje miłe mieszkanie w Boulogne. Stary dom stał zupełnie niezmienny, tę samą



obrazy, co wówczas, wisiały na ścianach mego pokoju, a także posążek sławnego marynarza, Jana Barta, który zwykle stał na małym stoliku bocznym, powitał mnie jak starego, dobrego znajomego.

Wszedłem do małej nizy przy oknie i obejrzałem się po pokoju dokoła. Wszystko, na czem niegdyś spoczywały codziennie oczy dwudziestoletniego młodzieńca, leżało przedemną, niezmienione w najdrobniejszych szczegółach, a także moje własne uczucia zdawały się być te same, co wówczas.

Ale nagle zobaczyłem w małym zwierciadle okrągłym wiszącym naprzeciwko, twarz starą i znużoną życiem, oczy przygasłe, siwą brodę. Niestety, jaka zgrzybiałość!

A cała okolica piaszczysta przed oknami, przecięta łańcuchami pagórków, na której niegdyś obozowała wielka, okryta sławą, armja Napoleona, rozciągała się przedemną pusta i samotna.

Znikły bez śladu, jak mgła pod ciepłym promieni słonecznych, te świetne szeregi, złotem błyszczące, te tłumy oficerów, wesołe fanfary, galop koni, bicie w bębny. Nicość próżności ludzkiej!

A tymczasem moje ubogie mieszkanko w skromnym domu mieszczańskim pozostało niezmienione i oparło się zwycięsko burzy czasów. Bóg karze pychę i zuchwałość a ochrania maluczkich.

Gdy się wprowadziłem do mego nowego mieszkania, posłałem do Grobois po tych trochę rzeczy, które przywoziłem z sobą z Anglii i które zostawiłem w zamku. Najważniejszem mojem staraniem teraz było wyzyskać kredyt, jaki zawdzięczałem życzliwemu przyjęciu cesarza, aby odnowić i uzupełnić moją garderobę. Albowiem chociaż Napoleon sam, co do swej osoby, był niezwykle skromny, uważał jednak na to tak samo,

jak mitujący zbytek Burbonowie, aby na dworze jego panował blask i przepych. Wytworne ubranie pomogło niejednemu pozyskać i zachować zyczliwość cesarza, który sądził, że nowy dwór i młode cesarstwo będą silniej utrwalone wspaniałą okazałością i zaimponują więcej tłumom i władcom zagranicznym.

Piątego dnia rano otrzymałem od Duroca zawiadomienie, abym przybył po południu do głównej kwatery i czekał tam na cesarza. W jednej z cesarskich karet będzie dla mnie miejsce przeznaczone i mam się udać wraz z całym dworem do Pont-de-Briques, gdyż jestem zaproszony na przyjęcie u cesarzowej. Zaraz po mojem przybyciu wprowadził mnie Constant przez przedpokój do tylnego pokoju, gdzie cesarz stał obrócony plecami do kominka i bawił się, uderzając piętą w kratę, za którą paliły się duże polana drzewa.

Talleyrand i Berthier pełnili owego dnia służbę i oczekiwali rozkazu dziennego, a sekretarz de Méneval siedział przy swoim biurku i zajęty był pisaniem.

— A, pan de Laval — odezwał się cesarz, skłaniając mi uprzejmie głowę. — Czy ma pan jakie wiadomości od swej pięknej kuzynki?

— Nie jeszcze, najjaśniejszy panie.

— Obawiam się, że usiłowania jej będą bezskuteczne, a pragnąłbym bardzo, aby jej się powiodło to, do czego dąży. Ów nędzny marzyciel i poeta jest w istocie zupełnie nieszkodliwy, gdy tymczasem ten Toussac... Ale i stracenie Lesage'a podziela skutecznie jako przykład odstraszący dla innych.

Zaczynał zmrok zapadać. Constant zjawił się i chciał zapalać świece, ale Napoleon kazał mu wyjść z pokoju.

— Lubię szarą godzinę — rzekł. — Pan także, panie de Laval, po długim swoim pobycie w Anglii,

musisz się czuć najlepiej w takim półmroku. Zresztą zdaje się, że Anglikom mgła ta rzuciła się na mózg, o ile można sądzić podług bzdurstw, jakie na mnie ich dzienniki wypisują.

I naraz gwałtownym ruchem, który zwykle towarzyszył u niego nagłym wybuchom gniewu, porwał angielską gazetę, rzucił ją na ziemię, zdeptał nogami i wtrącił w ogień.

— Czemże jest taki nędzny pismak gazetarski — krzyczał głosem ostrym, chrapliwym, który już raz słyszałem w czasie owej sceny z admirałem Bruix. — Czemże on jest właściwie? Osobistość jakaś w ubraniu podartem i poplamionem, która siedzi gdzieś w zatechłej izbie, w głębi podwórza i uważa się przytem za jedną z wielkich potęg Europy. Mam już dość tej wolności prasy. Niektórzy wprawdzie — między nimi i pan, panie Talleyrand — pragną gorąco, aby ją wprowadzono także w Paryżu; ja jednak uważam wszystkie dzienniki za zbyteczne, z wyjątkiem „Monitora“, który ogłasza rozporządzenia rządowe.

— Ja jestem tego zdania, najjaśniejszy panie — rzekł minister — że lepsi są otwarci przeciwnicy, aniżeli tajni wrogowie i że jest rzeczą mniej szkodliwą wylewać atrament, aniżeli krew. Cóż ci zależy, najjaśniejszy panie, na bazgraninie twoich wrogów, dopóki rozporządzasz armją złożoną z pięciuset tysięcy ludzi?

— Bredzisz pan, wykrzyknął cesarz zniecierpliwiony. — Słuchając pana, możnaby sądzić, że odziedziczyłem koronę cesarską po moim ojcu. Ale i to pominawszy, uważam potęgę prasy w ogólności za nieznosną. Burbonowie pozwolili dziennikom krytykować swoje rządy i oto do czego doprowadzili. Ludwik XVI. i Marja Antonina zginęli pod gilotyną, arystokracja zdziesiątkowana, zniszczona, wygnana z kraju, setki ty

sięcy osób wymordowanych, oto wyniki ich systemu. Gdyby byli kazali swojej gwardji szwajcarskiej śmiało uderzyć, tak ja rozkazałem moim grenadierom dnia 18. brumaire, coby się było zostało z tego świetnego zgromadzenia narodowego? Cios bagnetem w serce Mirabeau'a byłby wtedy całą rzecz jak najpomyślniej zakończył. Byłoby się później uniknęło tego strasznego rozlewu krwi.

Usiadł na fotelu i wyciągnął nogi do ognia,

W rogu kominka widać było mały skrawek spo-pielony, było to wszystko, co zostało z dziennika londyńskiego.

Czerwony blask ognia oświetlał piękną i bladą, uduchowioną twarz Napoleona. W tej chwili można go było uważać za poetę, za filozofa, za wszystko inne raczej, aniżeli za wojownika przelewającego krew. Powiadają, że to nie było winą malarzy, iż niema dwóch portretów Napoleona do siebie podobnych; rysy jego twarzy bowiem zmieniały się zupełnie, zależnie od nastroju, w jakim się znajdował. W chwilach spokoju i zadumy twarz jego była najpiękniejsza. Piękniejszego oblicza, aniżeli wtedy u cesarza, siedzącego przy kominku, nie widziałem wogóle, przez całych sześćdziesiąt lat mego długiego życia.

— Pan nie masz ani marzeń, ani złudzeń, panie Talleyrand — mówił cesarz. — Pan byleś zawsze cynikiem, człowiekiem praktycznym, trzeźwym, chłodnym. U mnie jednak zarówno zmrok, jak i szum morza, podniecają silnie wyobraźnię. Podobny wpływ wywierają na mnie muzyka, zwłaszcza muzyka z powtarzającemi się stale melodjami, jak niektóre utwory Passaniella. Jest to dziwne wrażenie, któremu się oprzeć nie mogę. Zaczynam wtedy marzyć, unosić się i stać się poetą, jak drugi Osjan. Budzą się wtedy we mnie myśli gdyby

z baśni wysnute, w owym stanie osiągam wyższe, bajeczne cele. Na lotnych skrzydłach fantazji przenoszę się wtedy w kraje odległego Wschodu, króre się mrowią od tłumów ludzi; tylko tam może człowiek czuć się istotnie wielkim. Przeżywam ponownie moje marzenia z roku 1798. Widzę się na czele tych ogromnych tłumów ludzi, uzbrojonych, karnych, wyćwiczonych i ujarzmionych przezemnie i rzucam je na Europę. Byłbym też to uczynił, gdyby mi się było powiodło zdobyć Syryję, a zwycięstwo pod Saint-Jean d'Acree byłoby rzeczywiście zadecydowało o losach całego świata. Przy pomocy podbitych Egipcjan, byłbym, siedząc na grzbiecie słonia, wyruszył do Indyj, mając w rękach nowe wydanie Koranu, przezemnie ułożone. Ale, niestety, urodziłem się za późno. Kto chce zdobyć świat, musi się obwołać bogiem. Aleksander Wielki obwołał się synem Zeusa i wszyscy wierzyli mu. Ale teraz świat się postarzał i wygasł w nim już ogień zapału. Coby się stało, gdybym twierdził o sobie to samo, co Aleksander Macedoński? Pan Talleyrand zasłoniłby twarz ręką, aby ukryć uśmiech szydery, a Paryżanie pisaliby na murach domów liche dowcipy i rysowałiby karykatury mej osoby... Nie, dziś już niema wiary, ani zapału... nasze obecne pokolenie przychodzi już na świat stare i zgrzybiałe...

Myśli cesarza błąkały się coraz dalej w mglistych przestrzeniach. Zdawało się, że zapomniał zupełnie o naszej obecności, że mówił sam do siebie. Nazywał to „osjanizowaniem“, albowiem rozbijała wyobraźnia przypominała mu dzikie fantazje poety szkockiego, Osjana, którego poezje najbardziej lubiał i cenił. De Méneval opowiadała mi później, że on nieraz godzinami w ten sposób, wypowiadał głośno swoje najtajniejsze myśli i pragnienia, podczas gdy dworzanie jego stali z uszą-

nowaniem dokoła i czekali cierpliwie, aż znów wróci do stanu zwykłego i zacznie wydawać swoje codzienne rozporządzenia.

— Każdy wielki monarcha — mówił dalej Napoleon — musi się opierać na religji. Jest rzeczą ważniejszą panować nad duszami ludzi, aniżeli nad ich ciałami. Sułtan naprzykład jest wodzem armji, a równocześnie głową duchowną i świecką swego państwa. Tak samo rzecz się miała także z niektórymi rzymskimi cesarzami. Władza moja nie jest zupełna, póki nie osiągnę także i tego celu i nie zapanuję nad wiarą moich podwładnych. Obecnie w mniej więcej trzydziestu departamentach Francji ma papież większą władzę odemnie. Jedynie zjednoczenie władzy duchownej i świeckiej w jednej osobie może zapewnić pokój na świecie. Skoro w Europie będzie tylko jeden taki władca z siedzibą w Paryżu, a wszyscy królowie będą jego namiestnikami, wtedy zapanuje pokój powszechny. Położenie geograficzne Francji, jej bogactwa i pełne sławy dzieje przeznaczają ją do tej roli kierującej. Niemcy są podzielone i rozdarte niezgodą wewnętrzną. Rosja znajduje się w stanie barbarzyństwa, Anglja jest wyspą, Hiszpanja, Włochy i Grecja nie wchodzi w rachubę... Pozostaje tylko jedna Francja.

Zrozumiałem teraz, że moi przyjaciele w Anglji mieli słuszność. Póki on będzie żył — ten mały trzydziestosześcioletni Korsykańin — póty nie będzie na świecie spokoju.

Constant postawił na stole filiżankę kawy. Cesarz wypił i patrzył znów, jak nieprzytomny, w czerwony ogień na kominku. Głowę pochylił na piersi.

— W przyszłości — mówił — będą królowie Europy króczyli w pochodzie koronacyjnym cesarza Francji. Każdy z nich będzie musiał mieć pałac w Paryżu, a Paryż będzie się rozciągał aż do Wersalu. Są

to plany, jakie mam dla mej stolicy, jeżeli się okaże ich godną. Zresztą nie kocham Paryżan, ani oni mnie nie kochają. Nie wybaczą mi nigdy, że kazałem już raz do nich strzelać i że byłbym gotów to znów uczynić. Nauczyłem ich lękać się mnie i podziwiać, do miłości jednak nie mogę ich zmusić. A przecież uczyniłem dla nich tak wiele! Gdzie znajdują się skarby Genui, gdzie przepiękne obrazy Wenecji i niezrównane posągi z Watykanu? Wszystkie są w Luwrze. Łupami moich zwycięstw przyozdobiłem moją stolicę. Ale Paryżanie są zmienni i muszą zawsze mieć coś nowego do omawiania. Muszą się ciągle zachwycać, gadać, drwić. Dziś biją mi pokłony, gdy się ukażę; ale innym razem byłiby zdolni zaciskać przeciw mnie pięści, gdybym im nie dawał od czasu do czasu zajmującego tematu do rozmowy, aby odwrócić ich uwagę. Niedawno temu kazałem umyślnie w tym celu postawić na nowo kopułę temu inwalidów. Ludwik XIV zaprzętał ich umysły swojemi wojnami; za Ludwika XV miłoścki królewskie i skandale dworskie dostarczały obfitego tematu do rozmowy. Biedny Ludwik XVI nie umiał ich zająć, dlatego ucielił mu głowę. A pan, panie Talleyrand, pomagałeś, aby go zawlec na rusztowanie.

— Nie, najjaśniejszy panie, należałem zawsze do umiarkowanych.

— W każdym razie nie żałowałeś pan tego, że został stracony.

— Już z tego powodu, ponieważ zrobił ci miejsce, najjaśniejszy panie.

— Nic nie byłoby mogło powstrzymać mego pochodu triumfalnego, panie Talleyrand — odparł Napoleon. — Byłem już od urodzenia przeznaczony do najwyższych dostojenstw. Odczuwałem to już w dzieciństwie. Przypominam sobie jeszcze, jak czyniono przygotowania do

traktatu w Campoformio. Byłem wtedy młodym generałem i nie miałem jeszcze trzydziestu lat. W namiocie, gdzie się mieli zejść dyplomaci, stał próżny tron z herbem cesarskim. Wszedłem po stopniach i usiadłem na nim. Nie mogłem znieść tego, aby ktoś był wyższy ode mnie. Wiedziałem już dobrze w duszy, co kiedyś osiągnę. Nawet i wtedy, gdy zamieszkiwałem z mym bratem Łucjanem mały i skromny pokój, zdawałem sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że będę kiedyś panował nad wielkim potężnym państwem. A jednak nic mnie wtedy nie uprawiało do tych dumnych nadziei. W szkole byłem uczniem dość miernym i między pięćdziesięciu ośmiu kolegami byłem czterdziesty drugi. Tylko matematykę dobrze umiałem, w innych przedmiotach byłem bardzo słaby. Gdy inni się uczyli i pracowali, ja oddawałem się marzeniom. Z domu nic nie otrzymałem, coby mnie mogło uprawniać do tej mojej dumy. Po ojcu nie odziedziczyłem nic innego, oprócz słabego żołądka. Będąc jeszcze bardzo młody, przybyłem do Paryża, wraz z ojcem i moją siostrą Karoliną. Mieszkaliśmy przy ulicy Richelieu i widywaliśmy często króla przejeżdżającego w swej karecie dworskiej. I któż mógł wtedy przypuszczać, że ten mały i wątły chłopiec korsykański, który z kapeluszem w rękę patrzył za powozem królewskim, będzie następcą króla na tronie francuskim? A jednak już wówczas miałem to uczucie, że ten powóz dworski należy się mnie a nie komu innemu. Czego chcesz, Constant?

Dyskretny lokaj dworski pochylił się ku cesarzowi i szepnął mu coś do ucha.

— Tak, prawda — odpowiedział Napoleon. — Było tak umówione, ale zapomniałem zupełnie. Czy ona jest tutaj?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.



W przyległym pokoju?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

Talleyrand i Berthier spoglądali na siebie znacząco. Minister chciał się oddalić.

— Nie, nie — zawołał cesarz. — Może pan tu zostać. Zaświeć lampy, Constant i niechaj powozy będą za pół godziny gotowe. Przeczytaj pan, panie Talleyrand, ten list do cesarza austriackiego i powiedz mi, co o nim sądzisz. Tu, panie de Méneval, jest dokładne sprawozdanie o nowych dokach w Brest, zrób z niego wyciąg i połóż na mojem biurku, abym go tam znalazł jutro rano o piątej. Pan, panie Berthier, masz dopilnować, aby cała armja była o siódmej godzinie na okrętach. Chcę się przekonać, czy to może się odbyć w przeciągu trzech godzin. Pan de Laval zaś zaczeka tu na mnie, aż się wybierzemy wszyscy do Tour-de-Briques.

Otrzymaliśmy tedy wszyscy nasze rozkazy, wypowiedziane tonem stanowczym. Cesarz zaś przeszedł szybkimi krokami przez pokój i otworzył boczne drzwi. Za jego szerokimi plecami ujrzałem postać kobiecą w różowej jedwabnej sukni, poczem zapadła za nim portjera.

Berthier ogryzał znów w kącie paznokcie, Talleyrand, ściągnął brwi w górę i przybrał wyraz szydery, de Méneval zaś, z miną zakłopotaną, ślęczał pochylony przy swoim stoliku, nad plikiem papierów.

Constant, zawsze cichy i dyskretny, zapalał świece.

— Która to? — szepnął minister?

— Śpiewaczka z wielkiej Opery — odpowiedział Berthier.

— A czy ta mała Hiszpanka popadła w niełaskę?

— Nie sądzę! była tu dopiero wczoraj.

— A hrabina?

— Kupił jej wille w Ambleteuse.

— Panowie, nie mogę pozwolić na skandale na moim dworze — mówił Talleyrand z szyderskim uśmiechem, wspominając kazanie moralne, które cesarz niedawno wygłosił, dając nauki swemu otoczeniu a przede wszystkim jemu samemu.

— Ale, ale, panie de Laval — rzekł potem do mnie — pragnąłbym się chętnie dowiedzieć czegoś bliższego o planach i widokach partji Burbonów w Anglii. Pan musi przecież być o tem dobrze poinformowany. Czy ma ona jakie szanse powodzenia?

Przez kilka minut zasypywał mnie pytaniami i żądał różnych wyjaśnień. Widać było po całym jego zachowaniu się, jak go Napoleon trafnie osądzał.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dyplomata ten był silnie zdecydowany, zawsze i wszędzie stanąć po stronie tego, kto zwycięży, że nie jest to człowiek, który pozostaje wiernym przyjacielem w nieszczęściu i przeciwnościami.

W czasie naszej rozmowy wpadł nagle Constant do pokoju, w najwyższym stopniu zmieszany i wzburzony. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że jego twarz zawsze tak spokojna i łagodna, może wyrażać tak silną grę uczuć.

— Na miłość Boską, panie Talleyrand — wołał, łańcąc ręce. — Takie nieszczęście!... Kto byłby się mógł tego spodziewać?

— Cóż takiego się stało, Constant?

— O, panie Talleyrand, nie śmiem przeszkadzać cesarzowi, a jednak, a jednak...

— Cóż takiego?

— Cesarzowa właśnie przybyła i zaraz tu wejdzie.

XIV.

JÓZEFINA.

Talleyrand i Berthier spojrzeli na siebie zmieszani. Nawet ten wytrawny i przebiegły dyplomata, który umiał zresztą panować wybornie nad wyrazem swej twarzy i zdawał się ukrywać go jak gdyby pod maską, zdradzał silne wzburzenie. Dobry obserwator byłby jednak odkrył u niego więcej złośliwości i ironji, aniżeli przerażenia, natomiast Berthier, który był do Napoleona i Józefiny szczerze przywiązany, pobiegł jak szalony do drzwi namiotu, aby wzbronić cesarzowej wejścia.

Constant skoczył do portjery, która zastaniała drzwi do pokoju cesarza, stracił jednak znów odwagę i przystąpił do Talleyranda, szukając rady i pomocy. Rada ministra byłaby w każdym razie spóźniona, albowiem mameluk Rustan otworzył już drzwi, aby wpuścić dwie damy do namiotu.

Pierwsza była wysoka i smukła, miły uśmiech widniał na jej ustach, twarz miała ujmującą, postawę majestatyczną i pełną godności, ułożenie uprzejme. Zalety te jadły jej odrazu wszystkie serca. Miała na sobie czarny płaszcz aksamitny, biało lamowany dokoła szyi i na rękawach; czarny kapelusz zdobiło białe pióro.

Towarzyszka jej była niższego wzrostu i twarz jej możnaby nazwać pospolitszą, gdyby jej nie nadawały szczególnego uroku duże czarne oczy i wyraz pełen życia. Obydwom damom towarzyszył mały foksterjer. Pierwsza z pań oddała we drzwiach mamelukowi cienki łańcuszek stalowy, na którym pieska prowadziła.

— Lepiej, gdy mój Fortuné zostanie na dworze — rzekła głosem bardzo dźwięcznym i melodyjnym. —

Cesarz nie lubi psów, a gdy się go nagle i niespodziewanie odwiedza, należy przynajmniej liczyć się z jego upodobaniem. Dobry wieczór, panie Talleyrand. Odbiliśmy wraz z panią de Remusat przejażdżkę wzdłuż wybrzeża i wysiadliśmy tutaj, aby się dowiedzieć, czy cesarz przybędzie dzisiaj do Tour-de-Briques. Czy może już wyjechał? Oczekiwałam na pewno, że go tu jeszcze zastanę.

— Najjaśniejszy pan był tu jeszcze przed chwilą — odpowiedział Talleyrand, kłaniając się z szacunkiem.

— Dziś wieczorem jest przyjęcie w moim salonie, o ile tak można nazywać moje apartamenty w takiej wiosce, jak Tour-de-Briques. Cesarz przyrzekł mi, że przerwie swoją pracę i sprawi mi przyjemność swoją obecnością. Gdyby go można nakłonić do tego, aby owogóle mniej się zamęczał robotą! Pomimo żelaznego zdrowia, na długi czas życia tego nie wytrzyma. Ataki nerwowe powtarzają się u niego coraz częściej. Chce sam wszystko robić. To wprawdzie bardzo pięknie, zgadzam się z tem w zupełności, ale dla niego to istne męczeństwo. Nie wątpię, że także i teraz... A więc pan nie wie, gdzie on się znajduje obecnie, panie Talleyrand.

— Oczekujemy lada chwila przybycia jego, najjaśniejsza pani.

— W takim razie poczekam z wami... Ach, panie de Méneval, jakie mam dla pana współczucie, gdy cię widzę siedzącego nad tym ogromnym stołem aktów. Byłam szczerze zmartwiona po stracie pana de Bourienne, ale pan w istocie przewyższa jeszcze swego poprzednika pracowitością... Zbliż się do ognia, pani de Remusat.

Dama dworu skłoniła się z uszanowaniem na to wezwanie cesarzowej.

— Tak, tak, proszę bliżej, ja tak chcę — nalegała cesarzowa. — Pani z pewnością zimno. Constant; podsuń pani de Remusat tę tygrysicę pod nogi.

Ta uprzejmość i życzliwość cesarzowej pochodziła istotnie z serca i zdobywała jej przywiązanie wszystkich ludzi, bez względu na ich stanowisko społeczne. Nawet z najbardziej zawziętych przeciwników jej małżonka nikt nie był jej wrogiem. Gdy później żyła w Malmaison, w smutku i samotności, jako kobieta opuszczona, wszyscy Francuzi otaczali ją taką samą czcią i miłością, jak wtedy, gdy jeszcze znajdowała się u boku swego wielkiego małżonka, władającego światem. A ze wszystkich ofiar, jakie Napoleon poniósł dla swoich ambitnych planów, żadna nie była mu taka ciężka i bolesna, jak rozłączenie się z Józefiną.

Cesarzowa siadła na fotelu obok kominka, na którym niedawno temu siedział Napoleon. Mogłem tedy zbliżka przypatrywać się dowoli jej zajmującej postaci.

Dziwne były koleje losu tej kobiety!

Córka skromnego porucznika, zajmowała dzisiaj pierwsze miejsce między wszystkimi kobietami Europy. Była o sześć lat starsza od Napoleona i miała wtedy rok czterdziesty drugi; w oddaleniu jednak lub przy słabem oświetleniu, można ją było, bez pochlebstwa, uważać za kobietę trzydziestoletnią. Postawa jej była giętka i szczupła, a w każdym poruszeniu wdzięk naturalny zdradzał pochodzenie kreolki. Po delikatnej twarzy można było dziś jeszcze poznać, jak musiała być niegdyś czarująco piękna, prędko jednak przekwitła, jak wszystkie kobiety z kolonij. Wprawdzie przy pomocy różnych sztuczek toaletowych mogła i dziś jeszcze uchodzić za ładną kobietę, gdy przejeżdżała karetą, albo siedziała w sali jadalnej na estradzie na górze, w pewnym oddaleniu od innych. W małym pokoju jednak

albo przy jasnym świetle, można było poznać, że kolory na jej zwiędłych policzkach są sztuczne, co wywierało bardzo przykre wrażenie. Tylko jej duże, czarne, miłe oczy pozostały doprawdy piękne i czar swój zachowały jej śliczne drobne usteczka, które zawsze się uśmiechały a bardzo rzadko się śmiały, aby nie pokazywać brzydkich, zepsutych zębów.

A z jaką godnością i jakim majestatem występowała ta kreolka z Indji Zachodnich, jak gdyby pochodziła w prostej linii od Karola Wielkiego lub od Ludwika Świętego, Jej chód, jej spojrzenia i wszystkie ruchy białych i wykwintnych rąk łączyły w sobie szczęśliwie urok kobiety i majestat królowej. Podziwienia godny był wdzięk, z jakim wyjęta teraz z koszyka kilka kawałków drzewa aloesowego, które rzuciła w ogień.

— Napoleon lubi nadwzyczaj zapach palącego się aloesu — rzekła. — Ma bardzo delikatne powonienie i czuje najsubtelniejsze zapachy.

— Najjaśniejszy pan ma wogóle rozwinięte powonienie do wszystkich spraw — wtrącił Talleyrand. — O tem przekonali się często pełnomocnicy obcych państw na własnej skórze.

— To doprawdy okropnie, gdy zaczyna badać rachunki, to doprawdy okropnie panie de Talleyrand. Nic nie uchodzi jego bystremu oku. Nic nie przepuszcza. Wszystko musi się jak najdokładniej zgadzać... Ale kto jest ten młody człowiek? Jeżeli się nie mylę, nie został mi jeszcze przedstawiony.

Talleyrand wyjaśnił cesarzowej w krótkich słowach, że cesarz przyjął mnie do swej osobistej służby, a Józefina powinszowała mi bardzo miło i uprzejmie.

— Cieszy mnie to niewymownie, gdy wiem, że cesarz ma dokoła siebie ludzi odważnych i wiernie jemu oddanych. Od czasu owego zamachu z maszyny

piekielną, jestem zawsze dręczona niepokojem, gdy nie jestem przy nim. Najbezpieczniejszy jest jeszcze na wojnie, wśród swojej armji; tam mu przynajmniej nie zagrażają mordercy, czyhający nań na ulicy. Jak słyszę znów odkryto sprzysiężenie Jakobinów przeciw osobie cesarza.

— Pan de Laval był właśnie obecny przy uwięzieniu spiskowców. — rzekł Talleyrand.

Cesarzowa poczęła mnie zasypywać pytaniami, nie dając mi nawet czasu na odpowiedź.

— Ten straszny człowiek Toussac zbiegł, wszak prawda? — zawołała — a pewna młoda dama podjęła się zadania, by go oddać w ręce sprawiedliwości. Napoleon miał jej przyrzec, że daruje wolność jej kochankowi, gdy dokona tego czynu, którego jego tajna policja wykonać nie mogła.

— Tą młodą damą, najjaśniejsza pani, jest moja kuzynka, Sybilla Bernac.

— Pan jesteś dopiero od kilku dni we Francji, panie de Laval — rzekła z uśmiechem Józefina — a stoisz już w samym środku tak doniosłych wydarzeń politycznych. Musisz pan swoją piękną kuzynkę — cesarzowi podobała się bardzo — przyprowadzić na mój dwór i przedstawić mi ją. Pani de Rémusat, proszę zapisać sobie jej nazwisko.

Cesarzowa znów się schyliła do koszyka z drzewem. Nagle wydała okrzyk zdziwienia i rzuciła się na przedmiot kształtu podłużnego, zasłonięty dotychczas nogami Talleyranda. Podniosła go z ziemi.

— Był to kapelusz cesarza z trójbarwną kokardą. Józefina zerwała się z miejsca i spojrzała na ministra, którego twarz zachowała wyraz niezamąconego niczem spokoju.

— Co to ma znaczyć, panie Talleyrand? — wo-

łała, błada jak śmierć, a oczy jej błyszczały gniewem i nieufnością. — Mówił mi pan, że cesarz wyszedł skądżeż się bierze jego kapelusz tutaj.

— Przepraszam bardzo, najjaśniejszy pani, nie mówiłem, że cesarz wyszedł.

— Cóż pan więc powiedziałeś?

— Powiedziałem, że niedawno był tu jeszcze w pokoju.

— Pan ukrywa coś przedemną! wołała Józefina wzburzona.

— Powiedziałem wszystko, co wiem, najjaśniejsza pani.

Cesarzowa zwróciła się do marszałka Berthier.

— Panie marszałku — rzekła — proszę mi natychmiast powiedzieć, gdzie cesarz jest i co robi. Żądam tego.

Zagadnięty obracał z zakłopotaniem swój kapelusz w rękach i wybełkotał kilka słów niezrozumiałych.

— Nie wiem więcej, aniżeli pan minister — wycedził wreszcie z trudem. — Cesarz wyszedł niedawno temu z tego pokoju.

— Którymi drzwiami?

Zakłopotanie biednego marszałka wzmogło się.

— Nie mogę tego doprawdy powiedzieć, najjaśniejsza pani, którymi drzwiami cesarz wyszedł.

Teraz zwróciła Józefina na mnie swoje płomiennie oczy. Zadrzałam z trwogi na myśl, że mnie będzie badała, że zada mi to kłopotliwe pytanie, gdzie się znajduje Napoleon. Pomodliłem się w duchu do św. Ignacego, patrona naszej rodziny; był dla mnie zawsze łaskaw i tym razem nie odmówił mi swej życzliwej opieki. Groźne niebezpieczeństwo przeminęło.

Cesarzowa zwróciła się nagle do swej damy dworu i rzekła:



— Chodźmy, pani de Rémusat, skoro ci panowie nie chcą nam prawdy powiedzieć, musimy się starać dojść do niej bez ich pomocy.

I skierowała się z godnością do drzwi zasłoniętych portjerą, pani de Rémusat szła za nią, ociągając się. Przerażona twarz damy dworu zdradzała, że zrozumiała dobrze powagę sytuacji.

W istocie bowiem wieść o niewierności Napoleona w pożyciu małżeńskim i o publicznem zgorzeniu, jakie przez to wywoływał, dotarła nawet aż do Ashford. Napoleon w swojej dumie i pogardzie opinii publicznej uważał za zbyt cenne ukrywać swoje awantury miłosne, a Józefina, szarpana zazdrością, traciła wszelką władzę nad sobą i zapominała o powadze i godności, której zresztą zawsze przestrzegała, tak, że często przychodziło do scen bardzo przykrych dla otoczenia.

Talleyrand odwrócił się, Berthier, miotany trwogą i niepokojem, miał dalej kapelusz swój w rękach. Tylko Constant jeden zdobył się na odwagę i pobiegł do zasłoniętych drzwi. Zastąpił drogę cesarzowej i wyciągnął ku niej ręce, aby ją powstrzymać.

— Niech najjaśniejsza pani raczy napowrót usiąść. Idę zawiadomić cesarza, że najjaśniejsza pani tu jest — zawołał.

— A więc on jest tutaj — krzychała Józefina w uniesieniu. — Wiem teraz wszystko. Rozumiem wszystko. Ale ja mu zedrę maskę z twarzy, temu wiarotłomcy. Puść mnie, Constant. Jak śmiesz zastępować mi drogę?

— Czy powoli najjaśniejsza pani, abym ją oznajmił?

— Nie, nie trzeba... Oznajmię się sama.

I wysmukła jej postać zręcznym ruchem przesunęła się za lokajem, który wciąż pragnął ją powstrzymać

! rozsunawszy portjere, znikła w przyległym pokoju.

Poprzez róz widziało było szkarłatne rumieńce gniewu na jej policzkach a z oczu jej padały błyskawice, póki walczyła z lokajem dworskim o wstęp do pokoju, gdzie się znajdował jej małżonek. Na widok Napoleona, jednak musiała ją opuścić odwaga. O uszy moje odbił się straszny krzyk, gdyby ryk dzikiego zwierza i w teje samej chwili wybiegła pędem cesarzowa bocznemi drzwiami, uciekając; Napoleon nieprzytomny od gniewu, biegł tuż za nią. W najwyższej trwodze skierowała się ku kominkowi, dokąd także i pani de Rémusat biegła, nie mając ochoty, wśród tych okoliczności, służyć cesarzowej jako wał ochronny. Wkońcu padły obie na fotele, na których poprzednio siedziały i skuliły się tam, podobne do zmoczonych kur, które trzepocąc skrzydłami, wróciły do gniazda.

Napoleon tymczasem chodził po pokoju, tupiąc nogami, z twarzą wykrzywioną wściekłością i rzucał dzikie przekleństwa żołnierskie.

— Ty, Constant! — wołał. — Tak więc wypełniasz twoje obowiązki? Czy nie masz już zgoła rozumu w głowie? Czyż i moje życie prywatne ma podlegać publicznej kontroli? Mam zatem być skazany na wieczne szpiegostwo żony? Wszyscy ludzie we Francji cieszą się osobistą wolnością, tylko jej cesarz ma być tej wolności pozbawiony!... A co się ciebie tyczy, Józefino, wszystko tym razem między nami skończone. Do dzisiejszego dnia wahałem się jeszcze, czy mam ciebie odpechnąć, ale to zajście rozstrzygnęło o wszystkim. Wszystko skończyło się, postanowienie moje jest niezłomne.

My wszyscy, obecni przy tej scenie, bylibyśmy dużo dali za to, by móc się schronić w jakiejś mysiej dziurze; we mnie przynajmniej obudziło się bardzo

przykre uczucie na widok tego oburzającego zajścia. Cesarzowi jednak była nasza obecność tak obojętna, jak gdybyśmy byli sprzętami w jego pokoju.

Było to właściwością tego, pod każdym względem niezwykłego człowieka, że chętnie urządzał publicznie wobec świadków takie sceny, które inni zwykli byli ukrywać, chciał bowiem, aby wyrzuty jego i ataki stały się tem przykrzejsze i boleśniejsze dla ofary. Każdy — począwszy od cesarzowej a skończywszy na ostatnim lokaju dworskim — musiał być zawsze na to przygotowany, że będzie publicznie upokorzony i ośmieszony, wobec świadków, których wesołość mąciła tylko ta jedna troska, kto jest upatrzony jako następna ofiara cesarskich kaprysów i złośliwości.

Józefina uciekła się do ostatniej wyprbowanej broni kobiecej: zakryła twarz rękoma i poczęła gorzko płakać. Także i pani de Rémusat wybuchła głośnym płaczem, a w przerwach między chrapliwymi przekleństwami Napoleona — w gniewie bowiem głos jego brzmiał istotnie szorstko i chrapliwie — słychać było westchnienia i szlochanie obydwóch kobiet.

Od czasu do czasu cesarzowa ośmielała się dawać bojaźliwą odpowiedź lub czynić półgłosem uwagę o niewierności małżeńskiej, ale każda taka próba oporu potęgowała jeszcze gniew Napoleona i doprowadziła go w końcu zupełnie do wściekłości. W najwyższym uniesieniu, utraciwszy wszelką władzę nad sobą, rzucił na ziemię tabakierkę szyldekretową, jak rozkapryszony dzieciak zabawkę i zmiażdżył ją obcasem, krzycząc:

— Co mnie obchodzi moralność i przyzwoitość! Do mnie one nie mają zastosowania! Mnie nie można mierzyć taką samą miarą, jak innych ludzi. Ja stoję ponad prawem. Powtarzałem ci już nieraz Józefino, że wszystkie te prawidła to są jedynie frazesy wymyślone

przez ludzi tuzinkowych, aby powstrzymać ludzi wielkich w rozwoju ich władzy. Ja nie troszczę się o tę tak zwaną moralność, którą społeczeństwo dla siebie uchwaliło, i nie pozwolę się krępować w mej osobistej wolności. Genjusz nie zna takich względów. Czynię, co mi się podoba i nikt nie ma prawa do tego się wtrącać, najmniej zaś ty, Józefino. Musisz przyjmować wszystko ze spokojem, nawet moje kaprysy i powinnaś to uważać za zupełnie zrozumiałe, że sobie pozwalam na pewną swobodę.

Pomimo ostrego tonu, Napoleon nie wydawał się jednak zupełnie pewny słuszności swoich argumentów, albowiem zwrócił — jak to zwykł był czynić w podobnych wypadkach — rozmowę nagle na inny temat, gdzie wiedział niewątpliwie, że ma słuszność. Tak jak w bitwie tak i w utarcze słownej nie pozostawał długo w defenzywie; wkrótce znalazł słaby punkt w pozycjach nieprzyjacielskich i sposobność dla siebie, by przejść do ataku.

— Przejrzałem rachunki Lenormanda, Józefino, — rzekł po chwili. — Czy wiesz, ile sukien zamówiłaś sobie w ostatnim roku. Było ich sto czterdzieści, a niektóre z nich kosztowały olbrzymią kwotę dwudziestu pięciu tysięcy franków. Posiadasz, jak słyszę, sześćset tualet, a wielu z nich nie nosiłaś ani jeden raz. Pani de Rémusat musi to wszystko potwierdzić!

— Wszak sam życzysz sobie, Napoleonie, abym się ubierała należycie.

— Ale wydatki nie mogą rosnąć w nieskończoność. Za pieniądze, które ty wydajesz na te wszystkie fatalaszki, na te futra i materje jedwabne, mógłbym uzbroić i utrzymywać dwa pułki kirasjerów albo zbudować dzieśięć fregat. Taka okoliczność, moja kochana, może w wojnie być rozstrzygająca i zaważyć na losach pań-

stwa. A dalej, kto ci pozwolił zamówić djadem brylantowy u Lefébre'a? Przysłał mi niedawno rachunek, odmówiłem jednak zapłacenia. Gdy mi go przyśle ponownie, każe go moim grenadierom odprowadzić do więzienia. I Lenormanda również.

Napoleon wpadał z łatwością w gniew gwałtowny, lecz nie na długo. Dziwne konwulsyjne ruchy rąk, które były u niego oznaką silnego wzburzenia, znikają powoli. Przeczytał kilka aktów, które niez mordowany sekretarz jego, de Méneval, pracujący podczas całego tego burzliwego zajścia mechanicznie jak automat tymczasem wygotował i przystąpił do cesarzowej z obliczem wypogodzonym i przyjaznym uśmiechem na ustach.

— Wszystkie te stroje i świecideła są dla ciebie niepotrzebne, Józefino, — rzekł, kładąc jej rękę na ramieniu. — Tylko brzydka kobieta potrzebuje pięknych tualet i djamentów, aby się podobać, ty się możesz bez tego obejść. Byłaś bardzo skromnie ubrana wówczas, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy, w ulicy Chauteraine, a jednak żadna kobieta na świecie nie olśniła mnie, tak jak ty. Dlaczego dręczysz mnie, Józefino, swoją głupią zazdrością i zmuszasz mnie do takiego szorstkiego postępowania wobec ciebie? Wracaj moja droga, do Tour-de-Briques i uważaj na siebie, abyś się nie przeziębila.

— Wszak będziesz na mojem wieczornem przyjęciu, Napoleonie? — zapytała cesarzowa, która już o wszystkim zapomniała z powodu czulej pieczyoty męża. Trzymała jeszcze zawsze chusteczkę przy twarzy, ale już nie płakała. Chciała widocznie tylko ukryć róż, który spływał ze łzami.

— Rozumie się, przybędziemy wkrótce. Constant, pomóż damom wsiadać do karety. Marszałku Berthier, czy już wszystko przygotowane, aby wojsko mogło

Jutro rano wsiąść na okręty? Panie Talleyrand, pan tu zostaniesz, chcę bowiem panu wyłożyć moje plany co do Hiszpanji i Portugalji. A pan, panie de Laval, odprowadzisz cesarżową do Tour-de-Briques, zobaczymy się tam dziś wieczorem.

## XV.

## PRZYJĘCIE U CESARŻOWEJ.

Tour-de-Briques była to mała i zaciszna wioska. Nagłe przybycie dworu na kilkutygodniowy pobyt wywołało w niej silne ożywienie. Według mego zdania, pobliskie miasto Boulogne byłoby się bardziej nadawało do tej szczytnej roli. Znajdowały się tam dość wygodne mieszkania dla oficerów i wysokich dygnitarzy i łatwiej było o środki żywności, ale Napoleon obrał Tour-de-Briques na rezydencję dla swego dworu i sprawa była tem samem załatwiona.

Tak tedy pojawiła się tam pewnego dnia armja rzemieślników i sług, która w krótkim czasie przeobraziła tę cichą wioskę. Potem ukazali się wysocy dostojnicy nowego cesarstwa, a w końcu przybyły damy dworu, za nimi zaś ich wielbiciele z obozu.

Cesarżowa otrzymała małą wille i miała pewne wygody. Dworzanie i urzędnicy mieścili się jak mogli, w domach dokoła i wyglądali z upragnieniem dnia powrotu do swoich wygodnych mieszkań w Tuilerjach lub w Fontainebleau. Dobrotliwa monarchini zaprosiła mnie uprzejmie do swej karety i rozmawiała ze mną przez cały czas bez przerwy z wielkiem ożywieniem, nie zwracając nawet uwagi na prześliczną okolice, przez którą przejeżdżaliśmy. Zdawał o się, że już zupełnie zapomniała o przykrej scenie z mężem.

Zadawała mi liczne pytania co do mej osoby i moich spraw, albowiem zajmowała się żywo, z iście dzieciinną ciekawością, wszystkim, co dotyczyło osób z jej otoczenia. Przedewszystkiem zainteresowała się osobą Eugenji; a ponieważ i dla mnie był to temat najmiłszy, rozmowa nasza przeszła wkrótce w pełne zachwyty opowiadanie z mej strony, przerywane od czasu do czasu wykrzyknikami cesarzowej lub srebrnym śmiechem jej damy dworu.

— Musi pan pannę Eugenję jak najprędzej sprowadzić na nasz dwór — zawołała Józefina. — Panna, która odznacza się taką pięknnością i tylu zaletami, nie powinna zostać w ustronnej wiosce angielskiej. Czy opowiadał pan o niej cesarzowi?

— On już przedtem wiedział o wszystkim, co mnie dotyczy, najjaśniejsza pani.

— Cesarz zawsze wie wszystko, — szepnęła cesarzowa. — Co to za człowiek genialny! Słyszał pan a szafirów. Lefébre przyrzekł mi, że nie powie o tem ni słówka, miałam mu zapłacić częściami, z moich oszczędności, a jednak Napoleon dowiedział się o wszystkim. Ale co powiedział panu, gdy słyszał o pańskich zaręczynach z panną Eugenją de Choiseul?

— Powiedział, że to jest jego rzeczą wynaleźć mi małżonkę.

Józefina pokiwała głową z westchnieniem.

— To rzecz bardzo poważna, panie de Laval — szepnęła. — Cesarz gotów pana w przeciągu tygodnia zmusić do poślubienia córki jednego ze swoich generałów lub jednej z moich dam dworu. A skoro raz coś postanowi, nie znosi żadnego oporu. Widziałam go już kojarzącego bardzo dziwne pary. Ale muszę z nim jeszcze o tem pomówić, zanim powrócę do Paryża;

może będę mogła coś dla pana uczynić.

Podziękowaliśmy cesarzowej z zapalem za jej dobroć i życzliwość, gdy w tem karetą zatrzymała się przed budynkiem dość okazałym. Gromada lokai dworskich w szkarłatnej liberji i grenadjerzy stojący na warcie, wszystko to dawało mi do poznania, że przybyliśmy do kwatery cesarskiej.

Józefina i jej dama dworu pośpieszyły zmienić tualety, mnie zaś wprowadzono natychmiast do przestronnego salonu, gdzie już zastałem mnóstwo osób zaproszonych.

Był to duży pokój kwadratowy, urządzony tak skromnie, jak salon w mieszczkańskim domu na prowincji.

Tapety szaro-popielate, krzesła i fotele z ciemnego drzewa mahoniowego, obite niebieskim kretonem wypiówałem. Ale wielka ilość świec we wspaniałych świecznikach, rozmieszczonych po wszystkich stołach i w żyrandolach na ścianach, nadawała temu wszystkiemu pozór uroczystości. W kilku małych pokojach przyległych były przygotowane stoliki do gry w karty. Korytarze między pokojami były udrapowane dywanami wschodniemi.

W salonie stali dokoła panowie i damy. Damy w wytwornych tualetach, przepisanych przez cesarza, panowie w mundurach paradnych lub w czarnych ubraniach galowych. U pań przeważały kolory jasne i drogie koronki, albowiem pomimo swoich kazań o oszczędności, cesarz wymagał od nich, aby były bardzo bogato ubrane, gdy miały się ukazywać na dworze.

Panująca, ówczesna moda dawała rozległe pole do wytworności, a zarazem sposobności, by okazać gust indywidualny, albowiem klasyczne i pełne prostoty stroje znikły z upadkiem rzeczypospolitej, a ich miejsce



zajęty stroje wschodnie, jako oznaka hołdu dla zdobywcy Egiptu. Lukrecja przemieniła się w Zulejkę, a salony, w których panowała przez krótki czas surowa cnota starego Rzymu, stały się nagle podobne do haremów wschodnich.

Nie spodziewając się, że zastanę tu kogo znajomego, cofnąłem się zaraz po wejściu w kąt salonu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu jednak, ktoś pociągnął mnie za rękaw. Obróciłem się i ujrzałem przed sobą ukochanego wuja Bernaca. Twarz jego, poorana zmarszczkami, była jak zwykle martwa i bez wyrazu. Mimo mego oporu, pochwycił mnie za rękę i ścisnął ją z wymuszoną serdecznością.

— Kochany Ludwisiu — mówił. — Przybyłem tu przedewszystkiem dlatego, aby ciebie zobaczyć.

Widząc zaś moją minę niedowierzającą, dodał:

— Nie chcę i temu przeczyć, że skorzystałem chętnie ze sposobności, aby się znów raz pokazać na dworze cesarskim. Wszak podróż do Paryża daleka i uciążliwa. Mimo to jednak zapewniam cię, że głównie sprowadziło mnie tu pragnienie, aby się z tobą widzieć. Cesarz, jak słyszałem, przyjął cię nadzwyczaj łaskawie i chce cię przyjąć do swej osobistej służby. Mówiłem z nim o tobie i poleciłem cię jego życzliwości, dając mu do zrozumienia, że gdy ci okaże należyte względy, potrafisz skłonić innych emigrantów, by za twoim przykładem wrócili do Francji.

Poznałem wprawdzie, że to kłamstwo, mimoto jednak ukłoniłem się, mrużąc kilka banalnych słów podziękowania.

— Masz jeszcze zapewne żal do mnie z powodu owej sceny w Grobois — rzekł — a jednak nie masz do tego bynajmniej powodu. Bóg świadkiem, że pragnę tylko twojego szczęścia. Jestem człowiekiem starym

i schorowanym, Ludwisiu, a mój zawód jest, jak sam przyznasz, bardzo niebezpieczny. Sybilla to moje jedyne dziecko. Kto ją otrzyma, stanie się panem na zamku Grobois. Jest to dziewczyna zachwycająca i pełna uroku; nie powinieneś zwracać uwagi na jej brzydkie zachowanie się wobec mnie w twej obecności. Niech cię to nie odstrasza. Jej gniew z powodu tego, co nastąpiło, był do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Spodziewam się, że w międzyczasie zastanowiłeś się nad moim projektem i że zmieniłeś twoje poprzednie zdanie?

— Tu niema się co zastanawiać. Nie chcę o tem więcej mówić, — odparłem krótko.

Bernac wydawał się pogrążony w zamyśleniu.

— A więc dobrze, — rzekł wkońcu. — Dajmy temu spokój. Ale nie możesz mieć do mnie urazy z tego powodu, że cię chciałem mieć moim spadkobiercą. Bądź rozsądny, Ludwisiu, leżałbyś teraz zaduszony, sześć stóp głęboko w trzęsawisku, gdybym cię nie był ocalił od śmierci, z narażeniem własnego życia.

— Miałeś w tem interes, wuju, aby mi życie ocalić — odpowiedziałem.

— Być może. Ale w każdym razie zawdzięczasz mi je. Dlaczego masz do mnie jakąś urazę? Wszak to nie moja wina, że twój zamek dostał się w moje ręce.

— To też nie z tego powodu.

— A z jakiego?

Miałem dość powodów, by czuć wstręt do tego człowieka. Pogardzałem nim, ponieważ tak haniebnie zdradził swoich towarzyszków i zawiódł ich zaufanie, brzydziłem się nim po tem wszystkiem, co mi Sybilla o nim opowiadała, nienawidziłem go, gdyż był sprawcą wszystkich tych niezmiernych nieszczęść, które spotykały

moich biednych rodziców... Nie chciałem jednak wszystkich tych spraw obecnie wywlekać na światło dzienne, gdyż rozumiałem dobrze, że salon cesarzowej nie jest miejscem odpowiednim do sporów rodzinnych i wzruszyłem zatem tedy ramionami i milczałem.

— Żałuję bardzo — rzekł wuj z westchnieniem — albowiem miałem jak najlepsze zamiary wobec ciebie. Byłbym ci mógł dopomóc w karierze, gdyż moje wpływy sięgają daleko. Mało ludzi we Francji ma takie znaczenie u cesarza, jak ja. A teraz, zanim się rozstaniemy, chciałbym ci jeszcze zadać jedno pytanie.

— Jakie, wuju?

— Mam u siebie, w Grobois, w przechowaniu kilka przedmiotów, które niegdyś należały osobiście do twego ojca — szpada, pieczęć, ocała szuflada pełna listów, tabakierka i kilka srebrnych puharów — słowem są to przedmioty, które mają dla ciebie wielką wartość pamiątkową. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś mógł, choćby na jeden wieczór, przybyć do Grobois, aby obejrzeć te drobnostki i wybrać z nich to, coby ci odpowiadało. Nie odmawiaj, gdyż to sprawiłoby mi wielką przykrość.

Przyrzekłem chętnie, że go odwiedzę w najbliższym czasie.

— Kiedy? — zapytał z niecierpliwością.

W głosie jego było coś takiego, co obudziło we mnie straszne podejrzenie, a utwierdził mnie w tem także wyraz jego siwych oczu. Przypomniałem sobie teraz ostrzeżenie Sybilli.

— Nie mogę dnia na pewno oznaczyć, gdyż nie wiem jeszcze, jakie będą moje obowiązki służbowe przy cesarzu. Gdy się o tem dowiem, przybędę.

— Dobrze. W przyszłym tygodniu zatem albo za dwa tygodnie. Oczekuję cię z niecierpliwością,

Ludwisiu, Na twojem przyrzeczeniu mogę polegać. Członek rodziny de Laval nigdy jeszcze nie złamał słowa.

Pożegnał mnie uściśnieniem dłoni i znikł w tłumie gości, który stawał się coraz większy.

Stałem jeszcze zatopiony w myślach i rozważałem, w jaki sposób mógłbym się uwolnić od niebezpiecznych odwiedzin wuja w zamku moich ojców, gdy wtém usłyszałem jakiś głos znajomy, który zawołał mnie po nazwisku. Obejrzałem się zdziwiony i zobaczyłem piękną ciemną twarz i wysoką wytworną postać pana de Caulaincourt, który zbliżał się do mnie z przyjaznym uśmiechem.

— Oto pierwsze pańskie odwiedziny na dworze cesarskim, panie de Laval — rzekł do mnie z wesołością, którą umiał sobie ujmować każdego. — Nie będzie się pan tu czuł osamotniony; znajdzie pan tu wielu dawnych przyjaciół swojego ojca, którzy będą szczęśliwi, że mogą powitać w panu syna pana de Laval. Czy zna ich pan przynajmniej z widzenia?

— Znam marszałków; de Méneval wskazał mi ich w namiocie cesarza. Ten w czerwonym kapeluszu, z twarzą boksera angielskiego, to Ney. Poznaję także Lefèbre'a po dziwnym kształcie ust jego i Bernadottego po twarzy podobnej do ptaka drapieżnego.

— Całkiem słusznie — odpowiedział marszałek dworu cesarskiego z uśmiechem. — A ten z karkiem, jak u byka, to Rapp. Rozmawia właśnie z Junotem; jest to ten przystojny chłopiec z czarnymi bokobrodami. Ci biedni żołnierze nie czują się tu swobodnie.

— A to dlaczego?

— Są wszyscy niskiego pochodzenia. To wytworne towarzystwo i jego dworskie manjery niepokoją ich bardzo, aniżeli wszystkie niebezpieczeństwa na polu bitwy.

Gdy wśród bitwy pochwa od szabli uderza im o zabłoczone cholewy, czują się w swoim żywiole. Ale tu, na posadzce salonu, stać całemi godzinami z kapeluszem pod pachą albo plątać się ostrogami w ogony sukien damskich, jest dla nich prawdziwą męczarnią. A jeszcze większą brać udział w rozmowach o malowidłach Dawida albo operach Passaniella. Nie wolno im nawet kłać głośno, aczkolwiek cesarz sam w tym kierunku nie zadaje sobie żadnego przymusu. Na wojnie mają być żołnierzami, na dworze zaś dworakami, tak pragnie Napoleon; to jest jednak nad ich siły; biedacy zawsze i wszędzie zostają żołnierzami. Spójrzaj pan oto na Rappa z jego licznemi ranami, jak usiłuje napróżno zabawić damy swojemi dowcipami. A jak tamta blondynka ucieka przed nim i szuka opieki u swej matki. Byłem tego pewny. Musiał widoocznie znów jakiś żart powiedzieć, któryby był raczej na miejscu wobec jakiejś markietanki albo w kordegardzie, aniżeli w salonie cesarskim. A teraz stoi, drapie się w głowę i nie rozumie, czem tę piękną dziewczynę obraził.

— Kto jest ta piękna dama w białej sukni, z diademem brylantów we włosach? — zapytałem.

— To Karolina Murat, siostra cesarza. Jest wprawdzie piękna, ale nie ma takiego uroku, jak jej siostra Marja, którą pan tam widzisz, stojącą w kącie. A czy zna pan tę panią z czarnemi oczyma, która z nią właśnie rozmawia?... To matka Napoleona, nadzwyczajna kobieta, odznaczająca się wielką inteligencją. Rozumna i dzielna, budzi ogólny szacunek. Po niej odziedziczyły wszystkie jej dzieci tę niezwykłą energję. Żyje dziś w Paryżu tak samo oszczędnie, jak niegdyś, gdy była w Korsyce żoną właściciela dobrej posiadłości ziemskiej. Jest zawsze na to przygotowana, że ten blask i przepych, który ją teraz otacza, pewnego pięknego poranku

rozplynie się w nicłość. Wypowiada te swoje przewidywania bez ogródek.

— To mówi cesarz o tych złowrogich przeczuciach matki?

— Czasem się gniewa, to znów się śmieje. No i cóż panie marszałku Murat, kiedy będziemy galopowali po plantacjach chmielowych księcia Kent?

Sławny generał stanął przed nami i uściskał dłoń panu de Caulaincourt. Niktby nie był poznał po nim syna oberżysty. Jego wysoka, majestatyczna postać, wytworna twarz i wielkie, piękne oczy, patrzące z wyrazem dumy, obudziłyby podziw w każdym towarzystwie. Kędzierzawe włosy i pełne karminowe usta dopełniały męskiej piękności młodego marszałka, nadając obliczu jego piękno indywidualności i energii, bez którego rysy twarzy, zbyt regularne, wydają się bezduszne.

— Teren ten ma być bardzo lichej dla kawalerji — rzekł. — Same płoty i rowy. Drogi są wprawdzie dość dobre, ale pola wprost niemożliwe. Spodziewam się jednak, że wyruszymy niedługo, panie de Caulaincourt, inaczej nasi żołnierze przemienią się wszyscy w ogrodników. Już dzisiaj troszczą się więcej o łopaty i konewki do polewania kwiatów, aniżeli o swoje szable i konie. Staną się wnet tak ociężały, jak worki z ołowiem i nie potrafią wyskoczyć na siodło.

— Słyszę, że armja ma jutro wsiadać na okręty.

— Ale wkrótce znów z nich wysiądzie i to na naszym wybrzeżu. Pan wie o tem tak samo dobrze, jak ja, panie de Laval. Dopóki Villeneuve nie rozpedzi floty angielskiej na wszystkie cztery strony, nie możemy w Anglji wylądować.

— Constant opowiada, że Napoleon dziś rano, ubierając się, nieustannie gwizdał naszą starą piosnkę

wojenną „Malborough s'eu va-t-en guerre“. To ma oznaczać, że wkrótce przyjdzie do starcia.

— To bardzo pięknie ze strony Constanta, że nam o tem doniósł. Niestety, nie wierzę, aby uch o jego mogło odróżnić melodię pieśni „Malborough“ od „Marsyljanki“... Ale oto cesarzowa. Jak uroczu dzisiaj wygląda!

Józefina weszła do salonu, w towarzystwie kilku dam dworu; wszyscy powstali z miejsc swoich.

Miała na sobie różową suknię tiulową, usianą srebrnymi gwiazdami. Była to tualeta bardzo wpadająca w oczy, nieco teatralna, ale cesarzowa wyglądała w niej cudownie, poruszała się z wielkim wdziękiem i majestatem. We włosach błyszczała agrała djamentowa, kołysząc się za każdym jej krokiem.

Nikt nie umiał prowadzić rozmowy tak swobodnie i naturalnie, jak ona. Po jej miłym uśmiechu można było poznać, że jest w wyborzym humorze i każdy czuł, że mu się czoło rozjaśnia w jej pobliżu.

— Jaka to miła, niezrównana kobieta! — wykrzyknąłem. — Nie można się oprzeć temu, aby jej nie kochać.

Caulaincourt obejrzał się dokoła, aby się przekonać, czy Murat go nie słyszy.

— Tak, to prawda... Tylko rodziny męża nie może sobie zjednać, mimo swej dobroci i swego uroku — rzekł półgłosem. — Spójrz pan na te ponure miny sióstr cesarza.

Byłem rzeczywiście oburzony, widząc te nienawistne spojrzenia, jakimi owe piękne kobiety ścigały cesarzową, przechadzającą się po salonie. Szeptaly coś do siebie i uśmiechały się złośliwie i szydlerczo. Potem zwróciła się Karolina do matki, która za nią siedziała z pogardą i dumą wztuszyła głową.

— One myślą, że Napoleon należy tylko do nich i nikt zresztą nie ma do niego prawa — mówił dalej Caulaincourt. — Nie mogą jej nadto wybaczyć, że jest najjaśniejsza panią, one zaś same mają tylko tytuł „cesarskiej wysokości”. Nienawidzą jej wszyscy, Józef, Łucjan i jak się tam jeszcze nazywają. Przy koronacji nie chciały nosić trenu jej sukni, aż Napoleon sam musiał się w to wmieszać. Ach, kochany panie de Laval, ci ludzie mają wszyscy prawdziwą krew korsykańską, niedobrze jest z nimi zadzierać.

Józefina zdawała się nie zwracać uwagi na nienawiść swych bratowych. Nie zważając na ich złośliwe spojrzenia, krążyła swobodnie po salonie, witała się z gośćmi i miała dla każdego miły uśmiech i uprzejme słowo. Obok niej szedł młody człowiek, wysokiego wzrostu, prawdziwy typ żołnierza, z twarzą ogorzalą i potężnymi wąsami. Od czasu do czasu cesarzowa brała go pod rękę ruchem pieściotliwym.

— To jej syn, Eugenjusz de Beauharnais — rzekł mój towarzysz.

— Jej syn? — wykrzyknąłem zdziwiony, albowiem wyglądał starszy od swej matki.

Caulaincourt uśmiechnął się, widząc moje zdziwienie.

— Była bardzo młoda, gdy wyszła za generała Beauharnais. Potem siedziała spokojnie w domu, gdy syn jej piekł się na skwarne słońcu Egiptu i Syrii; to wystarczy w zupełności, aby wyrównać różnicę wieku. Spójrz na tego pięknego mężczyznę, z twarzą gładko ogoloną, który właśnie całuje cesarzową w rękę. To Talma, sławny artysta dramatyczny. Dawno kiedyś dopomógł Napoleonowi, gdy tenże jeszcze był konsulem, wybrnąć z kłopotów pieniężnych, a cesarz teraz nie zapomina o tem, by spłacać dawne długi konsula. W ten



sami sposób i Talleyrand doszedł teraz do władzy. Pożyczył Napoleonowi przed wyprawą do Egiptu sto tysięcy franków, a tej przysługi cesarz nie zapomni mu nigdy, jakkolwiek mu nie ufa. Jest to już taki jego rys charakteru i nigdy w życiu nie opuścił przyjaciela, nigdy nie przebaczył wrogowi. Kto mu raz kiedykolwiek wyświadczył przysługę, może liczyć śmiało na jego wdzięczność; wszystko uchodzi mu płazem. Jeden z jego stangretów naprzykład jest stale pijany; nigdy go jednak nie połaje, ponieważ to jeden z jego starych wiarusów, któremu sam przypiął pod Marengo medal waleczności.

De Caulaincourt oddalił się odemnie, aby przywitać się z jedną z dam, myśli moje wróciły zaś znów do tego niezwykłego człowieka, który mi się raz wydawał bohaterem w majestacie Cezara, to znów pieszczonem, rozkapryszonem dzieckiem. Zaiste dziwny człowiek: dobre i złe rysy jego charakteru mieniały się tak szybko, że każde nowe spostrzeżenie niszczyło zupełnie dotychczasowy obraz jego i zmuszało do nowych sądów o jego osobie. To jedno było mi jasne, że był dla Francji koniecznością i że musiało się iść za jego sztandarem, aby służyć ojczyźnie. Czy było to jednak zaszczytem, wstępować do niego w służbę, czy też była to raczej pokuta za dawne grzechy? Czy był on godzien miłości i szacunku, czy też słuchało go się jedynie z tego powodu, aby uchronić Francję przed upadkiem? Są to w istocie pytania, na które bardzo trudno znaleźć odpowiedź; być może, że niejeden z nas nigdy nie będzie miał w tym względzie pewności.

Więzy etykiety znikły teraz w zupełności i nawet żołnierze czuli się swobodnie w tem wytwornem towarzystwie. Wielu oficerów i dostojników dworskich udało się do przyległych buduarów z prawej i lewej strony, gdzie stały stoliki do kart. Zasiadli przy nich do wista

i do innych gier. Mnie zaś sprawiało największą przyjemność przypatrywać się tym ludziom, tym pięknym i strojnym paniom i budzącym zajęcie mężczyznom, których nazwiska, poprzednim pokoleniom zupełnie nieznanne, brzmiały teraz dalekiem echem po całym świecie.

Tuż przedemną stali Ney, Lannes i Murat, rozmawiali z sobą i śmiali się tak głośno i swobodnie, jak gdyby byli w obozie, w swoich namiotach. Dziś wiemy, jaki niestety tragiczny koniec spotkał tych wielkich wojowników; dwóch z nich zostało straconych, trzeci poległ w bitwie; wtedy jednak twarze ich jaśniały radością i weselem, którego nie mącił żaden cień złowieszczy.

Obok mnie stał oparty o ścianę jakiś mały, milczący człowieczek, w średnim wieku. Zdawał się czuć nieswojo w tem wytwornem towarzystwie. Żal mi się zrobiło biedaka samotnego i opuszczonego, przystąpiłem tedy do niego i przemówiłem parę słów, co mu sprawiło widoczną przyjemność. Odpowiedział mi bardzo uprzejmie, ale ohydny językiem francuskim.

— Czy może rozumie pan nieco po angielsku? — zapytał mnie. — Nie znalazłem tu w całym towarzystwie nikogo któryby mówił tym językiem.

— Naturalnie — odrzekłem. — Mówię bardzo dobrze po angielsku, albowiem spędziłem całą młodość w Anglii. Czy pan może Anglik? O ile wiem, naszym sąsiadom z poza La Manche nie wolno, od czasu złamania traktatu w Amiens, przebywać swobodnie we Francji.

— Nie — odpowiedział. — Jestem Amerykaninem. Nazywam się Robert Fulton. Przybywam na te przyjęcia jedynie w tym celu, aby się przypomnieć cesarzowi. Przedstawiłem mu kilka moich wynalazków, które spowodują niezawodnie wielki przewrót w woj-

nach morskich i przeistoczą w zupełności żeglugę na morzu.

Nie mając chwilowo nic lepszego do roboty, ja-  
łem wypytywać tego dziwnego Amerykanina o jego  
wynałazki i doszedłem wkrótce do przekonania, że mam  
do czynienia z warjatem. Powziął on tę szaloną myśl  
zbudowania okrętu, któryby mógł płynąć przeciw wia-  
trom i przeciw prądowi wody, zapomocą węgla i drzewa,  
któreby palono we wnętrzu okrętu. Prawił mi jeszcze  
inne niedorzeczności o beczkach pływających po morzu,  
napęcznionych prochem, któreby mogły, przez samo ze-  
tknięcie się, wysadzić w powietrze największy okręt  
wojenny.

Z politowaniem przysłuchiwałem się tym śmie-  
sznym wywodom i nie przypuszczałem wtedy nawet,  
że wpływ tych epokowych wynalazków na dzieje świata  
zaćmi niegdyś świetne czyny obecnych wojowników  
i dyplomatów, nie wyłączając nawet samego Napoleona.

Nagle umilkły śmiechy i rozmowy w sali, dał się  
słyszeć cichy szept. Zapanowało jakieś przykre uczucie,  
jak gdy między gromadkę wesoło bawiących się i swa-  
wolących dzieci wchodzi jakiś starszy człowiek, z po-  
sępnem i chmurnem obliczem. Kobiety i mężczyźni  
zerwali się ze swych miejsc. Na wszystkich twarzach  
widniało napięcie pełne oczekiwania. Głucha cisza  
zaległa salę.

Na progu ukazał się Napoleon w zielonym sur-  
ducie uniformowym; na białej kamizelce widniała czer-  
wona wstęga. Twarz jego była blada jak zwykle.

Gdy cesarz się zjawiał na przyjęciach albo przy  
tym podobnych sposobnościach, nikt nie mógł nigdy  
z góry wiedzieć, jak się będzie tego dnia zachowywał.  
Raz był najweselszy i najbardziej rozmowny ze wszy-  
stkich — zdarzało się to częściej w owym czasie, gdy

był tylko jeszcze konsulem, aniżeli później, gdy został cesarzem — innym razem znów był podobny do dzika rozjuszonego, napadał na każdego, który się mu właśnie nawinał pod rękę i obrażał go jakąś uwagą gryzącą i pogardliwą. Zwykle jednak obierał pośrednią drogę między tymi dwoma krańcowymi stanami; był milczący, markotny, zachmurzony, tylko od czasu do czasu czynił jakąś uszczypliwą uwagę. W takich dniach wszyscy oddychali z uczuciem ulgi, gdy opuszczał towarzystwo.

Dziś wydawał się jeszcze niezupełnie uspokojony po tej scenie zazdrości, jaką mu wyprawiała cesarzowa, co można było poznać po chmurnem jego spojrzeniu i brwiach zmarszczonych.

Stałem przypadkiem w pobliżu wejścia i dlatego wpadłem mu pierwszy w oko. Zawezwał mnie do siebie głosem rozkazującym:

— Zbliź się pan tu, panie de Laval!

Położył mi rękę na ramieniu i zwrócił się do wysokiego i chudego mężczyzny, na którego zółtej twarzy widniał wyraz uroczystej powagi.

— Chodź pan tu, panie Caribacéres. Przedstawię panu pana Ludwika de Laval, syna hrabiego de Laval, który walczył w Quiberon w roku 1795. Pan twierdziłeś zawsze, że stare rodziny francuskie osiedlą się w Anglii i że nie powrócą nigdy do Francji, tak jak niegdyś hugenoci nie wrócili do ojczyzny. Ale, jak zawsze, i tym razem pomyliłeś się pan, gdyż oto potomek tej starożytnej rodziny ofiarowuje mi swoje usługi. Panie de Laval, mianuję pana moim adjutantem przybocznym; będziesz mi pan odtąd wszędzie towarzyszył.

Byłbym mógł rzeczywiście być dumnym z powodu mego szybkiego awansu, gdybym miał to wyniesienie zawdzięczać moim osobistym przymiotom; wiedziałem jednak dobrze, że ma ono jedynie na celu zachęcić in-

ných emigrantów do powrotu do ojczyzny. Miałem sumienie czyste; tylko miłość ojczyzny, a nie żadne niskie i egoistyczne pobudki skłoniły mnie do tego postępowania. A jednak czułem się zawstydzony i upokorzony, gdy szedłem po sali tuż za Napoleonem. Zdawało mi się, że jestem jeńcem, który, przykuty do rydwanu zwycięzcy musi mu wszędzie towarzyszyć.

Niezadowolenie i zawstydzienie moje wzrastało jeszcze wskutek oburzającego zachowywania się Napoleona. Mój nowy władca był nadzwyczaj brutalny, nie tylko dla swoich dworzan, ale nawet dla kobiet. Jak sam mówił, czuł się zawsze i wszędzie samowładnym panem, sądził tedy, że jest wolny od obowiązków grzeczności wobec płci słabej, do których się poczuli inni panujący. Ludwik XIV nie obawiał się poniżyć przed kobietą, którą kochał; Napoleon zaś nie zgodził się na to nigdy, uważał bowiem takie poniżenie, choćby przemijające i konwencjonalne, za uchybienie wobec swej absolutnej władzy. Galanterja należała do owych towarzyskich zwyczajów, których potrzeby żadną miarą nie uznawał.

Wobec swoich żołnierzy był uprzejmy i miał dla każdego z nich w pogotowiu skiniecie głowy lub jakiś łaskawy żart. Także do sióstr swoich przemówił kilka słów, ale tonem szorstkim, jakim wachmistrz przemawia do rekrutów. Wobec cesarzowej jednak dał swobodny upust swemu złemu humorowi i wylał na nią całą żołą swoją.

— Wiesz, Józefino, że nie nie lubię tej agrafy w twoich włosach — rzekł do niej kwaśnym tonem. — Kobiety nie myślą o niczem innym, jak tylko o swoich strojach, a nawet i w tym względzie brak im dobrego smaku. Gdy jeszcze raz zobaczę u ciebie coś podobnego, wizuę je w ogień, jak niedawno temu twój szal.

— Boże mój, wszak pragnę ci dogodzić — odpowiedziała cesarzowa łagodnie. — Skoro ta agrała ci się nie podoba, już jej więcej nie włożę.

Obecni rozstąpili się z obydwóch stron, by utworzyć szpaler dla cesarza. Napoleon posunął się naprzód wśród niskich ukłonów, poczem stanął i zwrócił się znów do cesarzowej:

— Mówiłem ci już nieraz, Józefina że nie mogę znieść kobiet otyłych.

— Pamiętam o tem zawsze, Napoleonie.

— Dlaczegoż więc jest tu obecna pani de Chevreux?

— Myślałam, że nie jest zanadto otyła.

— W moich oczach tak. Widok jej jest mi wstrętny. Któż to taki?

Stanął przed młodą damą w niebieskiej sukni i przesywał ją spojrzeniami. Zmieszała się wobec cesarza i kolana omal się pod nią nie ugięły.

— To panna de Bergerot — rzekła cesarzowa.

— Wiele pani ma lat?

— Dwadzieścia trzy, najjaśniejszy panie.

— Musisz pani poszukać sobie męża. W pani wieku już czas najwyższy. Dlaczego pani jeszcze niezamężna?

Biedna dziewczyna strwożona i zawstydzona nie mogła słowa przemówić. Cesarzowa ujęła się tedy za nią i odpowiedziała z uśmiechem, że byłoby stosowniej zwrócić się z tem pytaniem do obecnych młodych panów.

— A tak, w tem leży trudność — zauważył Napoleon. — Musimy tedy rozejrzeć się za mężem dla pani.

Obrócił się i spojrzał na mnie pytająco. Strucchlałem.

— Musimy przecież i dla pana szukać żony, panie de Laval... Zresztą zobaczymy...

Potem zwrócił się do jakiegoś pana czarno ubranego, o wyglądzie bardzo wytwornym i zapytał.

— Jak się pan nazywa?

— Nazywam się Grétrý i jestem muzykiem, najjaśniejszy panie.

— A, prawda, przypominam sobie. Widziałem pana już mnóstwo razy i nie mogę sobie zapamiętać pańskiego nazwiska. — A kto pan jesteś?

— Nazywam Józef Chenier.

— A tak, prawda. Widziałem pańską tragedję. Tytułu nie pamiętam, wiem tylko, że była bardzo licha, obrzydliwa... Pan jeszcze coś innego napisał?

— Tak jest, najjaśniejszy panie, tom poezyj. Pozwoliłes łaskawie, bym ci go ofiarował.

— Być może, ale nie miałem jeszcze czasu czytać ich. Jaka szkoda, że we Francji niema teraz poetów. Czyny bohaterskie ostatnich lat dałyby obfity materiał, godny Homera albo Wergiliusza. Królestwa mogę tworzyć, ale nie mogę tworzyć poetów, kogo uważasz pan za największego francuskiego pisarza?

— Racine'a, najjaśniejszy panie.

— Głupis wacpan. Corneille był o wiele większy. Rymy i stopy wierszowe to tylko puste dźwięki, ale zachwycają mnie myśli poetyczne i duch filozoficzny, który unosi się nad całem dziełem. Corneille to stanowczo największy poeta francuski. Gdyby miał być to szczęście żyć za moich czasów, zrobiłbym go moim pierwszym ministrem. Podziwiam jego rozum, znajomość ludzi i głębokość uczucia. Czy pisze pan obecnie coś nowego?

— Tak jest. Piszę właśnie tragedję o Henryku IV. najjaśniejszy panie,

— To nie uchodzi. Na to nie mogę pozwolić. Epoka ta nie jest jeszcze tak bardzo odległa od naszych czasów; nie mogę tego ścierpieć, aby na scenie robiono politykę. Pisz pan dramat o Aleksandrze Wielkim. — Jak pan się nazywa?

Pytanie to było zwrócone do tego samego muzyka, z którym cesarz już mówił przed chwilą,

— Najjaśniejszy panie, nazywam się jeszcze zawsze Grétry i jestem muzykiem — odpowiedział tenże półgłosem.

W słowach tych brzmiał gdyby lekki wyrzut. Cesarz zarumienił się i przygryzł wargi; nie jednak odpowiedział i przystąpił do kilku pań, które stały w grupie, obok drzwi wiodących do pokoju, gdzie grano w karty.

— Moja pani — rzekł do jednej z nich — spodziewam się, że pani na przyszłość będzie się lepiej prowadziła. Donoszą mi z Paryża, że w całej dzielnicy Saint-Germain awantury pani wywołują powszechne zgorzsenie i że krążą o nich różne facecje i historyjki.

— Proszę cię, najjaśniejszy panie, abyś raczył jaśniej się tłumaczyć — odpowiedział zagadnięta z żywością.

— Łączą nazwisko pani z osobą pułkownika Lasalle.

— To oszczerstwo, najjaśniejszy panie.

— Być może, ale przecież jest rzeczą dziwną, że właśnie przeciw pani są te wszystkie oszczerstwa zwrócone. Pod tym względem nie masz pani szczęścia. Byłaś pani także zawikłana w skandal z adjutantem generała Rappa. To musi się raz skończyć... a jak pani się nazywa? — zapytał, zwracając się do następującej damy?

— Panna de Perigord.

— Więc pani?



— Dwadzieścia lat.

— Jesteś pani okropnie chuda i masz czerwone łokcie. Pani Boismaison, jak długo będzie pani jeszcze nosiła tę suknię popielatą i ten czerwony turban, wysadzany brylantami?

— Dziś włożyłam po raz pierwszy tę tualę, najjaśniejszy panie.

— W takim razie miałaś pani niedawno temu zupełnie podobną. Proszę jej więcej nie wkładać na siebie. Nie chcę jej znów widzieć. — Panie de Rémusat, wyznaczyłem panu wysoką rentę roczną. Dlaczego pan nie wydajesz tych pieniędzy?

— Ani grosz mi się z nich nie zostaje, najjaśniejszy panie.

— To nieprawda. Zawiadomiono mnie, że sprzedałeś swój ekwipaż. Nie daję panu pieniędzy po to, abyś je składał w banku, lecz abyś miał możność prowadzić eleganckie życie i godnie mnie reprezentować. Spraw pan sobie napowrót powóz i konie, jeszcze zanim powrócę do Paryża. — Junot, z pana wielki hultaj, znów grałeś w karty i przegrałeś.

— Karta mi nie szła, najjaśniejszy panie — odpowiedział generał.

— Jesteś pan jak dziecko i nie znasz wartości pieniędzy. Ile wynoszą pańskie długi karciane?

— Czterdzieści tysięcy franków, najjaśniejszy panie.

— A więc dobrze, idź pan do Lebruna, niech zapłaci za pana.

I dodał półgłosem:

Wszak byłeś pan ze mną pod Toulonem.

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie, najjaśniejszy panie.

— Tak, tak, pan i Rapp, wy jesteście obaj naj-

bardziej rozpieszczonemi dziećmi armji. Ale to jedno wypraszam sobie, byś się pan więcej nie dotknął karty. Wara od kart! — Pani Picard, wiesz pani, że nie lubię sukien wyciętych, nawet u kobiet pięknych, a u pani znajduję to wprost ohydne. A teraz, Józefino, wracam do mego pokoju. Za pół godziny możesz przyjść do mnie i będziesz mi czytała, abym usnął. Jestem dziś nieco znużony i przybyłem tu tylko dlatego, ponieważ ci przyrzekłem pomagać w przyjęciu twych gości. Pan może tu zostać, panie de Laval; w razie potrzeby, przyślę ci me rozkazy.

Wszyscy odetchnęli z uczuciem ulgi, gdy drzwi zamknęły się za Napoleonem. Znow zapanowała ożywiona rozmowa, gracze wrócili do kart i zadzwoniły żetony, tak jak przedtem, zanim cesarz przybył pomagać swej dostojnej małżonce w przyjmowaniu i bawieniu gości.

## XVI.

### BIBLIOTEKA W GROBOIS.

Potężna postać wielkiego cesarza usunęła wszystko inne w mojem opowiadaniu na drugi plan, zaćmiła wszystko inne, tak jak wchodzące słońce, wobec którego gasną wszystkie gwiazdy. Mogłoby się prawie wydawać, że użyłem mego opowiadania jedynie jako pozoru, aby opisać pierwsze i najsilniejsze wrażenie, jakie ten tytan na mnie wywarł. Póki żył, nie miał rywala na świecie, po śmierci nie ma ich w pamięci ludzkiej. Wobec jego sławnych czynów, wszystkie inne wypadki zdają się być zabawkami Pigmejków.

Teraz jednak przystępuję do opowiadania dalszego

ciągu moich przygód, które także mogą obudzić zajęcie. Ja przynajmniej nie zapomnę nigdy w życiu owego szalonego pościgu za osobą Toussaca po tem samotnem i pustem trzęsawisku.

Znów upłynęły dwa dni po przyjęciu u cesarzowej i jeszcze tylko jednego dnia brakowało do upływu terminu, który cesarz zakreślił Sybilli do pojmania Toussaca i do ocalenia jej kochanka. Mówiąc otwarcie, nie zależało mi osobiście wiele na uwolnieniu tego nędznego tchórza, którego gładka twarz była tylko jak gdyby maską, kryjącą jego nikczemną duszę. Byłem jednak szczerze życzliwy tej dzielnej i poczciwej dziewczynie, która go tak tkliwie kochała i życzyłem jej z całego serca, by się spełniło jej gorące pragnienie.

To też doznałem silnego wrażenia, gdy Sybilla przed wieczorem weszła do mego skromnego mieszkania w Boulogne, w towarzystwie generała Savary'ego. Po jej zarumienionych policzkach i trjufującym wyrazie oczu poznałem, że się czuje pewna pomyślnego wyniku swych poszukiwań.

— No i cóż, kuzynie Ludwiku, czy nie mówiłam ci prawdy? Znalazłam ślad jego i przychodzę prosto do ciebie, by cię prosić o przyrzeczoną pomoc.

— Panna Bernac żąda stanowczo, abyśmy nie brali żołnierzy do chwytania tego zbrodniarza — rzekł generał Savary, wznosząc ramionami.

— Nie, nie, pod żadnym warunkiem — zawołała młoda dziewczyna tonem rozkazującym. — Musimy tu działać przezornie i chytrze. Toussac spostrzegłby żołnierzy zdaleka i uciekłby przed nimi do kryjówki, którejby nikt nie mógł potem znaleźć. Nie mogę się na to narazić, gdyż czas nagli.

— Słowo daję, ma pani słuszność — mruknął Savary. — W takich wypadkach nawet czterdziestu

żołnierzy nie więcej znaczy od trzech ludzi inteligentnych i energicznych. W żadnym razie nie bym wziął z sobą więcej ludzi. Wszak, jeżeli się nie mylę, jeszcze ktoś przyrzekł pani swoją pomoc, porucnik...

— Porucznik Gérard z pułku huzarów Bércheńny...

— Wybornie. Niema dzielniejszego oficera w tej armji, aniżeli Stefan Gérard. Nas trzech, panie de Laval, wystarczy w zupełności do tego przedsięwzięcia.

— Panie generale, jestem na pańskie rozkazy.

— A teraz niech nam pani łaskawie powie, gdzie się Toussac ukrywa.

— Jest ukryty w Czerwonym Młynie.

— To rzecz niemożliwa. Przeszukaliśmy tam wszystko.

— Kiedy byliście tam?

— Przed dwoma dniami.

— W takim razie przybył tam później dopiero. Znam pewną dziewczynę, która się nazywa Janina Portal i jest jego kochanką. Od sześciu dni śledzę ją nieustannie. gdyż na tej miłości oparłam mój plan. Otóż wczoraj weszła ukradkiem do Czerwonego Młyna z koszem pełnym wina i owoców. Dziś przez całe przedpołudnie chodziła po wzgórzach i przeglądała całą okolicę, blednąc z trwogi za każdym razem, gdy ujrzała błysk kaski lub bagnetu. Jestem tak dalece pewna, że Toussac ukrywa się w Czerwonym Młynie, jak gdybym go tam sama widziała.

— A zatem nie mamy i chwili do stracenia — zawołał Savary. — Jeżeli w pobliżu znajduje się jakaś łódź u wybrzeża, gotów z nastaniem nocy umknąć do Anglii. Z Czerwonego Młyna można widzieć całą okolicę, panna Bernac ma zatem słuszość, przypuszczając, że większa ilość żołnierzy nie uszlaby jego oka i skłoniłaby go do natychmiastowej ucieczki.

— Co mamy zatem czynić, panie generale? —  
zapytałem.

— Za godzinę mamy się zejść na stronie południowej obozu. Pan pozostaniesz w tem samem ubraniu, panie de Laval; będą pana zatem uważali za podróżującego szlachcica. Ja znajdę Gérarda i uprzedzę go, aby się także w jakiś sposób przebrał. Nie zapomnij pan pistoletów, gdyż Toussac będzie się niezawodnie bronił mężnie, jak lew. Konia dla pana przyprowadzimy z sobą.

W godzinę później udałem się na miejsce, oznaczone przez Savary'ego. Słońce zachodziło krwawo i posępnie i rzucało czerwony swój blask na białe ściany kredowe francuskiego wybrzeża. Nie widziałem nigdzie śladu moich towarzyszy. W pobliżu znajdował się tylko jakiś wysoki mężczyzna, wyglądają na wieśniaka, w szerokim surducie z niebieskiego sukna, z mosiężnymi guzikami i mło y wysmukły parobek. Wieśniak schylił się właśnie, aby ściągnąć popręgi na wspaniałym karym rumaku, parobek zaś stał nieco z boku i trzymał dwa inne konie za cugle. Teraz dopiero wpadło mi w oczy, że jeden z tych koni był zupełnie podobny do tego, który mnie zaniósł z zamku Grobois do obozu, a zaraz potem poznałem piękne rysy parobka, uśmiechającego się chytrze i śniadą twarz Savary'ego pod szerokimi krysami kapelusza wieśniaczego.

— W ten sposób nie zwrócimy na siebie niczyjej uwagi — rzekł generał. — Nie stój pan tak wyprostowany, panie Gérard; jako parobek wiejski musi się pan nieco garbić. A teraz dalej w drogę, póki jeszcze nie jest za późno.

Przebyłem już wiele niebezpiecznych przygód w życiu mojem, ale żadna z nich nie może iść w porównanie z tym szalonym galopem owego dnia. Tam, z tamtej strony kanału, widniała niewyraźna linja wy-

brzeża angielskiego i budziła we mnie wspomnienia zacisznych uroczych wiosek, w których brzęczały roje pszczół i rozlegały się dźwięki dzwonów niedzielnych. Stanęło mi przed oczyma duszy miasto Ashford ze swemi długimi białymi ulicami, dom z czerwonej cegły o dachach śpiczastych i z gospodą „Pod zielonym człowiekiem“ której znak kołysał się ze zgrzytem na żelaznym pręcie.

Dotychczas spędziłem całe życie w tem spokojnem i zacisznem środowisku, a teraz siedziałem na ognistym rumaku, z pistoletami u siodła i miałem brać udział w ujęciu groźnego spiskowca, który zaprzysiągł śmierć wielkiemu cesarzowi. Szło tu o śmierć i życie i cała moja przyszłość zależała od tego, jak wypadnie to przedsięwzięcie; nic dziwnego przeto, że ze wszystkich trudów i niebezpieczeństw w mego życia owa szalona jazda po tem trzęsawisku i wśród tych pagórków najsilniej mi utkwiała w pamięci. W starszym wieku człowiek obojętnieje na wszystko na świecie, na rozkosze i cierpienia własnego skromnego ogniska domowego. Tylko młodość może pić pełną piersią rozkosz, budzącą dreszcz grozy, tak niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Wkrótce mineliśmy wzgórze opasujące Boulogne i jechaliśmy dalej, na krańcu rozległego trzęsawiska, którego grozę niedawno tak dokładnie poznałem. Potem skręciliśmy ku lądowi i odbywaliśmy dalej drogę po równinach porośłych paprocią i krzakami jeżynowemi, aż ujrzelśmy po lewej stronie zamek Grobois. Teraz zwróciliśmy się znów, pod kierownictwem Savary'ego na prawo, znaleźliśmy tam resztki dawnej drogi, spuściliśmy się wąwozem między wzgórzami i nieliśmy przed sobą stary wiatrak. Rysował się przed nami cały czarny, na tle nieba wieczornego, tylko górne okna błyszcząły, czerwone jak świeże krople krwi, w promieniach zachodzącego słońca,

Obok bramy stał wóz naładowany workami ze zbożem; koń wyprzężony pał się w małej odległości. Na jednym ze wzgórz ujrzeliśmy kobietę, która patrzyła z wycieżeniem na wszystkie strony.

— Widzisz pan — rzekł do mnie Savary żywo. — Oto straż, która czuwa nad jego bezpieczeństwem. Bezwarunkowo ukrywa się w tym młynie. Posuwajmy się dalej tym gościńcem, który wije się za pagórkiem; w ten sposób pozostaniemy niespostrzeżeni, aż będziemy tuż koło bramy.

— Czy nie byłoby lepiej wprost popędzić ku domowi? — zapytałem.

— Teren jest tu bardzo niekorzystny. Same rowy i pagórki; tamta droga jest dłuższa, ale pewniejsza. Dopóki zostaniemy na gościńcu, nie będzie nas można odróżnić od zwykłych podróżnych.

Jechaliśmy tedy powoli gościńcem i staraliśmy się wyglądać jak najniepokazniej, gdy wtem rozległ się krzyk ostry, aż podskoczyliśmy na siodłach.

Kobieta, stojąca na pagórku na czatach, dojrzała nas i obudziliśmy jej podejrzenie. Wojskowa postawa moich towarzyszków zmieniła prawdopodobnie podejrzenie jej w pewność. Zerwała szal, który okrywał jej plecy i jęła nim wywijać ponad głową, jak szalona. Savary uderzył konia ostrogami i popędził w kierunku ku młynowi, my tuż za nim.

Był najwyższy czas. Byliśmy jeszcze może sto kroków od młyna oddaleni, gdy wtem jakiś człowiek wyskoczył z bramy i rozglądał się z niepokojem na wszystkie strony. Nie było wątpliwości. Duża broda najeżona, szerokie piersi i barki, cała ta postawa atlety, to nie mógł być nikt inny, jak tylko Toussac. O uczucie nie mógł już myśleć; wpadł z powrotem do

młyna i z głośnym stukiem zatrzasnął za sobą ciężkie wrota.

— Okno, Gérard, okno — krzyknął Savary.

Młody huzar zsiadł co rychlej z konia i skoczył przez zamknięte okna do parterowego pokoju budynku, tak jak błazen cyrkowy skacze przez trzymane przed nim obręcze. W chwilę później otworzył nam bramę; krew spływała mu z rąk i twarzy.

— Uciekł na górę po schodach — rzekł do nas.

— W takim razie mamy czas, nie może przed nami uciec — odpowiedział Savary i zsiadłszy z naszych wierzchołków. — Wziąłeś pan przeszkodę wyśmienicie, panie Gérard. Spodziewam się, że nie jesteś pan ciężko ranny?

— Podrapałem się tylko trochę, panie generale, to drobnostka.

— W takim razie weź pan pistolety w rękę. Gdzie młynarz?

— Tu ja jestem — zawołał szorstko niski i krępy mężczyzna, który stał w sieniach. — Jakiem prawem wpadacie do mego młyna, jak złodzieje i rozbójnicy? Siedzę spokojnie, czytam gazetę i palę fajkę, jak to zwykle czynię wieczorem; nagle wpada ktoś przez okno, obsypuje mnie drzazgami szkła i otwiera bramę swoim kamratom. Mam dość kłopotów z jednym lokatorem i nie potrzebuję doprawdy jeszcze trzech innych.

— Ten człowiek, który u was przebywa, jest niebezpiecznym spiskowcem i nazywa się Toussac — krzyknął ostro Savary.

— Toussac — zawołał młynarz. — Broń Boże! Mój lokator nazywa się Maurycy i jest handlarzem jedwabiu.



— To właśnie ten sam, którego szukamy. Przybywamy tu w imieniu i na rozkaz cesarza.

Młynarza opuściła odwaga.

— Nie wiem doprawdy, co to za jeden. Ofiarował mi dobrą zapłatę za łóżko, a więcej nie pytałem go o nic. Dziś nie można od każdego lokatora żądać dokumentów. Oczywiście, jeżeli tu idzie o sprawy państwowe, nie mam się do tego wtrącać. To jedno mogę tylko poświadczyć, że do niedawna zachowywał się zupełnie spokojnie; dopiero przed chwilą otrzymał list i odtąd czyni wrażenie szalonego.

— Jaki list? Uważaj, łotrze, tu idzie i o twoją głowę.

— Przyniosła go jakaś kobieta. Więcej nic nie wiem i nie mogę nic powiedzieć. Odtąd rozmawia sam z sobą i zachowuje się jak szalenie. Aż strach przejmuję patrzeć na niego. Poprzysiągł komuś krwawą zemstę, powtarza wciąż, że go zabije... Będę doprawdy rad, gdy go się z domu pozbędę.

— A więc, moi panowie — rzekł Savary, dobywając szabli — konie zostawimy tutaj. Górne piętro wznosi się czterdzieści stóp nad powierzchnią ziemi, tamtędy ucieknie nam. Nasze pistolety wkrótce przyprowadzą go do rozumu.

Wąskie drewniane schody kręte wiodły do małej komórki, która otrzymywała światło jedynie przez szczelinę w murze. Resztki ognia na kominku i poślanie ze słomy zdradzały, że Toussac tu mieszkał. Jego samego nie było widać; musiał się tedy schronić o jeszcze jedno piętro wyżej. Wspinaliśmy się za nim i przybyliśmy do ciężkich drzwi zamkniętych.

— Poddaj się pan, panie Toussac — zawołał Savary —. Jesteś otoczony, wszelka ucieczka jest niemożliwa...

Z wnętrza izby dał się słyszeć śmiech chrapliwy.

— Nie należę do tych, którzy się poddają. Ale gotów jestem zawrzeć z wami układ następujący: Mam jeszcze tej nocy pewną drobną sprawę do załatwienia. Jeżeli mnie zostawicie w spokoju do jutra, przyrzekam wam pod słowem honoru, że jutro sam dobrowolnie stawię się w obozie. Idzie tu o mały dług, który mam jeszcze spłacić. Dziś dopiero dowiedziałem się, czym jestem dłużnikiem.

— Na to nie możemy się zgodzić — odpowiedział Savary.

— Przez to zaoszczędzilibyście sobie wiele przykrości.

— To nie uchodzi, poddaj się pan, gdyż inaczej weźmiemy cię przemocą.

— Nie uda się wam to tak łatwo.

— Nie możesz pan nam się wymknąć. A więc naprzód, towarzysze, wyłamać te drzwi.

Wtem rozległ się odgłos strzału, kula wypadła przez dziurkę od klucza, świsnęła koło naszych uszu i utkwiała w ścianie naprzeciwko.

Rzuciliśmy się teraz z wściekłością na drzwi, które były na szczęście zbutwiałe i nie zdołały powstrzymać naszego naporu. Wkrótce rozsypały się z przerażającym łoskotem. Wpadliśmy do izby, trzymając w rękę broń gotową do strzału — była próżna, Tousac znikł bez śladu.

— Gdzież on jest do diabła! — krzyknął dziko Savary. — To przecież strych, który ma tylko jeden wychód.

Kwadratowy strych ten, na którym znajdowaliśmy się, był próżny, z wyjątkiem kilku leżących dokoła worków ze zbożem. Jedyne okno naprzeciw drzwi było

otwarte; obok niego leżał na ziemi dymiący jeszcze pistolet.

Wyjrzelśmy przez okno na dół i wydaliśmy okrzyk zdziwienia; głęboko w dole, na wozie naładowanym workami, leżał Toussac i oddychał ciężko. Worki piętrzące się na kupie złagodziły siłę upadku; tak tedy, pomimo skoku z tak strasznej wysokości, nic mu się nie stało, tylko gwałtowne wstrząśnienie pozbawiło go oddechu. Gdy usłyszał nasze głosy, spojrział w górę, pogroził nam pięścią z miną wyzywającą, zsunął się z wozu na ziemię i skoczył na konia Savary'ego. Oстрыm galopem popędził przez pola. Strzeliliśmy za nim ja i Gérard, jednak chybiiliśmy, albowiem był już za daleko. Koń jego, podniecony kulami, pędził z szybkością błyskawicy.

Zbiegliśmy po schodach na dół i skoczyliśmy, ja i Gérard, na nasze konie. Zanim jeszcze siedzieliśmy w siodłach, Toussac dostał się już na przeciwległe wzgórze, a odległość, która nas dzieliła, była już tak wielka, że ten olbrzymi człowiek i potężny rumak wydawali nam się jak jakiś drobny przedmiot.

Wszystkie okoliczności sprzyjały jego ucieczce. Zaczynało się już ściemniać, a rozległe trzęsowisko, dokąd nie mogliśmy za nim podążyć, rozciągało się tuż na lewo od niego. Lada chwila mógł skrócić w bok na moczary i zniknąć nam z oczu. On jednak pędził prosto przed siebie i oddalał się coraz bardziej od wybrzeża. Dokąd zdążał właściwie i jakie były jego plany? Gonił, nie zatrzymując się i nie namyślając się, jak człowiek pewny tego, co robi.

Porucznik Gérard i ja byliśmy lżejsi od niego, a konie nasze były równie dobre, jak jego wierzchowiec. Poczynaliśmy się tedy zbliżać do niego. Stawało się widoczne, że dopędzimy go, jeżeli go nie stracimy

z oczu; istniało tylko to jedno niebezpieczeństwo, że skorzysta ze swej znajomości terenu, aby zmylić naszą pogoni. Ile razy droga schodziła na dół lub jakiś pagórek zasłaniał nam widok, traciłem nadzieję i odzyskiwałem ją, gdyśmy go znów widzieli, ukazującego się na pagórku lub na drodze.

I tak w ciągłej obawie, to znów nadziei, pędziliśmy za nim, co koń wyskoczy.

Wtem stało się to, czego już dawno się obawiałem: straciliśmy jego ślady. Był przed nami o kilkaset kroków, gdy wjechał pędem na pagórek pokryty piaskiem i znikł za nim. W kilka sekund później i my dostaliśmy się na to wzgórze. Gęste krzaki jeżynowe zagradzały nam drogę; po naszym zbiegu nie było nigdzie ani śladu.

— Tu na lewo jest droga — wołał Gérard, którego gorąca krew gaskońska kipiła ze wzburzenia. — Musimy się tedy kierować na lewo.

— Zaczekajcie chwilę — odpowiedziałem. — Tu na prawo jest ścieżka. Być może, że on właśnie obrał tę drogę..

— W takim razie jedź pan jedną drogą, a ja sobie pojedę drugą...

— Słuchać tentent konia.

— Tak, oto jego koń.

Dzielny rumak kary Savaryego wypadł z pomiędzy krzaków jeżynowych.

W takim razie siedzi gdzieś ukryty między krzakami.

Zeskoczyliśmy z koni i prowadząc je za cugle, weszliśmy między krzaki. Wkrótce dostaliśmy się na ścieżkę, która wijąc się wężowo, wiodła w dół do głębokiej kopalni, zamkniętej ścianami kredowymi.

— Niema nigdzie ani śladu Toussacal Uciekł

przed nami. To chyba szatan, nie człowiek! — wołał Gérard z rozpaczą.

Ale teraz zaczęło mi się wszystko wyjaśniać. Młynarz opowiadał nam o straszliwej wściekłości, jaką ogarnęła Toussaca po odebraniu listu. Widocznie musiał się z tego listu dowiedzieć, komu miał zawdzięczać wykrycie owej schadzki nocnej w samotnej chacie na trzęsawisku. Kochanka jego musiała mu o tem donieść. Zrozumiałem teraz jego pragnienie, być jeszcze tę noc na wolności i przyrzeczenie, że po uiszczeniu pewnego długu, sam się nazajutrz dobrowolnie stawi w obozie. Chciał się zemścić na moim wuju, zabić szpiega, spółnika wirolomnego..

Ta myśl nurlowała w nim, gdy pędził galopem w tę stronę. Niewątpliwie była tu kopalnia, z której wiodło tajemne przejście do zamku Grobois, znane mu ze schadzek tajnych, jakie miewał z mym wujem. Długi czas szukałem napróżno wejścia ukrytego; wkońcu poznałem ścianę i przedarłem się, pomiędzy krzakami, do ciemnego otworu, który ledwie mogłem znaleźć w panującym mroku.

Tymczasem przyłączył się do nas Savary, który odbył tę drogę pieszo. Przywiązaliśmy konie do krzaków, a ja poprowadziłem moich towarzyszków wąskim kanałem do szerszego przejścia podziemnego. Nie mieliśmy światła, to też potykaliśmy się ciągle o kamienie i z trudem poomacku szukaliśmy drogi wzdłuż ścian. Gdy szedłem tędy poprzednio, pod przewodnictwem mego wuja, droga ta nie wydawała mi się bardzo daleka. Światło, które niosł przedemną, ułatwiał mi chodzenie a świadomość, że wuj zna dokładnie to miejsce, budziła we mnie uczucie pewności. Dziś jednak wędrówka nasza, wśród tej ponurej ciemności, wydawała się bez końca. Savary począł sze-

mrać i pytał się wiele mil jeszcze mamy czołgać w tem podziemiu. Gdy już nasza niecierpliwość doszła do najwyższego stopnia, Gérard nagle zatrzymał się.

— Cicho — szepnął. Słyszę jakieś kroki przed nami.

Wstrzymaliśmy oddech i nadśluchiwalismy z natężeniem. Usłyszałem w odległości jakiś szmer, jak gdyby skrzypienie drzwi, które się obróciły na zawiasach.

— Prędzej, prędzej! Naprzód! — nalegał Savary.  
— To bez wątpienia on, Dostaniemy go wkrótce w nasze ręce.

Nie dzieliłem jednak tej pewności generała, gdyż wiedziałem, że wuj otworzył bramę, łączącą ten podziemny tunel z zamkiem, zapomocą tajnego mechanizmu. Toussac widocznie znał także tę tajemnicę, można jednak było przypuszczać, że bramę za sobą napowrót zatrzasnął. Pamiętałem dobrze, jakie to były grube belki, spojone żelaznymi klamrami, można tedy było przypuszczać z wielkiem prawdopodobieństwem, że w ostatniej chwili stanimy jeszcze przed nieprzebytą zaporą.

Z niecierpliwością dążyliśmy naprzód. Przebyliśmy jeszcze drogę kilkuset kroków wśród najgłębszej ciemności, gdy mi zdala zabłyśło słabe żółte światełko. Omal nie wykrzyknąłem na głos z radości. Brama stała otworem. Gnany dziką żądzą zemsty, Toussac nie myślał nawet o tem, że możemy go ścigać w tunelu.

Teraz mogliśmy iść szybko naprzód, nie szukając drogi. Poczęła się szalona gonitwa korytarzem i po stromych schodach w górę. Wbiegliśmy drugą bramą do wyłożonego dużemi płytami kamiennemi przedsionka zamkowego, gdzie się paliła spokojnie lampka olejna, jak za mojem pierwszym przybyciem do zamku.

Wtem usłyszeliśmy nagle straszny krzyk przerażenia — a potem przeciągłe jęczenie..

— Na pomoc, ratunku! — wołała jak szalona przelatująca obok nas służąca. — Ratunku!... Mordują pana Bernaca!

— Gdzie on jest? — ryknął Savary.

— Tam, za temi drzwiami! W bibliotece!

Jeszcze raz dał się słyszeć ten krzyk przeraźliwy, który nas przejął dreszczem i później przeszedł w chrapliwe rżęzenie. A potem głośny trzask...

Zrozumiałem dobrze, co to ma znaczyć... Wpadliśmy do biblioteki i cofnęliśmy się wstecz na ten okropny widok, przejmujący zgrozą, wszyscy, nawet Savary i nieustraszony młody oficer huzarów.

Wuj mój musiał siedzieć przy biurku, obrócony plecami do drzwi, gdy Toussac wpadł gwałtownie do pokoju. Na ten hałas obejrzał się prawdopodobnie i zobaczył gniewną twarz brodatego olbrzyma; z przerażenia wydał ów przeraźliwy krzyk, któryśmy usłyszeli, wchodząc do przedsiönka, owo zaś żalosne jęczenie nastąpiło potem, gdy żelazne palce Toussaca owinęły się dokoła jego szyi i skrzyły mu bezlitośnie głowę na bok. Już sam widok straszego mściciela musiał go sparaliżować, tak, że nie mógł ani wstać z krzesła ani się poruszyć. Co było najokropniejsze na obrazie, to to, że dział wciąż jeszcze przed swem biurkiem, plecami do drzwi obrócony, głowa zaś jego, zupełnie wykręcona, zwracała ku nam twarz siną i straszliwie wykrzywioną, ową chudą twarz pergaminową ze szklistem i oczyma i ustami otwartemi, która mi teraz jeszcze niekiedy ukazuje się we śnie i zakłóca mój spokój. Obok niego stał Toussac z rękoma założonemi na piersiach z wyrazem triumfu.

— Dług mój już zapłacony — zawołał do nas.  
 — Podddaj się pan — krzyknął groźnie Savary,  
 zwróciwszy ku niemu lufę pistoletu.

— Strzelajcie — krzyczał olbrzym, odstąpiwszy  
 potężne piersi kosmate. — Wy myślicie, że ja się boję  
 waszych nędznych kul albo że mnie może żywcem do-  
 staniecie w wasze ręce? O nie, z tą nadzieją musicie  
 się rozstać...

Pochwycił jedno z ciężkich krzesel dębowych,  
 wznosił je ponad głową i rzucił się na nas. Daliśmy  
 ognia i wpakowaliśmy mu równocześnie trzy kule  
 w ciało... Zachwiał się, oczy mgłą mu zaszyły, z ran  
 krew tryskała obficie. Nie zważał jednak na to i cisnął  
 na nas ciężkie krzesło, które zakreśliło w powietrzu  
 szeroki łuk i z łoskotem podobnym do grzmotu upadło  
 na stół obok mnie, łamiąc go w kawałki. Potem rzucił  
 się jak szalony na Savaryego, obalił go na ziemię i po-  
 chwycił za brodę. Przyskoczyliśmy do tego olbrzyma  
 i chwyciliśmy go za ramiona. Toussac był jednak sil-  
 niejszy, aniżeli my wszyscy razem i odtrącił nas od  
 siebie. Wysiłki nasze były długo bezskuteczne; wkońcu  
 siły zaczynały go opuszczać, stracił za wiele krwi, która  
 wciąż upływała. Raz jeszcze podniósł się z nadludzkim  
 wysiłkiem, wydał okrzyk wściekłości i rozpacz, że aż  
 mury zamku zadrżały w swoich posadach, poczem zwałił  
 się martwy na ziemię. Staliśmy dokoła niego zdyszani  
 i zziębnięci, wpatrując się w niego z uwagą i gotowi za  
 najmniejszym poruszeniem rzucić się na niego; on jednak  
 nie ruszał się więcej. Toussac już nie żył.

Savary, blady jak śmierć, stał oparty o szczątki  
 rozbitego stołu, poczem osunął się na fotel.

Mam uczucie, jak gdybym pasował się z nie-



dźwiedziem — rzekł. — Teraz przynajmniej cesarz oswobodzony jest od niebezpiecznego wroga, który mógł się przyznać, że to był dzielny człowiek.

— Coby to był za żołnierz wspaniały! — rzekł Gérard zamysłony. — Jakiby to był kwatermistrz dla huzarów Bércheny. Popełnił głupstwo, że nie wstąpił w służbę cesarską.

Ja również usiadłem na fotelu. Nic dziwnego, że czulem się wyczerpany i prawie chory ze wzburzenia i z trudów; wszak te straszliwe krwawe wypadki dzisiejszego wieczora wywarły nawet silne wrażenie na obydwóch moich towarzyszach, nawykłych do scen tego rodzaju, a ja byłem przecież w tych rzeczach jeszcze nowicjuszem. Savary wlał mi w usta trochę koniaku, potem zerwał firankę z okna i przykrył nią ciało mego wuja.

— Nie mamy tu więcej nic do roboty — rzekł. — Muszę cesarzowi jak najrychlej zdać sprawę o tych wypadkach. Musimy jednak wziąć z sobą papiery Bernaca, gdyż niektóre z nich mogą odnosić się do sprzyśiężenia i zawierać dla nas ważne wskazówki.

To mówiąc, zebrał papiery, które leżały na biurku. Między niemi był list, który wuj mój niezawodnie ukończył pisać, gdy Toussac wpadł do pokoju.

— Oho! — zawołał Savary, przeczytawszy ten list. — Pan Bernac był, jak widzę, także dość niebezpiecznym człowiekiem. Posłuchajcie, co oto napisał:

Kochany Panie Catulle!

„Proszę mi przysłać jak najrychlej flaszeczkę owej trucizny, bez smaku i bez woni, tej samej, której mi dostarczyłeś przed trzema laty. Mam na myśli ten

odwar z gorzkich migdałów, który nie pozostawia po sobie żadnego śladu. Będę go potrzebował koniecznie w ciągu następnego tygodnia i proszę przeto o jak najrychlejszą przesyłkę. Gdybyś Pan potrzebował kiedy w jakiej sprawie poparcia u cesarza, możesz zawsze liczyć na moją przyjaźń i gotowość”.

— Do kogo ten list adresowany? — zapytał Gérard.

— Do drogisty w Amiens — odpowiedział Savary, obracając list. — A więc pan Bernac był nietylko szpiegiem i zdrajcą, ale nadto trucicielem. Wszechstronnie uzdolniony. Chciałbym tylko wiedzieć, dla kogo był przeznaczony ten odwar z migdałów.

— Ja także chciałbym to wiedzieć — rzekłem. Cóż mogłem innego powiedzieć?... Był przecież moim wujem, a zresztą już nie żył.

## VIII.

### ZAKOŃCZENIE.

General Savary pojechał do Tour-de-Briques, aby złożyć cesarzowi sprawozdanie o tych wypadkach, ja zaś i Gérard udaliśmy się do Boulogne, aby pokrzepić się butelką wina. Spodziewałem się, że zastanę tu kuzynkę Sybillę. Nie było jej tu jednak, a co mnie jeszcze bardziej dziwiło, nie zostawiła żadnej wiadomości, gdzie ją można zastać.

Nazajutrz rano o świcie zbudził mnie ze snu wyścianiec Napoleona.

— Cesarz wzywa pana do siebie, panie de Laval.

— Dokąd mam się udać?

— Do Tour-de-Briques.

Wiedziałem, że Napoleon ządał od swych podwładnych przede wszystkim szybkiego wypełniania swoich rozkazów. Za dziesięć minut siedziałem tedy na koniu, a w pół godziny później przybyłem do zamku. Wprowadzono mnie po schodach do pokoju, gdzie się znajdowali cesarz i jego małżonka. Józefina w bladobłękitnym uroczym szlafroczku, wyszywanym koronkami, leżała wygodnie na szezlongu, Napoleon zaś, wedle swego zwyczaju, przechadzał się po pokoju dużymi krokami. Miał na sobie dziwny kostjum, który zwykł był nosić w godzinach porannych, zanim rozpoczynał swoje czynności urzędowe; biały szlafrok, czerwone pantofle tureckie i białą chustkę jedwabną, owiniętą dokoła głowy. Cały ten strój nadawał mu wygląd plantatora w Indiach Zachodnich.

Silny zapach lawendy i wody kolońskiej zdradzał, że cesarz co tylko wyszedł z kąpeli. Był w wybornym humorze, a twarz Józefiny była, jak zwykle, odzwierciedleniem nastroju jej dostojnego małżonka. Oboje powitali mnie uprzejmym uśmiechem.

— Doskonale się pan spisałeś, panie de Laval — rzekł cesarz. — Savary opowiedział mi wszystko, co się zdarzyło i nie sądzę, aby można była zręczniejszabrać się do rzeczy. Ja sam nie mam dużo czasu myśleć o tem wszystkim, ale moja żona będzie teraz spokojniej spała, skoro wie, że Toussac nie żyje.

— W samej rzeczy — zawołała cesarzowa. — To był człowiek okropny. Tak samo straszny, jak Cadoudal. Pomyśl tylko, gdyby mu się udało dostać do ciebie.

— Mnie nie opuści moja gwiazda, Józefino — rzekł Napoleon, głaszcząc ją pieszczotliwie po głowie.

— Jestem fatalistą, jak Arab. Droga moja jest przedemną zakreślona; przyszłość leży przedemną, jak otwarta księga. Nic złego nie może mnie spotkać, zanim nie spełnię mego przeznaczenia. Wierzę w przeznaczenie moja droga.

— Dlaczegoż więc układasz naprzód plany, Napoleonie, skoro przeznaczenie panuje nad wszystkim?

— Bo i to jest właśnie mojem przeznaczeniem, że mam układać plany, ty mały głuptasku. Czyż nie jest to bowiem dziełem przeznaczenia, że mój mózg jest zdolny ogarnąć tak wielkie myśli? Wnoszę, jak gdyby poza ścianą, gmach moich planów na przyszłość, a nikt nie widzi co buduje, zanim nie ukończyłem mego dzieła. Nie myślę nigdy dalej naprzód, jak na dwa lata, panie de Laval; cały dzisiejszy poranek spędziłem na tem, aby ułożyć stanowcze plany na jesień i zimę roku 1807.., Ale, ale, panie de Laval chciałem panu jeszcze coś powiedzieć,.. Kuzynka pańska okazała w sprawie Toussaca wiele sprytu i energii. Byłaby zaiste wielka szkoda, gdyby taka dzielna dziewczyna miała poślubić takiego nędznego tchórza jak ten Łucjan Lesage, który już od tygodnia jęczy i płacze o łaskę. Czy nie jesteś pan tego samego zdania, co i ja?

Musiąłem przyznać, że tak.

— Jest to zawsze los takich kobiet rozmarzonych i idealnie nastrojonych, że dają kierować sobą swej wyobraźni i kaprysom. Wydają mi się, jak owi ludzie na Wschodzie, którzy sądzą, że dobry żołnierz musi być koniecznie olbrzymem. To też nie chcieli wierzyć, abym ja mógł być lepszym wodzem od Klebera, ponieważ mój zewnętrzny wygląd mniej ich olśniewał, aniżeli jego głowa fryzjerska i postawa parobka. Tak

samo koblety robią bohatera z tego Łucjana Lesage'a tylko dlatego, ponieważ ma oczy cielece i twarz formenną. Jego zewnętrzne zalety ujęły Sybillę a resztę sama dodaje mocą swej wyobraźni. Czy sądzi pan, że nie wyleczyłaby się ze swego zaślepienia, gdyby ujrziała jego charakter w świetle prawdziwym?

— O tem jestem przekonany, najjaśniejszy panie, O ile znam moją kuzynkę, wiem, że nie gardzi nikim więcej, aniżeli tchórzami.

— Pan mówisz o niej z takim zapałem, panie de Laval. Czy może ona przypadkiem także się wkradła w pańskie serce?

— Najjaśniejszy panie, wszak już powiedziałem, że kocham jedynie pannę de Choiseul.

— Tak, lecz ona daleko, za morzem; tymczasem rzeczy się zmieniły...

Constant wszedł do pokoju i rzekł:

— Najjaśniejszy panie, wezwana osoba jest już tutaj.

— Dobrze, pójdziemy do przyległego pokoju. chodź ze mną, Józefino, ta sprawa zajmuje ciebie więcej, aniżeli mnie.

Weszliśmy do długiej, wąskiej sali, która miała z boku dwa duże okna; były one jednak tak szczelnie zasłonięte, że w sali panował tajemniczy mrok. Obok drugich drzwi naprzeciwko stał na straży mameluk Rustan, koło niego zaś Łucjan Lesage, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi i z głową pochyloną na dół, obraz pokory i skruchy.

Gdyśmy weszli do sali, drgnął. Cesarz zbliżył się do niego o parę kroków, potem stanął przed nim, z rękoma w tył założonemi i spojrzał surowo na strwożonego więźnia.

— No i cóż — rzekł w końcu — przysmaliles pan sobie palce, będziesz odtąd prawdopodobnie ostrożniejszy z ogniem. Czy też może masz zamiar dalej jeszcze bawić się polityką?

— Gdy mi najjaśniejszy pan tylko tym razem raczy łaskawie wybaczyć — jąkał się Lesage — to złożę najuroczystsze przyrzeczenie, że aż do śmierci będę twoim najwierniejszym sługą.

Napoleon wziął w dwa palce szczyptę tabaki i jak zwykle, rozsypał ją na swoim białym szlafroku.

Dobrze — rzekł — byłbym może gotów dać wiarę pańskim słowom. Najwierniejsi słudzy są właśnie ci, których bojaźń wiąże do ich pana. Wymagam jednak we wszystkim ślepego posłuszeństwa.

— Chcę się podjąć wszelkiej pracy, jakiej najjaśniejszy pan odemnie zażąda... chcę wszystko posłusznie wypełnić, byleby mi najjaśniejszy pan wybaczył?

— Będziemy zaraz widzieli — odpowiedział cesarz. Jest to już taki mój kaprys, że każdy młody człowiek, który wstępuje do mnie na służbę, bądźto jako adjutant, bądź też jako sekretarz, musi się żenić z kobietą, którą ja mu wskażę. Czy zgadza się pan ze mną?

Lesage pobladł. Nerwowe ruchy rąk i drganie kurczowe na twarzy zdradzały, że toczy z sobą ciężką walkę wewnętrzną.

— Czy mogę zapytać, najjaśniejszy panie?

— Nie masz pan prawa stawiać żadnych pytań.

— Są przecież takie wypadki...

— Dość tego — krzyknął Napoleon ostro. — Ja się nie pytam, ja wydaję rozkazy i żądam, aby mnie

śluchano... Rozumiesz pan?... Szukam męża dla panny de Bergerot. Albo się pan z nią ożenisz, albo wrócisz napowrót do więzienia.

Znów można było poznać na twarzy strwożonego młodzieńca walkę wewnętrzną. Stał zmieszany, lecz milczał.

— Dość tego — krzyknął cesarz. — Rustan, zawołaj straż.

— Na miłość boską, najjaśniejszy panie, nie porysuj mnie napowrót do więzienia.

— Rustan, zawołaj straż.

— Uczynię wszystko, co najjaśniejszy pan każe, ożenię się z kobietą, którą mi najjaśniejszy pan przeznaczył.

— Nędzniku! — wykrzyknął z gniewem jakiś głos kobiecy.

Zasłony przed jednym oknem rozsunęły się, a za niemi ukazała się, jak gdyby w ramach, wysoka smukła postać Sybilli. Trzęsła się z gniewu, twarz jej była blada, oczy ciskały błyskawice. Zapomniała o wszystkim, o obecności cesarza i cesarzowej, miotana burzą uczuć, ogarnięta wstętem i obrzydzeniem do tego nikczemnego tchórza, którego tak gorąco kochała.

— Mówiono mi, jakim ty jesteś nędznikiem — krzyczała — a ja nie chciałam temu wierzyć; nie mogłam temu wierzyć, gdyż nie uważałam za możliwe, aby tak podle istoty istniały na tym świecie. Przyrzeczono mi dowody, a ja jeszcze zawsze nie wierzyłam. Ale teraz już wiem, co mam o tobie sądzić. Bogu dzięki, że się o tem jeszcze dowiedziałam dość wcześnie. I dla ciebie poświęciłam na śmierć człowieka, który był tysiąc razy więcej wart od ciebie. Teraz jednak

ponoszę za mój niekobiecy uczynek zasłużoną karę. Zaiste, Toussac jest pomszczony.

— Dość tego — przerwał jej cesarz surowo. — Constant, odprowadź pannę Bernac do przyległego pokoju. Co się zaś pana tyczy, panie Lesage, nie mogę od żadnej damy na moim dworze wymagać, aby poślubiła takiego jak pan, człowieka. Wystarcza mi, że panna Bernac poznała prawdziwy pański charakter i że się wyleczyła ze swej nieszczęśliwej miłości. Ruстан, wyprowadź więźnia.

— Z tym byłaby sprawa załatwiona — rzekł cesarz, zacierając ręce z zadowoleniem, gdy nieszczęsny Lesage opuścił pokój. — To twój pomysł, Józefino i wyrażam ci z tego powodu moje uznanie. A teraz chcę z panem skończyć, panie de Laval. Należy się panu nagroda za to, że swoim powrotem do Francji dałeś innym młodym szlachcicom dobry przykład, a powtóre za twój udział w schwytaniu Toussaca. Spisałeś się pan dzielnie.

Ogarnął mnie niepokój, gdyż przeczuwałem, co teraz nastąpi.

— Nie żądam żadnej nagrody, najjaśniejszy panie — odpowiedziałem.

— Jesteś pan zanadto skromny. Powziąłem już jednak postanowienie co do tego, jaką powinienes otrzymać nagrodę. Wyznaczę panu rentę roczną, aby pan mógł, jako mój adjutant, żyć na odpowiedniej stopie, a oprócz tego otrzyma pan, jako małżonkę, damę dworu cesarzowej.

Uczułem ból w sercu, jak gdyby od ukłucia sztyłem.

— Nie mogę, najjaśniejszy panie — wyjąknąłem. — To w istocie niepodobieństwo.



— Tu niema się co zastanawiać. Ta panna pochodzi ze znakomitej rodziny i odznacza się niezwykłą urodą. Jednem słowem, rzecz jest ułożona; ślub wasz odbędzie się w najbliższy czwartek.

— To rzecz niemożliwa, najjaśniejszy panie, bezwarunkowo niemożliwa.

— Dla mnie, panie de Laval, nie istnieją rzeczy niemożliwe. Sprawa załatwiona i koniec.

— Najjaśniejszy panie, kocham inną pannę, dałem słowo i nigdy go nie złamię.

— Trwasz pan dalej przy swoim uporze? — zapytał Napoleon oziębło. — A więc dobrze, opuścisz pan moją służbę.

A zatem wszystkie moje marzenia o przyszłości rozwiewały się bezpowrotnie... Ale cóż robić?... Ulec?... Za nic w świecie.

— Jest to najboleśniejcza chwila w mojem życiu, najjaśniejszy panie — odpowiedziałem a jednak nie mogę pod żadnym warunkiem opuścić mej Eugenji. I chociażbym miał żebrać na drogach, chociażbym miał spełniać najniższe roboty, żadna inna panna nie zostanie moją żoną, jak tylko panna Eugenia de Choiseul.

Cesarzowa podniosła się z miejsca i przystąpiła do okna.

— Zanim pan wypowiesz ostatnie słowo, panie de Laval — rzekła — powinien pan przynajmniej zobaczyć tę damę dworu, którą panu przeznaczylismy.

I rozsunała szybko zasłonę drugiego okna. W niszy stała młoda dziewczyna o pięknej postawie i uroczym profilu.

— Pokaż się, kochane dziecko — przemówiła łagodnie dobrotliwa monarchini.

Młoda panna wyszła z ukrycia, a ja wydałem okrzyk radości i przyskoczywszy do niej, porwałem ją w objęcia. Zdawało mi się, że to sen rozkoszny i nie mogłem uwierzyć, że spoglądam mej najdroższej Eugenji w jej cudne oczęta, promieniejące szczęściem. I całowałem wciąż jej usta, twarz i włosy, aż wkońcu uwierzyłem, że to rzeczywiście ona, moja ukochana dziewczyna.

— Zostawmy ich samych — rzekła cesarzowa swoim łagodnym głosem. — Chodź, Napoleonie, budzą się we mnie wspomnienia dawno minionych dni w naszym domku przy ulicy Chautereine i ogarnia mnie smutek.

Tak tedy moje skromne opowiadanie zbliża się ku swemu końcowi.

Plan cesarza, jak zwykle, spełnił się ze ścisłą punktualnością i ślub nasz odbył się rzeczywiście, tak jak on rozkazał w najbliższy czwartek. Swem wszechmocnem, daleko sięgającym ramieniem sprowadził Eugenję z małego miasteczka w Kent, aby zapewnić się co do tego, że zostanie we Francji i aby ozdobić dwór swój jednym z najpiękniejszych nazwisk starej arystokracji francuskiej, de Choiseul.

O losach mojej kuzynki Sybilli opowiem Innym razem dokładniej. Dziś jednak chcę już nadmienić to jeszcze, że wiele lat później poślubiła Stefana Gérarda, gdy już był szefem brygady i jednym z najslawniejszych wodzów kawalerji w całej wielkiej armji. Innym razem opowiem wam także, moi mili czytelnicy, jak odzyskałem napowrót zamek przodków moich, Grobois, z którym się łączą tak okropne wspomnienia, że dziś jeszcze zakłócają moją radość z posiadania jego, A te-

raz dość o mojej osobie. I tak już za wiele o tem mówiłem.

Opowiadania moje o Napoleonie mogą mieć to jedno znaczenie, że dadzą potomności słabe wyobrażenie o osobistych przymiotach tego niezwykłego człowieka. O jego czynach i losach i tak wiecie wszystkie z dziejów.

Zwinał obóz w Boulogne, przekonawszy się, że nie może pokonać swego groźnego sąsiada na morzu i że nie może z wojskiem wylądować w Anglii. Angielska flota odcięłaby go inaczej od jego głównych sił. Tą ogromną armją, którą chciał zalać Anglię, pobił Rosję i Austrię, a w następnym roku rozgromił Prusy. Począwszy od chwili, kiedy wstąpiłem do niego na służbę, aż do owego dnia, w którym jechał na wygnanie do dalekiej wyspy, skąd już nie miał nigdy powrócić, stałem wiernie u jego boku. Wraz z jego gwiazdą, wznosiła się także i opadała moja gwiazda.

Dziś jednak, gdy cofam się myślą w owe czasy, które z nim razem przeżyłem, pełne doniosłych wydarzeń, nie mogę orzec stanowczo, czy był złym, czy dobrym człowiekiem. To jedno wiem tylko, że był to człowiek wielki, niezwykły, którego nie można mierzyć tą samą miarą, co innych ludzi pospolitych.

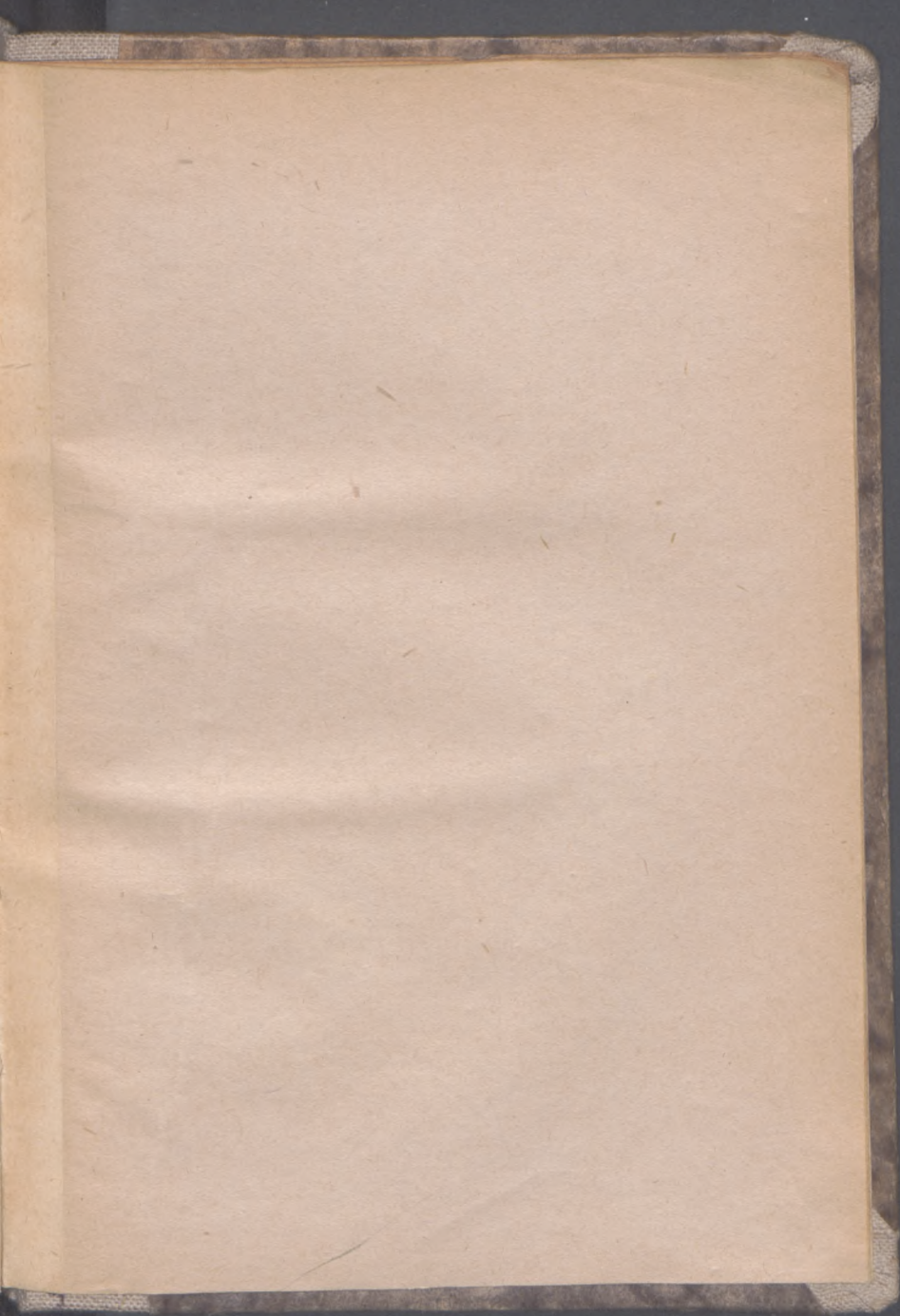
Dlatego niechaj śpi spokojnie w swoim dumnym grobowcu, pod wspaniałą kopułą tumu Inwalidów. Spełnił swoje dzieło, a ta potężna ręka, która podniosła Francję na szczyt wielkości i zmieniała dowolnie granice państw europejskich, która obalała trony, rozpadła się w proch. Fatum potrzebowало go, fatum zmiotło go z powierzchni ziemi; a jednak żyje dalej w naszej

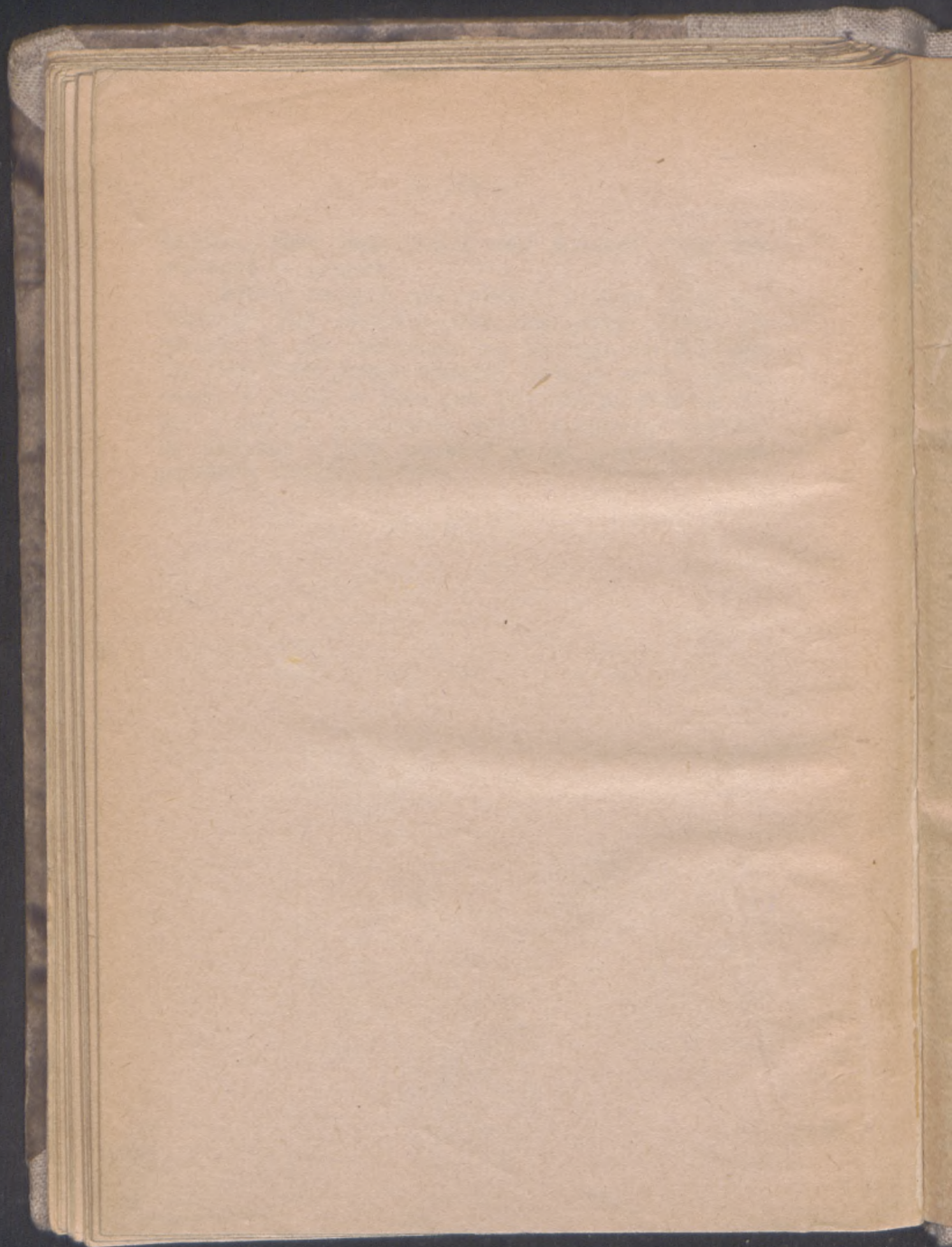
śmierci, duch jego panuje nad światem, imię rozbrzmiewa w dziejach.

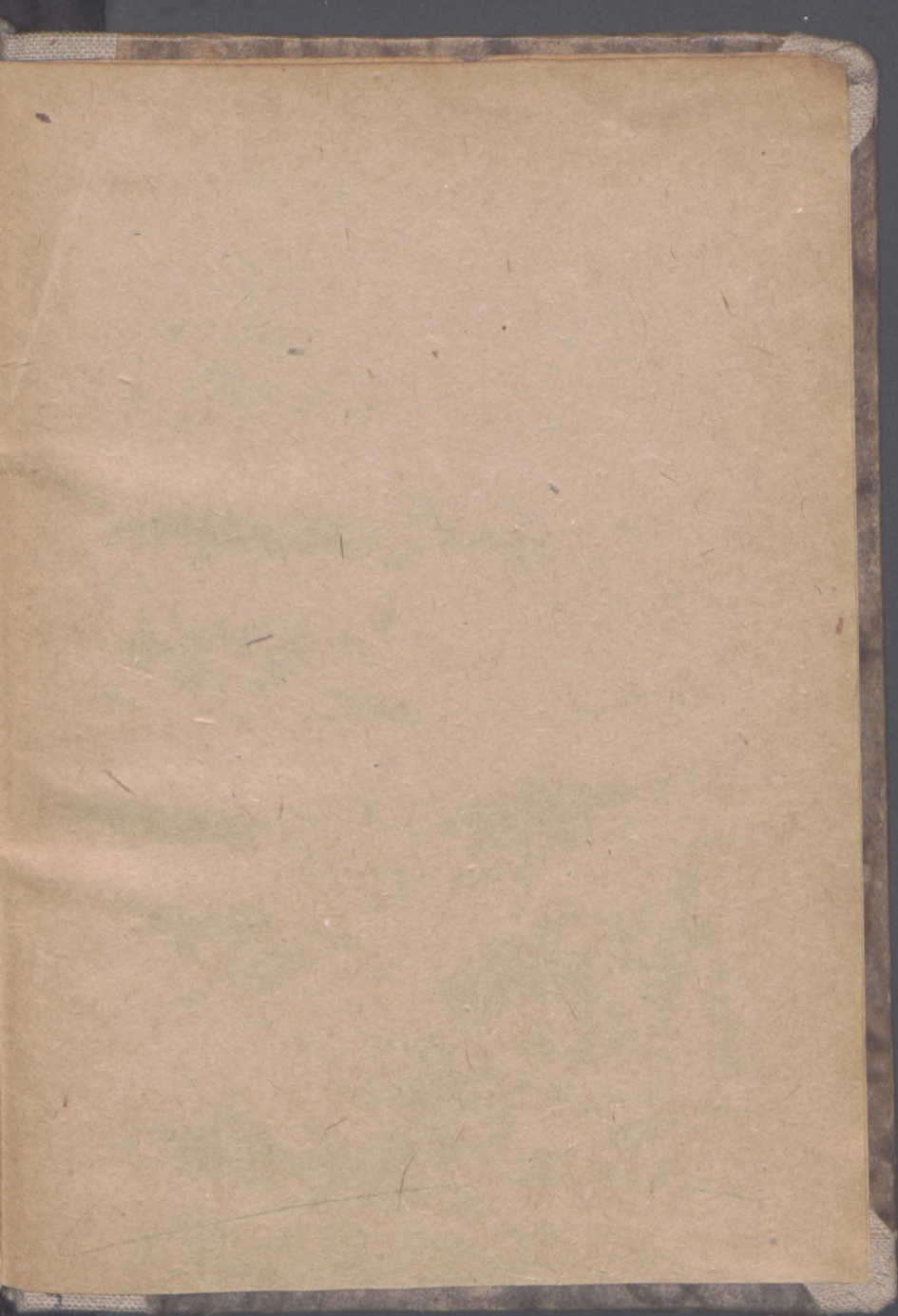
Pisano tomy o tym wielkim cesarzu, jedni wynosili go pod niebiosa, inni obsypywali błotem potwarzy. Ja nie uczyniłem ani jednego, ani drugiego. Chciałem tylko opisać wrażenie, jakie na mnie wywarł wtedy, w obozie w Boulogne, gdy stał na szczycie potęgi i gdy ja, po długich latach wygnania, wróciłem do ojczyzny i znów ujrzałem po raz pierwszy zamek przodków moich, Grobois.

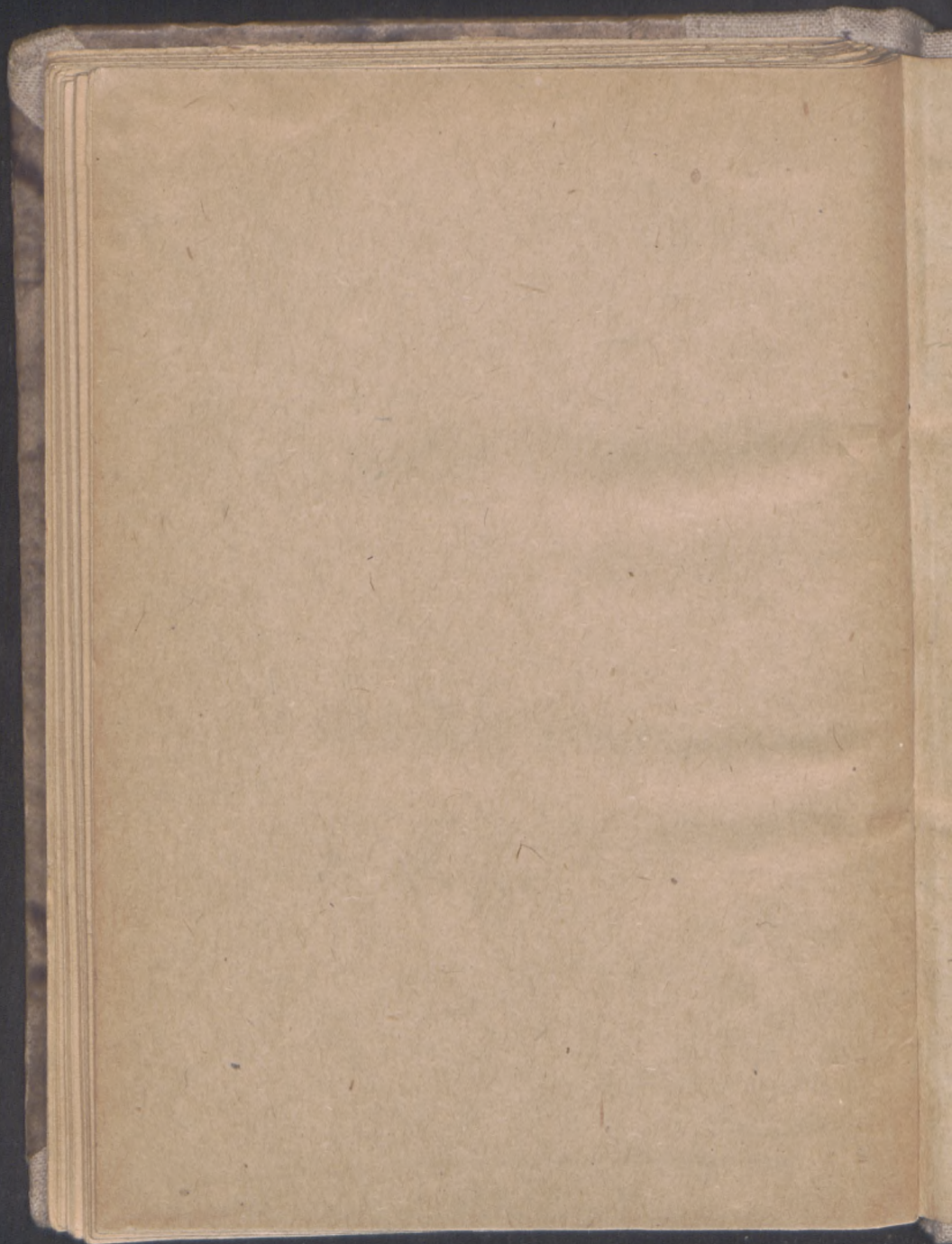
K O N I E C .



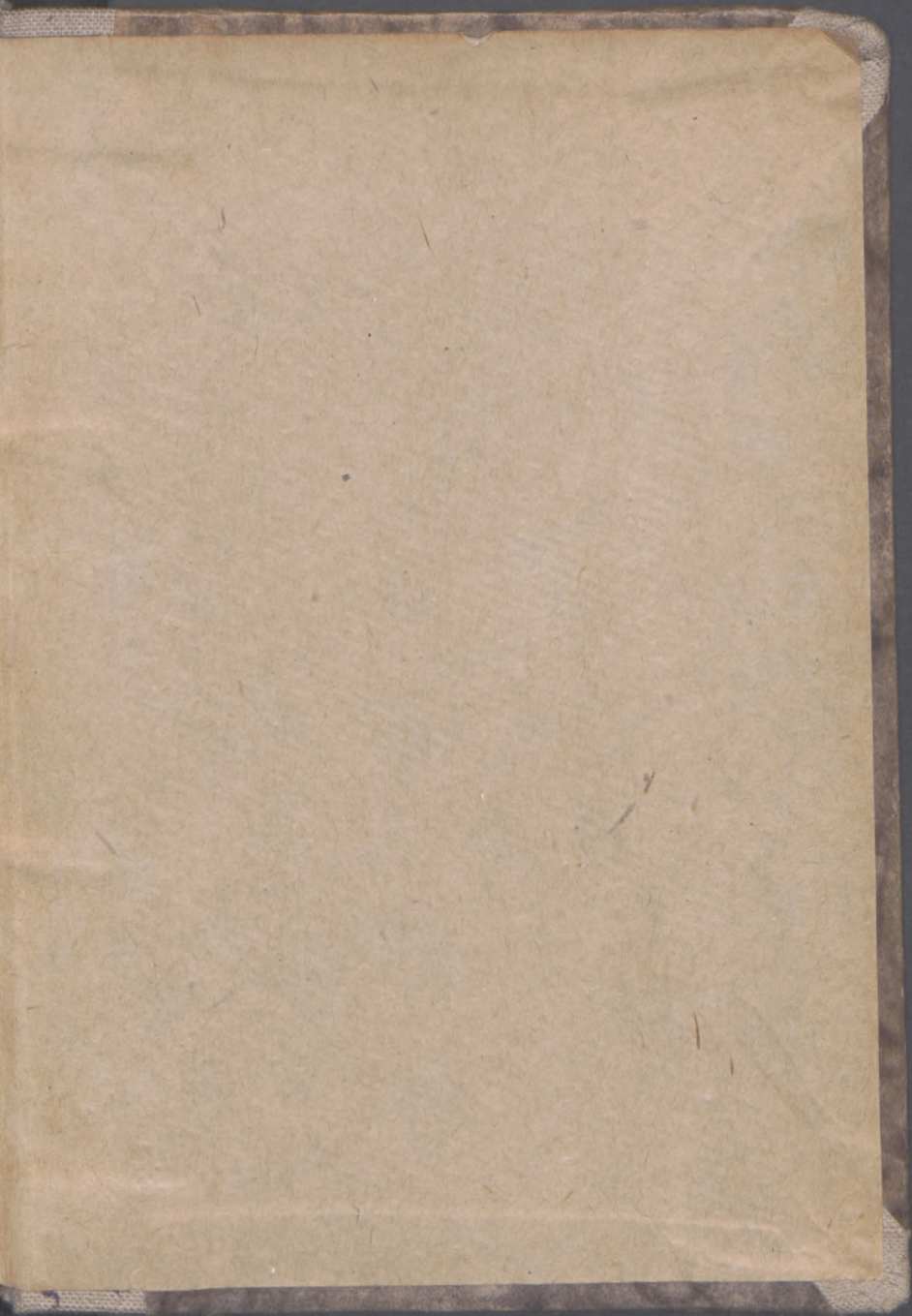














541418

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001008168595